



WYRWANI Z GRUNTU OJCZYSTEGO.

MAURZYCY BARRÈS.

WYRWANI Z GRUNTU OJCZYSTEGO.

przekład wolny

J. P.

—
Cześć II.
—

WARSZAWA

DRUKARNIA

ALEKSANDRA TAD. JEZIERSKIEGO

47. Nowy - Świat 47.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 23 Іюня 1904 года.

ROZDZIAŁ X.

„Prawdziwa Rzeczpospolita.”

Dnia 6-go maja, raniutko, Mouchefrin otrzymał telegram miejski treści następującej:

„Pragnęłabym wiedzieć, co pan miał mi do powiedzenia wczoraj, 5 maja, przy wyjściu z Gmachu Inwalidów.

Astiné Aravian.

Willa angielska, ulica Balzaca.

Nazajutrz więc, około godziny 10-ej rano, młody człowiek szedł pośpiesznie górzystą wązką uliczką. Długo czekał w elegancko umeblowanym pokoju, gdzie mu przyniesiono potrwein i cygaretki. Wreszcie ukazała się Astiné, jak zawsze pełna wdzięku, wykwintna i bardzo pewna siebie.

Potwornie brzydki chłopak był w najwyższym stopniu podniecony i onieśmielony widokiem pięknej Ormianki.

Rozmowa weszła odrazu na tory zupełnie inne, niż się spodziewał.

— Zdaje mi się, że niegdyś widziałam pana

u pana Sturela? Czy zawsze mieszka tam, gdzie mieszkał? Co robi?

— Stara się o pannę Alison.

Mówił na szczęśliwy traf, podrażniony w swej miłości własnej, chcąc dokuczyć ślicznej interloktorce. Udało mu się znakomicie, ale ona nie dała tego poznać po sobie.

— Znam tę pannę... Wcale niezła dziewczyna... tylko to bardzo zabawne, że pan Sturel tak wcześniej myśli o założeniu rodziny.

Mouchefrin, zawiedziony w swych nadziejach, zwlekał jednak z pożegnaniem pięknej pani.

Przyglądała mu się bacznie, dziwiąc się w głębi duszy, że mogła się tak bardzo zainteresować kimś, co ma podobnie szpetnych przyjaciół, jak ten karzeł. Wreszcie podała mu pudełko z cygaretkami:

— Proszę!... może pan weźmie kilka na zapas... A może pan najpierw wolałby śniadanie?.. W tej chwili podadzą... Pan nie głodny?... W takim razie, do widzenia! Przy sposobności zechce pan uprzedzić pana Sturela o moim powrocie i przyniesie mi pan jego odpowiedź.

Mały człowieczek opuścił Ormiankę wściekły. Przyszedł po to, aby wyrzucić wrażenie; tymczasem potraktowano go jak faktora, któremu na fermach lotaryńskich podają zwykle szklanekę wina. Pomimo to skierował się do mieszkania Racadota, chcąc się pochwalić otrzymanem zaproszeniem.

Spotkali się niedaleko od kawiarni Woltera, gdzie się miała zebrać cała gromadka dla omówienia sprawy nowego dziennika. Mouchefrin zaczął się żalić, że nie otrzymał zawiadomienia. Racadot uspakajał go szorstko, ale w tonie przyjacielskim.

Obawa postawienia na kartę całego majątku czyniła go złośliwym, ale gdy w parę minut później ujrzał w kawiarni Sturela, Roemerspachera,

Saint - Phlina zaimponował im szczerem wzruszeniem, uprzejmością, wspaiałomyślnością.

Oddawał „*Prawdziwą Rzeczpospolitą*” do rozporządzenia przyjaciół: twierdził, że stoją od niego wyżej pod względem inteligencji i pochodzenia; oczekiwał od nich pomocy braterskiej, a kiedy go zaczęto rozpytywać o środki materialne, odpowiadał krótko. Otrzymał spadek i chciał zaryzykować cały swój majątek, ponieważ „od chwili porozumienia się przy Grobie Napoleona, pokładał w dawnych kolegach zaufanie nieograniczone.”

— A przytem musimy zarobić dużo pieniędzy!

Skinał na Mouchefrina i udali się razem do małej knajpy przy ulicy Odeonu, chcąc dać przyjaciołom czas do namysłu. Zarzucono natychmiast pytaniami Renaudina. Czy warto przystąpić do spółki? Racadot nie mówił wyraźnie jakimi obraca kapitałami, czy wogóle ma jakie pieniądze i zkad?

— To jego rzecz — odparł Renaudin. — Od was nie żąda nic... Cóż wy ryzykujecie?... Wybadywał mnie, zarzucał pytaniami od czasu owego wieczora, kiedy zaproponowałem Roemerspachero wi pisywanie artykułów do „*Prawdziwej Rzeczypospolitej*.” Odegrałem w tej sprawie rolę pośrednika. Racadot wynajmie dziennik za 750 franków miesięcznie. Po trzech latach „*Prawdziwa Rzeczpospolita*” stanie się jego własnością. W ten sposób nie trzeba płacić z góry. Uważał zresztą, że ten poczciwiec Racadot ma dużo zdolności; w obecnej chwili ja mu będę udzielał wskazówek, ale sądzę, że wkrótce mnie nawet prześcignie. Przed chwilą mówił do mnie: „za redagowanie pisma nie zapłacę nic;” do składania czcionek, zamiast wykwalifikowanych zecerów, użyję kobiet; ponieważ dziennik nie będzie miał charakteru informacyjnego, praca nocna redukuje się do minimum: wystarczy zupełnie jedna kolumna

najświeższych wiadomości, podana w ostatniej chwili Wreszcie administracją dziennika zajmie się on sam przy pomocy pewnego głodomora, którego Portalis wypędził za oszustwo; bardzo zdolny człowiek, trzeba go tylko pilnować należycie... Pozostaje kwestya mieszkania i tu właśnie Racadot przeszedł wszystkie moje oczekiwania: wynalazł jakiegoś zbankrutowanego drukarza, który jest tak szczęśliwy, że może znów wziąć się do pracy, iż nie żąda prawie wynagrodzenia... jakieś marne sto sous na obiady... Załużę mocno, że za mało się znacie na tym interesie, ażebyście mogli ocenić zrobiony przez nas szczegółowy wykaz wydatków nieszczęsnych... Jest to prawdziwe arcydzieło... Słuchajcie!...

I na stole kawiarni zaczął wypisywać wszystkie pozycye.

— Widzicie zatem, że położenie jest wcale niezłe .. tylko 1,500 franków deficytu na miesiąc.. zdobycie tych pieniędzy nie powinno przedstawiać wielkich trudności... Tytuł dziennika jest dobry... tylko trochę już zapomniany. Za 5,000 franków można go zareklamować przyzwoicie... Ale, ale... sprytny jest dawny właściciel, zastrzegając sobie udział w zyskach! Wreszcie, nie zapominajcie, że po upływie trzech lat dziennik stanie się wyłączną własnością Racadota.

Wszyscy czuli się w obowiązku wyrazić swój podziw.

— Przyszłość wspaniała — rzekł Roemerspacher — na razie jednak to tylko jest pewnem, że w przeciągu roku Racadot będzie musiał wypłacić 196,600 franków. Zkąd weźmie te pieniądze?

— Przypuszczasz zatem, że nie będzie miał żadnego przychodu? To niepodobieństwo!... Czyż nie przypominacie sobie, że mówił nam nieraz o spadku otrzymanym po matce? Ojciec mu je zwróci.

— Biedny chłopak! — rzekł Saint-Phlin — za te

pieniądze ileżby winnie mógł zakupić w Custines!
Jak spokojne pędziłby życie!

Renaudin spojrział na niego, wreszcie zrobił ruch ręką, jak człowiek czynu, zmuszony wysłuchiwać bredni:

— Ażeby wasz dziennik miał powodzenie zapewnione, potrzeba miliona! W przeciwnym razie wszystko zależy od szczęścia, od okoliczności przypadkowych, od umiejętności zainteresowania czytelników. Racadot, prawdopodobnie milionerem nie jest: wobec tego cóż nas może obchodzić, czy ma sto, czy też dwieście tysięcy franków? Wasze wysiłki pokryją niedobór.

Wobec takiego postawienia kwestyi szlachetni chłopacy, wychowani w zasadach bohaterskich, uważaliby cofnięcie się od współdziałania w przedsięwzięciu Racadota za czyn godny pogardy.

Gdy Racadot się dowiedział, że propozycja jego została przyjęta, poszedł z Mouchefrinem na przechadzkę do parku Luksemburskiego. Głowa jego płonęła. Trawiony gorączkowym pragnieniem zwierzeń, uczuwał w duszy wielką czułość dla swego towarzysza.

Racadot, wpatrując się we wspaniały zachód słońca rozmyślał nad tem, w jaki sposób zmniejszyć jeszcze budżet miesięczny, który, zdaniem kompetentnego Renaudina, w żaden sposób już się nie da ścisnąć więcej.

Gdy noc zapadła, popychany nieprzewyciężoną potrzebą otwartości, rzekł:

— Przyrzecz mi, Antoni, że przed nikim nie zdradzisz prawdziwej cyfry mojego kapitału.—I podał mu list ojca.

Stary Racadot zachęcał syna do powrotu i przeplatając list morałami, obiecywał przysłać dziesięć tysięcy franków à conto czterdziestu tysięcy, stanowiących istotną cyfrę owego głośnego spadku po matce.

— Z takimi pieniędzmi możnaby żyć wspólnie!—rzekł Monchefrin tonem pełnym szacunku.

— Ty zawsze byłeś zatopionym w rozkoszach zmysłowych — odparł olbrzym.—Czy sądzisz, że rodzice Sturela, Roemerspachera, Saint-Phlina zadowolniali się tem tylko, co im było koniecznie potrzebne do życia?...

Czterdzieści tysięcy franków! Był to majątek nabyty z wielkim trudem, oszczędzaniem grosza po groszu, w głuchym zakątku prowincyi, w wiosce lotaryńskiej, gdzie pieniądz przedstawia tylko wartość pożywienia, mieszkania, odzieży, narzędzi i podatków, t. j. tego, co się składa w ofierze tajemniczej potędze państwa, a właściwie cywilizacyi, którą się podtrzymuje nieświadomie, nie oceniając jej dobrodziejstw.

Roemerspacher, który niedawno zdobył rozgłos artykułem o Taine'm, nie przyjął ofiarowanej sobie godności redaktora naczelnego, wymawiając się nadmiarem pracy.

Wtedy Racadot zwrócił się do Sturela, który chętnie przystał na jego propozycję.

Wśród różnorodnych wpływów, oddziaływających na rozwój duchowy Sturela, jednym z najważniejszych było nieustanne obcowanie z kobietami. Przedewszystkiem udzieliła mu się ich nerwowość, a gwałtowne przejścia od uniesień miłosnych do tęsknoty i melancholii, wysubtelniły jego duszę, wyczerpując ją nieznacznie. Sturel nie miał czem zapęłnić wolnych od zatrudnień długich godzin, których natura więcej mężka użyłaby na kształcenie umysłu. Koniecznością więc były dla niego troski codzienne i praca przymusowa. Dlatego tak skwapliwie przyjął godność, którą odrzucił jego rozsądny przyjaciel.

Razem z Saint-Phlinem i Suret-Lefortem utworzyli komitet redakcyjny.

— Nie jestem ani filozofem, ani politykiem—

odezwał się z niezadowoleniem Renandin: Nie mogę zatem pisywać do dziennika, który współpracownikom nie wypłaca honorarium; sprzeciwia się temu moja etyka zawodowa. Możesz mi jednak powierzyć sprawozdania teatralne; zdaje mi się, że teatr nie obchodzi żadnego z was, chyba Leontynę. Będę jej przysyłał łoże.

— My zaś będziemy je sprzedawali — rzekł Racadot.—Leontyna może pójść na paradyz.

— A mnie wykreślicie z komitetu dlatego, że jestem ubogi—zaczął się skarżyć Mouchefrin.

Wpisano go więc również. Racadot nie oponował.

— Od kiedyż to mularz pobiera zapłatę przed ukończeniem budowy gmachu? Jesteś człowiekiem pracy, Mouchefrin. Ty, ja i Leontyna zajmiemy się administracją naszego dziennika.

Wszyscy podali sobie dłonie w inny trochę sposób, niż to czynili zwykle; obecnie byli przecież spółnikami.

Zakładanie dziennika z kapitałem 40,000 franków, kiedy zdaniem znawców przedsiębiorstwo podobne wymaga miliona, a najściślejszy wykaz miesięczny wynosi 196,000 franków, możnaby uważać za szaleństwo.

Ale w r. 1872—1882, w epoce wielkich spekulacji, każda agencja giełdowa, aby zachwiać kapitalistów z prowincyi i dać im potrzebne wskazówki, utrzymywała własny dziennik. Finanse jednak cddawały pierwszeństwo prasie politycznej, która się stykała z publicznością i umiała ją roznamiętnić. Ztąd powstała wielka obfitość dzienników, z których kilka zrobiło ogromne fortuny, przeważnie na emisjach rozmaitych papierów procentowych. Niewątpliwie wielki krach czerwcowy r. 1882 od dwóch lat przerwał te operacje finansowe i spowodował upadek wielu pism, między innymi „*Prawdziwej Rzeczypospolitej*,” w r. 1884 zapowiadano jednak powrót

dawnego systemu; wobec tego można usprawiedliwić Racadota, że nie rozumiał, iż ten rodzaj handlu upadł bezpowrotnie. Zresztą chłop z Custines czuł się zdolnym do wysiłków, które pokonać mogły wszelkie przeszkody—do wysiłków biedaka.

Koncesję uzyskano bardzo prędko, ale rozpoczęcie wydawnictwem odłożył Racadot na sześć tygodni, chcąc się zapoznać bliżej ze sposobem prowadzenia dziennika. W tym czasie uczył się drukarstwa i wiódł długie rozmowy z chwającym sobie niepomiernie metrampażem. Wzorowy administrator, wypędzony przez Portalisa za oszustwo, ale bardzo „zręczny,” był podoficer kawaleryi, z twarzą przystojną i głosem ujmującym, wtajemnicza go w zakulisowe sprawy administracyi pisma:

— Pierwszy warunek, kochany panie, jest ten, aby administrator miał koniecznie w swym pokoju dwoje drzwi.

Podobnie jak do młodych lekarzy na prowincyi zbiegają się z całego powiatu chorzy nieuleczalnie i niepłacący pacyenci, tak przez biuro Racadota przesuwiał się codziennie korowód zapoznanych adeptów dziennikarstwa. Byli tam ludzie uczciwi i łotrzy, i tacy, którym się w życiu nie powiodło dzięki wadom umysłu lub charakteru, tak silnie rzucającym się w oczy, jak np. ślepotą lub głuchotą, a którzy jednak niepowodzenie swe uparcie przypisywali „pechowi.”

Racadot, prawiąc im tysiące grzeczności, kończył:

— Na początek nie płacimy nic.

A potem, na wzór ludzi prowadzących interesy podejrzane, dodawał:

— Mieście panowie ufność we mnie!

Szóstego dnia jednak rozpedził całą tę hałstwą, skierowując wszystkie swe usiłowania na wydobycie od Renaudina informacji niezbędnych.

Reporter, nie znając dokładnie materyalnych

środków kolegi, popchnął go do tego przedsięwzięcia, olśniewając perspektywą zdumiewających zysków. Kiedy już wszystko było urządzone, stał się w swych wskazówkach mniej wyraźnym. Zapytaniem Racadota, dla którego zdobycie publiczności handlowej i finansowej było czemś tak koniecznym, jak jedzenie i picie, przeciwstawił się inercyi. Ze wzruszeniem człowieka, odwołującego się do uczuć dzieciństwa, Racadot mówił:

— Mój drogi, powiedz mi, w jaki sposób zorganizować biuletyn finansowy?

— Ba—odparł Renaudin — to już rzecz specjalisty, prowadzącego biuletyny. Kiedy twój dziennik stanie się wpływowym, factorzy z giełdy sami się zlatywać będą do twej redakcyi; tymczasem zostawić musisz wszystko naturalnemu biegowi rzeczy. Biuletyn twój traktować musi sprawy giełdowe ryczałtowo, podając, krótkie wzmianki, albo też umieszczając od czasu do czasu jakiś artykuł w szpaltach samego dziennika. Ażeby prowadzący biuletyn zbierał potrzebne wiadomości gorliwie, nie płac mu honorarium stałego, ale 15—25%₀ od 100.

— 25%₀—zawołał Racadot—ależ w takim razie ja sam będę prowadził biuletyn!

— To bardzo praktycznie z twojej strony... tylko... czy potrafisz? Czy będziesz wiedział dokąd się zwrócić? Bardzo często finansiści uciekają się do pośredników, do agentów, którym dają wskazówki i pewną sumę pieniędzy do rozdania między rozmaite dzienniki. Naprzykład aferę Panamską prowadzi Bation i Privot, kupili oni już ośmiuset ludzi. Czy potrafisz zawiązać stosunki z tymi panami?

— Postaram się, żeby się mnie lękano.

Renaudin wzruszył ramionami.

— W takim razie musiałbyś osiąść przynajmniej cząstkę prawdy: nikt się nie rodzi szantażystą!

Oczy Racadota, przekonanego o własnej bezsilności, nabiegły krwią. Tylko pięciu dni brakowało do ukazania się pierwszego numeru.

— Co ja ci zrobiłem złego! — zawołał. — Dlaczego przemawiasz do mnie w ten sposób? Czyż nie widzisz, jaką mi przykrość wyrządzasz?... Ty, dawny kolega, nie chcesz mi dopomódz?!...

Wreszcie Renaudin był zadowolony; Racadot, nie mogąc się obejść bez jego wskazówek, zgodził się płacić mu pensję miesięczną i dał z góry trzysta franków.

Sturel, Roemerspacher, Saint-Phlin i Suret-Lefort nie dowiedzieli się wcale o tych manipulacjach pieniężnych.

Maj roku 1889-go był dla gromadki liceistów z Nancy okresem intensywnego życia duchowego i pobudzenia energii życiowej, skierowanej nareszcie na jakiś przedmiot zewnętrzny. Wychowanie odebrali czysto książkowe, przyszła chwila, kiedy miało ono przynieść owoce: powiększą mnóstwo istniejących pisemek. Będzie to zatwierdzeniem ich dojrzałości, pierwszym czynem samodzielnym po długim i ślepem naśladownictwie. Gorące dni maja i czerwca młodzi ludzie spędzili w dusznym pokoju przy obrzydliwej ulicy de Croissant, kombinując i obmyślając warunki, mogące zapewnić powodzenie dziennika.

Wszyscy są niedoświadczeni, ale właśnie dlatego tak żywo się przejmują swoim zadaniem; dlatego wkładają tyle energii i zapału przy tworzeniu planów i wprowadzenia ich w życie.

— Nieźle byłoby — rzekł pewnego dnia Racadot — gdybyśmy sprawą naszego dziennika potrafili zainteresować jakieś osobistości wybitne.

Wszystkim przyszedł na myśl Bouteiller, Roemerspacher i Sturel udali się więc któregoś poranku na ulicę Denfert-Rochereau, gdzie profesor zajmował skromne mieszkanie na trzecim piętrze. Krok

swój traktowali bardzo poważnie; nie uczuwali najmniejszego zmieszania, ponieważ w oczach tych marzyścielskich wysoka inteligencja była synonimem wielkiej dobroci. Zresztą przekonani byli, że mają zupełne prawo do złożenia wizyty byłemu profesorowi, kwestya, którą z nim chcą roztrząsać, leży w zakresie jego kompetencji.

Posłali najpierw swe bilety wizytowe. Professor liceum Karola Wielkiego przyjął ich z uprzejmą prostotą, bez czezej frazeologii, zaczynając odrazu rozmowę w tonie poważnym i łatwym. Głosem pięknym i niskim, który tak głęboko wraził się im w pamięć za czasów licealnych, zapytał:

— A więc jesteście już paryżanami, moi panowie?... Lata biegną szybko i teraz mam już przed sobą ludzi dorosłych. Jak pojmujecie swój obowiązek? W jaki sposób zamierzacie pracować dla kraju?

Wedle umowy, Roemerspacher miał mówić pierwszy, przysunął więc swe krzesło do biurka, przy którym siedział Bouteiller, i zaczął z widocznym zakłopotaniem, które jednak ustępowało powoli:

— Szanowny pan, opuszczając liceum w Nancy wyraził życzenie, że nie chciałby tracić z oczu dawnych uczniów. Na tej podstawie ośmieliliśmy się przyjść dzisiaj. Jest nas tu sześciu: Suret-Lefort....

— Widuję go czasami—przerwał Bouteiller.

— ... Mouchefrin, który rozpoczął studia medyczne, ale musi ciężko pracować na kawałek chleba; Racadot, który dla tego samego powodu porzucił prawo; Sturel kończy właśnie licencyat; ja zaś studuję medycynę, ale z największym zamiłowaniem pracuję nad historją. Dzisiaj wszyscy moi koledzy ukończyli już prawie swe studia; chcą wstąpić w życie, a raczej—wyrażając się trochę pretensjonalnie, lecz ściśle—znaleźć sposób do życia.

— Wiem—odparł Bouteiller—że Suret-Lefort

chce zostać adwokatem; mówiono mi nawet, że ma dobrą wymowę, zimną krew i dużo powagi — przymiot rzadki w jego wieku. Wiem także, iż Mouchefrin z trudem iść musi przez życie. Ale wy, panowie, co zamierzacie robić z sobą?

— My wszyscy zakładamy dziennik.

— Tak! — rzekł Bouteiller.

Piękna jego twarz ożywiła się nagle, w oczach zapaliły się jakieś ogniki pełne ironii. Był to przebłysk chwilowy, zaledwie uchwytny, ale akcent szyderski dźwięczał jeszcze w powietrzu, niepokojąc i raniąc obu młodych ludzi; w tem „tak” zawierało się całe morze ironii, mówiło ono: „Tak! doprawdy, kochani panowie! tylko dziennik!... Do licha! Wieje od was zawsze Nomény i Neufchateau!...” Sturel, wrażliwy bardzo, odczuł doskonale, że w słowie tem nie było ani cienia dobroci, tylko gryzące szyderstwo, w którym przebijała się raczej wyższość polityka, niż powaga filozofa. Natychmiast jednak zapanował nad wyrazem swej twarzy, nad wzrokiem i głosem, rzucając spokojnie uwagę:

— To ciekawe!

Słowa te wypowiedział jak człowiek, który już przywdział maskę zwykłą. Ci marzyciele potrącili niespodziewanie o tajemny przedmiot jego własnych marzeń. Przystąpił odrazu do kwestyi głównej:

— Potrzeba dużo pieniędzy.

Roemerspacher zaczął tłómaczyć, że dziennik będzie miał małe wydatki, dzięki bezpłatnej redakcyi.

Bouteiller spostrzegł się odrazu, że ma do czynienia z dzieciakami naiwnymi, nie znającymi życia, mogli jednak mieć przynajmniej pieniądze. Wyznanie Roemerspachera obudziło w jego duszy pogardę; zamknął się więc w lodowatej obojętności. Podobnie woda, nalana do butelki przy temperaturze zamarzania, przekształca się na masę stałą przy najłżejszem poruszeniu naczynia.

— A więc, moi panowie — zaczął znowu — chcąc zakładać dziennik, wziąć udział w życiu politycznym, przyjrzelicie się zapewne rozmaitym stronnictwom, zbadaliście charaktery i zdolności przywódców, mówców, publicystów?... Jakież są wasze sympatyje polityczne? Do jakiego przyłączycie się obozu?

— Będziemy wypowiadali szczerze nasze przekonania, a opinia ogółu zaliczy nas do takiego lub innego stronnictwa - odezwał się Franciszek.

Bouteiller, nie schodząc z piedestału, wygłosił:

— Panie Sturel, posiadasz pan wykształcenie i zdolności umysłowe, interesujesz się sprawami publicznymi, powinieneś tylko przez lat parę pracować jako sekretarz przy boku jakiegoś zdolnego polityka. Znalazłbyś takie miejsce z łatwością.

Sturel poczerwieniał i spojrzął na Roemerspachera, jak gdyby go wzywał na świadka.

Ten wtrącił się natychmiast:

— Niewątpliwie, rada pańska, panie profesore, byłaby doskonałą, gdybyśmy działalność publiczną traktowali jako karierę, gdybyśmy mieli na względzie korzyść osobistą.

Bouteiller zmarszczył brwi i wyciągnął rękę... Zaczynali drażnić siebie wzajemnie, jak ludzie przekonani odmiennych.

— Mylisz się pan, panie Roemerspacher, rada moja nie ma bynajmniej charakteru utylitarne nego. Lecz pójdę jeszcze dalej i prawdopodobnie zadziwię panów: Nie kwestyonuję waszych zdolności literackich, nie pytam o to, czy je zużytkować potraficie. Przypuszczam, że tak... ale tego jeszcze za mało. Chciałbym wyjaśnić wam wasz obowiązek.

Ton, jakim wypowiedział ten wyraz „obowiązek,” mógłby stropić Roemerspachera, lecz młody Lotaryńczyk nigdy nie tracił w dyspucie równowagi i nie czepiał się słów. Nie podniósł więc i tym

razem słowa „obowiązek,” które padło tak niespodziewanie, stanął tylko w obronie swych przekonań.

— Mam dużo bardzo pracy, a jednak zgodziłem się złączyć moje usiłowania z usiłowaniami przyjaciół, których nie zadowalniała działalność dotychczasowa i którzy chcieli zerwać z życiem półsennem. Dziennik nas pociąga, jako środek odtworzenia epoki tak, jak się ona w naszym umyśle odbija... jednym słowem, wypowiedzenie naszego własnego ideału.

— Panie Roemerspacher, panie Sturel, prawdopodobnie zadziwię was jeszcze więcej: mam dwóch przyjaciół, z których jeden jest krawcem z Nancy, a drugi ogrodnikiem w jednym z miasteczek Lotaryngii. Kiedy moja praca, mój obowiązek — znowu podkreślił to słowo — pozwalają mi na chwilę wypoczynku, udaję się do nich i z najwyższą rozkoszą spędzam czas na rozmowie z nimi. Za co ich tak kocham? Za to, że życiem swoim dają mi nieustanny przykład najzupełniejszego poddania się dyscyplinie. Wypełnili sumiennie swój obowiązek w r. 1870-ym walcząc z Niemcami; wypełniają go dzisiaj, stojąc w obronie programu, sformułowanego przez wielkiego wodza partii republikańskiej, Gambettę. Oto ludzie pożyteczni dla społeczeństwa, ludzie, których kocham i szanuję!

— A nas pan potępia?

— Nieświadomie może uchylacie się jednak panowie od dyscypliny!... Wyobrażacie sobie, że nowe pokolenie przynosi nowe ideały!... I to właśnie ukazuje mi przepaść, istniejącą między nami... Posłuszeństwo dyscyplinie pociąga za sobą wyrzeczenie się własnego *ja*; jest to najważniejsza zaleta, dużo potrzebniejsza dla stronnictwa od inteligencji. Cóż bowiem znaczą ideały pokoleń pojedynczych, ideały osobiste jakiejś jednostki? Zapewne, z przyjemnością konstatuję fakt, że w masach budzą się nowe potrzeby: świadczą one o podniesieniu pozio-

mu ludowego. Jeżeli w obecnym stanie demokracji francuskiej liczba obywateli umiejących się podpisać na kontrakcie małżeńskim wzrosła o 2%, jest to objaw nieskończenie ważniejszy, niż oryginalne wyrażanie jakiejś myśli niepospolitej. Nie szukajcie żadnych szczególniejszych przyczyn do wyodrębnienia się. Najlepiej zrobicie, przyłączając się do stronnictwa rządzącego krajem; nie stawajcie w szeregach opozycji jako jednostki zbuntowane lub ofiary.

Cztery lata temu, również w maju, Bouteiller upoważnił swych uczniów do stawienia się u niego w Paryżu. Przyszli dzisiaj, lecz nie uznaje ich za swe dzieci duchowe. On sam też zmienił się bardzo! Dawniej był filozofem, mistrzem dusz, wychowawcą, rozwijał umysły, a teraz uparcie trzyma się sfery poglądów politycznych. Oczywiście jest rzeczą, że ten fanatyk postanowił ich słów nie rozumieć. Dzisiaj bowiem celem jego nie jest owładnięcie umysłami klasy piątej w Nancy, ale zaprowadzenie nad potężną ligą komitetów politycznych; ich już językiem przemawia. Wstaje z miejsca i głosem, który działa na nich zdawna nieprzepartą potęgą, kończy:

— Panowie, są dwa rodzaje republikanów: republikanie, którzy się nimi urodzili, nie znoszący, żeby ktoś Rzeczpospolitą krytykował, i republikanie teoretyczni, którzy o Rzeczypospolitej tworzą pojęcie dowolne, zależnie od swych upodobań. Wy należycie do kategorii drugiej. Takich ludzi mogę szanować, ale ich nie uznaję. Możemy się w życiu spotkać z sobą, ale się nie porozumiemy nigdy. Sturel i Roemerspacher powstali z krzesel. Odprowadził ich do drzwi, pożegnali się ukłonem, bez podania ręki.

Gdy się znaleźli na ulicy, spojrzeli na siebie więcej zdumieni niż rozgniewani. Po przyjsciu do redakcyi przy ulicy Croissant zaczęli opowiadać

o swej wizycie kolegom, ale ci również nic nie rozumieli.

— Ostatecznie jakież są jego przekonania?—zawołali obaj.

— Oportunista, radykał, zależnie od środowiska — odparł Renaudin.

— Właściwie—poprawił Suret-Lefort—jest on gambetystą, który żywi wstręt do niektórych zmian, zaprowadzonych przez Juliusza Ferry, np. konwencji kolejowych i t. d.

— A więc te wszystkie wielkie słowa, jak: „obowiązek...” „zbuntowani...” „ofiary...” wreszcie anatema ostateczna, wynikły ztąd, że nie oświadczyliśmy się ani za radykalizmem, ani za oportunistycznym?!

Renaudin znajduje, że jego przyjaciele są jeszcze bardzo młodzi, skoro się mogą wzruszać tak łatwo, i twierdzi z obojętnością człowieka doświadczonego:

— To tylko sztuczki kuglarskie. Trzeba było oddać dziennik do jego rozporządzenia.

Zapanowało powszechne oburzenie. Jakto, Bouteiller miałby być hipokrytą, faryzeuszem?! Tłómaczenie Renaudina nie podobało się nikomu.

— Nie—zaprzeczył Roemerspacher.—To filozof, któremu się zdaje, że posiadał prawdę... Rozmawiałem przecież długo z Taine'm. I on, podobnie jak Bouteiller, cześci prawdę i służy jej wiernie. A jednak nie chciał mnie ujarzmić, ani nagiąć mych przekonań do swoich. Czyż dlatego, że Bouteiller umiał pogodzić zasady filozoficzne z naszymi prawami i polityką rządu, czuje się upoważnionym zabronić nam szukania prawdy, stworzenia własnego ideału? Dogmatyzm dozwolony jest tylko temu, kto się powołuje na prawdę, której rozum roztrząsać nie może, mianowicie na dogmaty religijne. Ażeby nas przekonać, że „obowiązek” nakazuje nam służyć jakiemuś stronnictwu—jak to nam powtarzał kilkakrot-

nie—powinien był wykazać związek, istniejący między tymi ludźmi i ich zasadami a naszym wyznaniem wiary... To jeszcze za mało, że obwieszczają oni pewniki ekonomiczne, finansowe, wojskowe etc; ażeby usprawiedliwić podobne wymagania, ich system społeczny powinienby się stosować nietylko do materialnego porządku rzeczy, ale zadowalniać również i aspiracye wyższe, ideały religijne... Suret-Lefort w głębi duszy uważał, że Sturel i Roemerspacher podczas owej wizyty odstąpili od rzeczy głównej, weszli na manowce przez jakąś drażliwość dziecianną. Winszował sobie, że nie poszedł razem z nimi. Cała rozmowa wydawała mu się nudną i postanowił ją przerwać:

— Czy przypominacie sobie—rzekł — słynny traktat Robespierre'a o stosunku idei religijnych i moralnych do zasad republikańskich?

Od trzech lat już Suret-Lefort rozwijał swój talent oratorski, studyując mówców znakomitych. Powstał i z wielkim zapałem zaczął deklamować wzniosłe ustępy, świadczące o podniosłym nastroju i potędze tego bohatera nieludzkiego:

„— Wszelka doktryna, przynosząca ukojenie i uszlachetniająca dusze, powinna być przyjęta; odrzucajcie tylko takie, które poniżają i psują człowieka. Obudzajcie w sobie i rozwijajcie wszystkie uczucia szlachetne, wszystkie wielkie idee moralne, które chciano stłumić. Któż wam powierzył misję obwieszczenia narodowi, że bóstwo nie istnieje? Zapalacie się dzisiaj do suchej idei nicości, a nie umieliście się nigdy zapalić do miłości ojczyzny? Jaką korzyść widzicie w przekonywaniu ludzi, że losami ich kieruje siła ślepa? Że cnota i zbrodnia jest dziełem przypadku? Że dusza ludzka jest tylko lekkim tchnieniem rozwiewającym się u wrót grobu?”

„Czyż idea niebytu zdolną jest natchnąć człowieka uczuciami czystszeimi i wznioślejszeimi niż idea nieśmiertelności? Czyż może w nim obudzić więcej

szacunku dla bliźnich i dla siebie samego, więcej poświęcenia dla ojczyzny, więcej odwagi do walki z tyranją, większą pogardę śmierci?...

Suret-Lefort stał oparty o ścianę, z wyrazem podniosłego wzruszenia na twarzy, przejęty do głębi duszy; harmonijność deklamowanych wyrazów narzucała mu na chwilę i samą doktrynę Robespierre'a. Saint-Phlin z oczami pełnemi łez, Roemerspacher, Sturel, gardzący konferencyą Molé, z podziwem i pewnym szacunkiem patrzyli na przyjaciela, którego nie posądzali o tak wielki talent krasomówczy, o tak świetną dykcję. Pod wpływem upajającego złudzenia, że wszystko, co zapala dusze, musi koniecznie być prawdą, prosili go, by mówił dalej:

„Niewinność ginąca na rusztowaniu bladocią pokrywa lica tyrana. Zkądżeby płynęła jej moc, gdyby mogła zrównać mogła ofiarę i kata?...

„Im głębszy jest umysł, im większą uczciwość człowieka, tem mocniej się on przywiązuje do idei, podnoszących jego istotę wewnętrzną, uszlachetniających serce; doktryna ludzi tej miary staje się doktryną świata...”

„Idea istoty Najwyższej i nieśmiertelności duszy jest nieustannem wołaniem o sprawiedliwość; jestto więc idea społeczna i republikańska.”

Słowa te, wypowiedziane z niezwykłą siłą i potęgą, owiały obecnych jakimś tchnieniem tragizmu; młodzi ludzie, szarpani rozterką duchową pod wpływem wizyty u Bouteillera, odzyskali wysokie poczucie swego zadania. Gallant de Saint-Phlin rzekł z pośpiechem:

— Prababka moja w r. 1793 zginęła na gilotynie. Należymy do rodziny bardzo starej, pochodzącej z Barrois, prowincyi autonomicznej. Rewolucya zatem została nam narzuconą; Francya również. Ale chociaż Rewolucya i Francya zachowały się względem nas wrogo, uchyliliśmy przed niemi czoła, jesteśmy ich dziećmi. Jeżeli Bouteiller podziela

przekonania Robespierre'a, dlaczego uważał, że jesteśmy niegodni ich zrozumienia?

— Co do mnie—rzekł Sturel—nie mam mu za złe tonu religijnego i wzmianki o obowiązku. Nie obawiam się jakobinizmu o wielkim zakroju: czyż nie ja was zaprowadziłem do grobu Napoleona? Niech Bouteiller poda nam jakąś zasadę, któraby podniosła ducha; całym sercem przyjmujemy jej konsekwencye.

— Robespierre ma słusność—rzekł Roemerspacher;—dla stworzenia obowiązku społecznego konieczną jest religia. Nie ta religia, która występuje do walki z wiedzą, ale taka, któraby wiedzę wspierała. Tylko gdzie szukać tej jedności żywotnej?

— W katolicyzmie — rzekł Saint-Phlin.

— Katolicyzm we Francji -- odparł wzgardliwie Suret-Lefort—reprezentują kongregacye i jezuici; łącząc się z nimi, natychmiast staniemy się niepopularni.

Saint-Phlin, bardzo podniecony, przerwał natychmiast:

— Identyfikujesz katolicyzm z klerykalizmem, który jest przejściowym stanem ducha, podtrzymywanym przez zaczepki administracyjne. Katolicy, usuwani systematycznie od udziału w rządach, nieustannie prześladowani nieprzychylnymi rozporządzeniami, należą do rasy francuskiej, na ich miejsce rząd stara się podstawić jak najwięcej protestantów i Żydów, z których większość posiada jeszcze przyzwyczajenia dziedziczne, sprzeczne z tradycją narodową.

I zwracając się do Sturela i Roemerspachera, dodał:

— Czyż i wy także będziecie mieszacli klerykalizm, tę karykaturę religii, wylęgłą w zakrystiach, z religią prawdziwą, stanowiącą taką potęgę w życiu społecznem, ożywiającą kraj ten od wieków?

— Słuchaj, mój drogi — odparł Roemerspacher.

cher — my przecież nie stworzyliśmy tego pomieszania pojęć. Suret-Lefort stwierdza tylko, że ono istnieje. Z drugiej strony, czyż to moja wina, że umysł mój odrzuca wiarę w objawienie, nawet widząc korzyść oczywistą, wypływającą z jej przyjęcia?... Nie utrudniajmy dyskusji; co do mnie, przysięgam, że ze względu na dobro społeczne koniecznym jest związanie naszych obyczajów, przesiąkniętych duchem encyklopedyzmu, z jakąś zasadą: wzmocnić i zjednoczyć naród za pomocą uczucia religijnego było zadaniem wielkich myślicieli z pierwszej połowy naszego wieku. Jeżeli Bouteiller zadanie to rozwiązał, ten ton wyższości, na który wzruszamy ramionami, byłby zupełnie uprawniony.

Suret-Lefort twierdził z uporem:

— Podziwiam genialne sentencje Robespierre'a, ale człowiek ten nie dopiął celu.

Tradycja naszej ojczyzny jest wyłącznie polityczna. Potrzeba jedynie, aby Rzeczpospolita wykazywała swą potęgę. Chimera jest szukanie oparcia w jakimś uczuciu religijnem, które obalić może sarkazm.

Sturel i Saint-Phlin protestowali gwałtownie. Roemerspacher zaczął przekonywać, że zgoda między nimi jest możliwa:

— Saint-Phlin powiedział wielką prawdę: „My Lotaryńscy pragniemy widzieć potężną tę Francję, która się zwróciła przeciw nam. Pragniemy rozwoju idei rewolucyjnej, która dla wielu z nas mogła być okrutną.” Znaczy to, że jesteśmy patryotami francuskimi i że przyjmujemy tradycje encyklopedystów. Patryoci, zwolennicy dyktatury, encyklopedyści, oto trzy terminy, którymby jakaś zasada wyższa dodać mogła powagi niezaprzeczalnej, znaczenia religijnego.

Wszyscy się zgodzili, że jest to bardzo piękny

program dla *Prawdziwej Rzeczypospolitej*. Jeden tylko Racadot myślał ze smutkiem:

„A jednak Bouteiller mógłby uzyskać dla nas subwencyę!”

ROZDZIAŁ XI.

Numer pierwszy.

29-go czerwca r. 1884 raniutko wszyscy koledzy zebrali się w biurze, ażeby zdecydować ułożenie pierwszego numeru, który miał się ukazać na-
zajutrz. W początku lata! Racadot, porwany optymizmem Renaudina, obawiał się czekać jesieni, ażeby mu ktoś „nie zdmuchnął” dziennika z przed nosa.

Cały miesiąc ostatni Racadot przeżył wśród pracy gorączkowej. Uczył się drukarstwa, administrowania, tajemnych ścieżek, prowadzących do rozgłosu, zapominając o miłości własnej, kazał sobie powtarzać jedną i tę samą rzecz po wiele razy, zanudzał swemi pytaniami wszystkich, aby tylko mieć pewność, że zrozumiał dobrze. Niekiedy miewał i chwile słabości, wątpił o powodzeniu. Czasem znów wyobraźnia jego potęgowała wiedzę Roemerspachera, zręczność Sturela, stosunki Saint-Phlina, Suret-Leforta, Renaudina. Ozdabiał postacie kolegów wszelkimi talentami, wpływami, zdolnością do poświęceń. Była to halucynacya chłopca, który swe krowy, cielęta i owce uważa za najpiękniejsze z całego rynku.

Spotykali się zawsze w redakcyi. Zajmowała ona trzy małe pokoiki, z oknami od podwórza. Na odgłos kroków nadchodzących redaktorów ogarniało Racadota podobne wzruszenie, jakie przejmuje duszę młodego i niedoświadczzonego chłopca, który przed

pierwszym w życiu pojedyńkiem słyszy na schodach kroki sekundantów.

— Wychodź, wychodź prędzej—mówił wtedy do Leontyny, wypychając ją do sąsiedniego pokoju.

Wkładał pośpiesznie surdut, kupiony na rachunek wydatków ogólnych. Od dzieciństwa cechowało go zawsze zaniedbanie w stroju i w ruchach, teraz przywdziewa uroczystą maskę eleganta w żałobie. Renaudin zasiada pierwszy z miną proroka. Mouche-frin kręci się gorączkowo. Inni wyjmują z kieszeni i z pugilaresów przygotowane artykuły. Racadot dziękuje gorąco, z góry obsypuje pochwałami, starając się w ten sposób obudzić w nich miłość do dziennika... Nagle przerywa potok miodopłynnej wymowy, aby zamknąć kałamarz—pocóż ma wysychać atrament.

Z wyrazu twarzy poznać łatwo, że współpracownictwo swe traktują bardzo poważnie. Roemerspacher zaznajamia wszystkich z rodzajem nowej pracy i obecnością swą dodaje im otuchy. Zatracił już trochę dawną zwinność młodzieńczą, nabierając lekkiej otyłości i jakby ociężałości ruchów; cechuje go zawsze jakaś niedbałość i pewien wdzięk wielkiego pracownika, żarłoka i frazesowicza. Mówi dużo, ale wyraża się bardzo ściśle. W słowach jego uderza rozbiegłość i dokładność nabytej wiedzy.

Bez cienia próżności i lęku odczytuje swój artykuł ze swobodą i prostotą uczniaka, który wie, co mówi i gotów jest w każdej chwili zdanie swe umotywić. Równocześnie w drugim pokoju Leontyna pisze list do swej przyjaciółki w Verdun: „Zapytujesz mnie o nowe zajęcie Honoryusza. Znasz Wiktora Hugo? A więc Honoryusz jest także Wiktorem Hugo...”

Artykuł Roemerspachera jest to właściwie studjum o Taine'm; artykuł bardzo poważny i dobrze napisany, ale ciężki, stanowiący prawdziwą klęskę dla pierwszego numeru dziennika; zająć mo-

że wszystkich, interesujących się rozwojem *Prawdziwej Rzeczypospolitej*, ale nie szerszą publiczność. Roemerspacher jest bardzo prawy i sumienny, dlatego nie uważa pisma za przedsiębiorstwo handlowe, nie rachuje się z objawem znamionnym, że gust czytelników zwrócił się wyłącznie w kierunku pornograficznym i że mały kapitał, którym rozporządza Racadot, nie pozwoli im gustu tego skierować na tory poważniejsze; nie rozumie, że to właśnie on, Roemerspacher, dla przyjemności pisania tego, co myśli, zabije *Prawdziwą Rzeczpospolitą*. Racadot tymczasem, pełen najlepszych nadziei, łączy swe oklaski z powodzią zachwyków Sturela, Saint-Phlina, Suret-Leforta.

Teraz przychodzi kolej na Sturela.

Z wielką nieśmiałością odczytuje tytuł: „Znaczenie bohaterów,” dostrzegając jednak ruch Renaudina, który ani słowa zarzutu nie podniósł przeciw artykułowi Roemerspachera, ale zdawał się być już zgnębiony nadmiarem filozofii, czuł się w obowiązku wypowiedzieć coś w rodzaju przedmowy:

— Roemerspacher śmiał się nieraz ze mnie, że tyle wagi przywiązuję do roli, jaką odgrywają w historii osobistości wybitne. Jest to myśl zajmująca, ale bardzo naiwna—mówił—pozostawić ją należy dzieciakom i umysłom maluczkiem, nie mogącym ogarnąć mnogości i różnorodności przyczyn... Bardzo dobrze! Zgadza się z nim najzupełniej; nie mam zamiaru dowodzić, że jakaś jednostka niezwykła tworzy historię; twierdę tylko, że ma ona wielkie znaczenie jako bodziec rozwoju i czynnik wychowawczy.

Wierzę w użyteczność przejściową ludzi, wyprzedzających społeczeństwo, oraz w konieczność uznania autorytetu i powołania do steru bohatera narodowego w chwilach zamętu pojęć moralnych jakiegos kraju.

Sturel urwał nagle, stropiony zupełną nieru-

chomością przyjaciół; u Roemerspachera wynikała ona ze skupienia uwagi, u Renaudina wyrażała nagane, u Racadota niepokój. Nie chciał już czytać swego artykułu, ale prosił, by go przejrzeni przyjaciele; Racadot więc wziął do ręki manuskrypt, a inni czytali przez jego ramię, oddając sobie przeczytane ćwiartki. Pomimo dwudziestu trzech lat, Sturel zachował nieśmiałość dziecka.

Łatwo zrozumieć, że jednostka tego rodzaju nie mogła się przejąć komercyjnymi usiłowaniami Racadota.

Ażebymy ocenić artykuł Sturela, nie posiadającego swady literackiej i nie umiejącego oddać wszystkich porywów ognistej duszy młodszej, aby zrozumieć głębokość jego myśli, gdy głosił konieczność stworzenia „bohatera narodowego,” należało się przenieść daleko, do jego kolebki rodzinnej, do Neufchâteau w Wogezach.

Neufchâteau nie jest bynajmniej miejscem, któreby, podobnie jak biuro redakcji *Prawdziwej Rzeczypospolitej*, rościło pretensje do urabiania dusz; mieszkańcy naaśladowują wiernie wszystkie nowości przybyłe z Paryża, a jednak Neufchâteau w przeciągu całych wieków wytwarzało dusze odrębne.

Tam się urodził Sturel, tam spędził pierwszych dziesięć lat życia, tam jeździ trzy razy do roku dla odwiedzenia matki. Głuchy ten zakątek posiada parę starożytnych kościołów i gmachów; zamieszkuje go kilka rodzin „dobrego pochodzenia.” Powoli jednak zmniejsza się tu ilość ludzi całą duszą przywiązanych do gleby rodzinnej. Pozostają tylko bardzo stare kobiety, które bez cienia mistycyzmu, jedynie przez próżniactwo i instynktowe poszanowanie powagi oddały się dewocyi.

Dlaczego te małe miściny tak zatracają swój charakter odrębny? Dlatego, że synowie ich emigrują do stolicy, a na kresach osiedlają się Niemcy.

Rasa germańska wypiera ludność miejscową na całym wschodzie Francji. Czy stoi od niej niżej? Bezwarunkowo tak, ponieważ jest obcą. Dzięki tej imigracji typ francuski modyfikuje się i paczy. Wyjątkowo zachował się w Sturelu, o którym można powiedzieć, że jest dzieckiem kobiet. Na jego stronę duchową oddziaływała silnie ukochana matka, tak rwąca się do życia, i babki, typowe przedstawicielki dawnej Lotaryngii. Sturel czuje do nich jakby cień urazy za ich idee znieruchomiałe, prawie zacofane, ponieważ się sprzeciwiały jego wyjazdowi do Paryża; a jednak nieświadomie może ulega wpływom tego ginącego gatunku. Z zadowoleniem odnajduje w sobie nić sympatii do starych współrodaków, do starożytnych uliczek rodzinnego miasteczka.

Pewnego razu, podczas świąt Wielkanocnych, które spędzał w Neufchâteau, stojąc w oknie przyglądał się Żydom, mieszkającym naprzeciwko ich domu. Odprowadzali gości. Chociaż znał całe miasteczko, ludzi tych nie widział nigdy. Stojąc na chodniku, prowadzili ożywioną rozmowę, której towarzyszyły ruchy wymowne i wyrazista gra twarzy.

Sturel, przesiąknięty ideami, zaczerpniętymi w kolegium w Neufchâteau, patrzył na tych intruzów bez nieprzyjaźni, ale z dziwnym smutkiem. „Jaki może być łącznik między mną a tymi ludźmi? Czy można odnaleźć między nami jakąś wspólność uczuć?... Mniej wykształceni od tych nomadów, mniej odcytani w dziennikach, mniej znający Paryż, mieszczenie z Neufchâteau, zatopieni w interesach rodzinnego zakątka, stanowią typ prawie zanikający; a jednak ich sposób odczuwania wrażeń, pojmowania życia, zachwycania się, oburzania i rozczulania jest mi bliskim i zrozumiałym. W nas jest coś, co się zanalizować nie da: wspólność tradycji, ona w nas wytworzyła takie samo sumienie.”

Ostatnia podróż do Neufchâteau była bardzo

korzystną dla Franciszka. Zgromadził wtedy zapas wrażeń, które uświadomił sobie trochę później. Wiejący z nich smutek natchnął go do napisania artykułu treści następującej: Paweł Déroulede i Liga patryotów rzucając Francji hasło: „Przysięgamy poświęcić wszystkie nasze siły dla podniesienia poziomu naszej ojczyzny w najszerszym tego słowa znaczeniu,” wysławiając Metz i Strasburg i stawiając na indeksie wytwory przemysłu niemieckiego, zasługują na uznanie najwyższe, gdyby bowiem uczucie, przepełniające ich serca, ogarnęło wszystkich, to, niewątpliwie z łona narodu powstałby bohater któryby wolą swą zmusił państwa do rewizji traktatu politycznego i handlowego, podpisanego we Frankfurcie w 1871 r. Ale myśmy mieli nietylko Sedan wojskowy, polityczny, finansowy i przemysłowy, ale jeszcze i Sedan duchowy. Celem naszym obok odzyskania całości terytoryalnej, powinno być zachowanie ducha narodowego w jego czystości pierwotnej.

Zdanie wielkiego patryoty z XVI-go w., podniesione przez Déroulede'a, odznacza się wspaniałą, imponującą ścisłością: „Najważniejszą jest rzeczą, aby wszystkie pierwiastki francuskie dzisiejszej Francji ocknęły się ze snu, zespoliły i doszły do zupełnego z sobą porozumienia.”

Czyż odwołanie się Franciszka do typu francuskiego nie zyskałoby na sile, gdyby się był przyznał otwarcie, że genezą jego artykułu jest owa podróż do Neufchâteau? Artykuł ten, napisany bez talentu, odznaczał się pewną niejasnością. Młody człowiek nie uświadomił jeszcze swych idei dokładnie, nie przetworzył ich w swym umyśle, nie mógł więc ani przed sobą samym, ani przed szerszym ogółem sformułować wyraźnie myśli przewodniej: „Osłabionej Francji brak energii do zasymilowania pierwiastków obcych. A jednak jest to warunek niezbędny do życia narodu. We wszystkich epokach

historycznych Francya była tym wielkim szlakiem, którym zbrojne plemiona płynęły z północy na południe; ludność miejscowa wchłaniała żywioły obce, potęgując w ten sposób swe siły. Dzisiaj gromady tych włóczęgów bezdomnych urabiają nas na swoje podobieństwo!"

Artykuł ten zadowolił Roemerspachera, który odnalazł w nim echa myśli, nurtujących jego własną duszę. Wobec zachwytów wzajemnych, które wypowiadali najwybitniejsi współpracownicy *Prawdziwej Rzeczypospolitej* Racadot nie ośmielił się wspomnieć o obawach, które się w nim obudziły. Wyszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie ujrzał Mouchefrina, opowiadającego Leontynie, że artykuły są nudne śmiertelnie; chcąc ulżyć sobie, wybuchnął gniewem na obie nieszczęsne ofiary losu. Wobec hałasu wywołanego tą kłótnią, Saint-Phlin nie mógł odczytać swego artykułu przed areopagiem improwizowanych redaktorów.

Młody arystokrata dalej jeszcze niż przyjaciele posunął swą obojętność dla interesów *Prawdziwej Rzeczypospolitej*.

Chcąc przekonać Roemerspachera i Suret-Leforta, krytykujących chrześcijaństwo, postanowił stanąć w obronie tej doktryny:

— Odstreżca was ton zakrystyi. Ale czyż filary anty-klerykalizmu, taki Bouvard, Homais, wydają się wam sympatyczniejsi od sług Kościoła? Porównywajmy system oparty jedynie na wiedzy z systemem katolickim. Katolicyzm nadał narodowi nowożytnym dyscyplinę moralną, której nikt dotąd nie umiał oprzeć na nauce. Pocóż szukać czegoś innego?

Prawdą jest to, co zaspakaja nasze potrzeby duchowe, podobnie jak dobrym pokarmem nazywa się taki, który podtrzymuje zdrowie naszego organizmu.

Roemerspacher jako najzdolniejszy i najwięcej

stanowczy, odgrywa rolę naczelnego redaktora, chociaż odmówił przyjęcia tytułu; przeciwko artykułowi Saint-Phlina oponuje stanowczo:

— Dobrze, uznaję wyższość katolicyzmu nad innymi religiami objawionymi; dał on ludzkości niezrównaną dyscyplinę społeczną. Cóż jednak na to poradzę, jeżeli rozum mój buntuje się przeciwko pewnym dogmatom, po odrzuceniu których cały gmach rozpada się w gruzy?

Sturel nie interesuje się wcale tak zwanym „katolicyzmem administracyjnym”. Porywa go poezja ascetyzmu, doktryna poświęcenia i zaparcia się siebie — to wszystko, do czego właśnie ma wstręt Saint-Phlin, optymista z natury i przekonany, że tylko z optymizmu czerpać można siły potrzebne do walki życiowej.

Suret-Lefort, w którego pamięci przechowały się wspaniałe maksymy religijne, nie uznaje wcale teologii za podstawę cywilizacji. W głębi duszy śmieje się — nawet z tego twierdzenia. Przez wyrozumowanie jednak postanowił sobie być o tyle uprzejmym w stosunkach z ludźmi, niezależnie od tego, czy są jego przyjaciółmi, czy też przeciwnikami — o ile był nieubłaganym na punkcie zasad. I miał słuszność: ludzie wybaczą wszystko, prócz ukłóć osobistych. Dlatego oświadczył ze spokojem najzupełniejszym:

— Oczywiście, że każdy z nas ma pogląd odrębny na kwestyę religijną. Podziwiam Saint-Phlina; żądam tylko, ażeby nikt ze współpracowników nie narzucał innym swych przekonań. Nie mógłbym pisywać do *Prawdziwej Rzeczypospolitej*, gdyby nie było zaznaczonem wyraźnie, że wyznanie wiary Saint-Phlina jego tylko obowiązuje.

Saint-Phlin, nie znający zupełnie zwyczajów prasy, oświadczył, że wycofuje się z redakcji.

— Nie chciałbym krępować nikogo... wolę się usunąć.

Ale Roemerspacher i Sturel protestują energicznie. Pociąga ich delikatność, wdzięk i prostota przyjaciela.

Suret-Lefort znajduje, że koledzy tracą czas napróżno; w głębi duszy myśli wzgardliwie:

„Poeci! Poeci!” On jednak również jest poetą, jeżeli pod tem słowem rozumieć mamy jednostki, patrzące na rzeczy przez szkło powiększające. Konsekwencye podobnej nadwrażliwości mogą być zadziwiające; niekiedy jednak bywają oplakane. Suret-Lefort, z pewną wzgardą traktujący przyjaciół za ich nieskończone rozprawy o rozwoju narodowym, o znaczeniu bohaterów, o możliwości znalezienia łącznika społeczno-religijnego po za obrębem religii objawionych, uważa za punkt ciężkości świata konferencyę Molé, której jest jednym z członków najwybitniejszych. Postanawia poświęcić w szpaltach *Prawdziwej Rzeczypospolitej* cały szereg artykułów.

Wiadomo, że konferencyę Molé założyli w 1832 roku zwolennicy domu Orleańskiego bracia Bocher przy współudziale kilku przyjaciół; celem konferencyi było roztrząsanie kwestyj prawodawczych, historycznych i ekonomiczno-politycznych. Posiedzenia tego *simili*-parlamentu odbywają się raz na tydzień, od listopada do czerwca, w auli Akademii medycznej; podobnie jak w Izbie parlamentu, znajduje się tam kancelarya, trybuna, pulpity, centrum, prawica i lewica. Konferencya wydaje biuletyn tygodniowy, zawierający streszczenie rozpraw i dysput, teksty zażaleń i wniosków. Pomiędzy dawnymi prezydentami wymienić można Wołowskiego, Goularda, Duvala, Hervé, Ribota, Gambettę, Renaulta i Méline'a. Jest to jakby laboratorium, gdzie młodzi ludzie śmiało i szczerze wypowiadają prawdę, uczą się szanować swych przeciwników, rozwijać w nieskończoność myśl, którąby się dało

wyrazić w paru słowach, korzystać z błędów przeciwnika i zastosować umiejętnie kilkadziesiąt dowcipnych zwrotów, wynalezionych przez starych żonglerów trybuny.

W roku 1884 posiedzenia w Molé należały do najświetniejszych. Liczba członków obecnych na każdym posiedzeniu wahała się między 80—200. W swych interesujących artykułach Suret-Lefort podał charakterystyki najwybitniejszych z pomiędzy młodych kolegów.

Z całej paczki współpracowników *Prawdziwej Rzeczypospolitej* najwięcej zmysłu dziennikarskiego posiadał Mouchefrin. Rozumiał on doskonale, że publiczność nie żąda od dziennika myśli wzniosłych, tylko faktów sensacyjnych i wiadomości bieżących mniejszej lub większej wagi.

O drugiej po północy załatwiono się wreszcie z dziennikiem. Roemerspacher, Sturel, Saint-Pflin i Suret-Lefort opuścili redakcję, a Leontyna porozkładała na ziemi materace i przygotowała posłania. Usnęli wśród zgrzytu i hałasu drukarni.

Racadot obudził się o piątej rano i natychmiast rozwinął swój dziennik. W pierwszej chwili zdawało mu się, że wspaniały ten dokument jest nieczytelny. Około południa udał się do kilku piwiarni, gdzie się zbierali dziennikarze. Przyjęto go dobrze, ponieważ mógł wziąć manuskrypty do wydrukowania; z tego samego powodu nie szczędzono ostrych krytyk redaktorom. Nic więc dziwnego, że się wzruszał niepomierne, gdy na zapytanie: „Co przynosisz dzisiaj?” przyjaciele odpowiadali spokojnie: „Ciąg dalszy.”

Byli jednak wioślarzami jego barki i ze względu na własny interes musiał się z nimi solidaryzować. Nie miał pieniędzy, nie mógł więc bezpłatnych redaktorów zastąpić innymi.

Po upływie trzech dni powiedział jednak do Sturela:

— Dziennik nie jest bynajmniej utworem poetyckim, filozoficznym lub historycznym. Lubię rodzaj zdecydowany.

Było to zdanie Napoleona, a dzisiaj jest zdaniem większości, i jako takie, wystarczy zupełnie Racadotowi, który nie pragnie bynajmniej bujać w obłokach, lecz ma na względzie interes kuplecki.

Sturel odparł:

— Właśnie napadamy ostro na inne dzienniki. Stawiamy postulaty. Podajemy zasady, mogące zdobyć czytelników, których potrzeby duchowe dotąd mało były uwzględniane. Jest to doświadczenie bardzo interesujące.

— Nie mogę sobie pozwolić na robienie doświadczeń—zawyrokował Racadot.

W pierwszym tygodniu prowadzenia dziennika spotkały Racadota dwie przyjemności:

Pewnego dnia przyszedł do biura brudny chłopak, posepny, z oczami pełnymi entuzjazmu i błagał, by go przyjęto do pomocy, ponieważ zachwycała go *Prawdziwa Rzeczpospolita*. Był to mały Fanfournot, syn stróża, którego niegdyś na żądanie Bouteillera wydalono z liceum. Był sierotą, bez żadnych środków materyalnych. Zapłaty nie żądał, przyjęto go więc na służbę bardzo chętnie, nie pytając o kwalifikacje. Prócz tego, kilku deputowanych za pośrednictwem Renaudina wyraziło chęć pisywania do *Prawdziwej Rzeczpospolitej*.

— Ale w jaki sposób wynagrodzić ich pracę?

— Każdy deputowany—odparł Renaudin—stale poszukuje gościnności jakiegoś dziennika. Jeżeli jej nie znajdzie bezpłatnie, gotów nawet kraść, aby tylko ją kupić.

Wszystkie wielkie skandale parlamentarne

wywoływały zawsze wystąpienie jakiegoś przedstawiciela narodu, który się poczuwał do obowiązku wydawania kroniki politycznej, zwykle tak niejasnej i niezrozumiałej, że się nic z niej dowiedzieć nie było można.

— A więc pocóż to wszystko?

— To ci wyrobi stosunki.

Racadot zapytał siebie w duchu, czy Renaudin przypadkiem nie kpi z niego, i pożałował, że się nie udało porozumieć z Bouteillerem.

ROZDZIAŁ X.

Rok walki.

Pierwszym zawodem Racadota był smutny fakt, że znalazł tylko dwudziestu prenumeratorów, zamiast pięciuset, których miał nadzieję zdobyć przy pomocy numeru okazowego, rozdawanego przy pomocy współpracowników w znajomych kółkach towarzyskich.

Około 5,000 numerów sprzedawano codziennie w kioskach i na ulicach, tak, że dochód miesięczny wynosił 4,700 franków, zamiast spodziewanych 15,000.

Racadot przymuszał się do optymizmu. Jak to się nieraz zdarza, chcąc zdobyć powodzenie blagował, że mu się powodzi świetnie; wpadał w gniew straszny, gdy przed nim wypowiedano obawy, miotające tajemnie jego własną duszą. Zwierzał się otwarcie tylko przed jednym Renaudinem, w którego kompetencję wierzył głęboko.

Rozmawiał z nim zawsze półgłosem, z bijącym

sercem wyczekując odpowiedzi, potwierdzającej jego czarne przeczucia.

— Precz ze słabością!—odparł spokojnie Renaudin, a biedny olbrzym, słysząc te słowa, chciał go porwać w objęcia.

— Wszystkie powagi wyrażają się o naszym dzienniku z uznaniem. Teraz przejdźmy do kwestyi poważnej.

— Wiem — odparł Racadot—że dziennik w tych warunkach nie może istnieć długo.

— Daj mi 33⁰/₀ od całego obrotu *Prawdziwej Rzeczypospolitej*, a ja nią pokieruję.

Renaudin rozpoczął już bezlitośnie, dawno uplanowane wyzyskiwanie przyjaciela. Z wielkim trudem zarabiał zaledwie trzysta franków miesięcznie, gdyby mógł tę sumę podwoić i zapewnić sobie ośm tysięcy franków rocznego dochodu, uszczęśliwiłby siebie, matkę i siostrę. Dla tej marnej sumy nie wahał się pozbawić Racadota całego majątku.

— 33⁰/₀! I to od wszystkich manipulacyi.

Racadot przetarł ręką czoło. Zniósł ten cios mężnie, ale resztki wiary w przyjaźń ulotniły się bezpowrotnie.

Renaudin ujął za rękę nieszczęśliwą ofiarę ideologii, sprowadzając biedaka na grunt rzeczywistości.

— Przed dwoma laty w pierwszym lepszym banku moglibyśmy dostać miesięczną subwencję w kwocie 2,000 franków. Dzisiaj deskę ratunku przedstawia tylko sprawa panamska. Tam zawsze otrzymać można zaliczkę; a teraz, kiedy we wrześniu puszczają w obieg nową seryę akcji, będą prawdopodobnie jeszcze przystępniejsi. Podziałem pieniędzy zajmuje się Maryusz Fontane; nie znam go, ale mogę cię przedstawić baronowi Reinachowi; jest to jedna z największych finansowych potęg Pa-

ryża. Na sprawy kompanii wywiera on wpływ wielki, a jej obrotami interesuje się mocno. W gruncie rzeczy Renaudin myślał o wyzyskaniu środków, któremi rozporządzał Fontane na swoją korzyść wyłączną, dlatego nie chciał popierać sprawy Racadota osobiście. Wskazał tylko koledze drogę, a sam pragnął pozostać w cieniu, ażeby później, gdy zapuka do biura Panamy w swym własnym interesie, nie usłyszeć odpowiedź: „Już otrzymałeś swą częśćkę, kochanku!”

Na reklamy w prasie, na przekupywanie ministrów, deputowanych i różnych osobistości wpływowych wydała kompanja 23 miliony franków; cyfrę tę czerpiemy z jej ksiąg biurowych, przypuszczając jednak należy, że dużo wydatków tego rodzaju ukryto, zapisując je pod inną rubryką.

Zarząd temi pieniędzmi spoczywał najpierw w rękach Lévy-Crémieux, później zaś Maryusza Fontane. Od roku 1886-go Lesseps, widząc, że sprawy przybierają obrót krytyczny, zajął się osobiście ważną kwestyą udzielania subwencji i kierował nią przy pomocy barona Reinacha aż do chwili wybuchu katastrofy. Sporządzono budżet przewidywanych wydatków: dzienniki i przeglądy otrzymywały wsparcia zależne od stopnia wpływów politycznych i poczytności; udzielano też pomocy ludziom prowadzącym biuletyny giełdowe i niektórym agentom.

Administracya wolałaby wprawdzie pozostać przy raz ustanowionym budżecie, ale przyciśnięta do muru naleganiami i groźbami, wpisywała na listę coraz nowe nazwiska, powiększając nieustannie przeznaczony na ten cel kapitały. W przerwach między jedną emisją a drugą hojne datki nie ustały.

Było to bardzo roztropnie ze strony młodych ludzi kołatać o wsparcie za pośrednictwem finansi-

sty. Feodalizm nie wygasł doszczętnie: każdy osobnik wpływowy posiada swoją klientelę, która mu się wysługuje, a w razie potrzeby, gotowa nawet wystąpić w jego obronie.

Na audyencyi u barona Reinacha obaj nowicyusze zaczęli zachwalać wpływy swego pisma.

Renaudin twierdził, że dziennik cieszy się olbrzymią poczytnością wśród młodzieży.

— Tego rodzaju czytelnicy nie posiadają zwyczaj żadnych kapitałów do umieszczenia—odparł Reinach z uśmiechem człowieka, który się swemi operacyami popisuje wobec debiutantów.

— Mamy też czytelników wśród kół uniwersyteckich—dorzucił Renaudin, mocno zgryziony fałszywością kroku poprzedniego.

Dziennikarz i finansista, układający się o subwencję, wyglądają jak dwaj szermierze podczas fechtunku. A kiedy pomimo świetnej obrony, zwycięstwo zostaje przy dziennikarzu, podają sobie dłonie w dowód wzajemnego szacunku. Dzisiaj Reinach czuł się lekko upokorzonym, że skrzyżował szpadę z przeciwnikiem tak niedoświadczonym. Podczas rozmowy przeglądał niedbale kilka numerów *Prawdziwej Rzeczypospolitej*.

— Macie panowie po dwadzieścia pięć lat, a w piśmie niema nic pornograficznego! Czyżbyście byli naiwni?

Przerzucił jeszcze kilka numerów, wreszcie rzekł:

— Przedewszystkiem nie mam upoważnienia od kompanii. Zresztą udzielamy pomocy tylko tym, którzy mogą jej żądać. A panowie jesteście na to za słabi.

— Baronie — rzekł Renaudin—czyżbyś pan chciał dla marnych stu luidorów zrobić sobie nieprzyjaciela?

Był to frazes genialny, ale zakrawał raczej na

karotę, niż na rozbój. Renaudin od lat najmłodszych miał zdolności w tym kierunku. Jakób de Reinach raczył się uśmiechnąć i obiecał wpisać ich na listę.

W kilka dni później Renaudin i Racadot stawali się w biurze kompanii Panamskiej przy ulicy Caumartin. Wiedziano już tam o nich, ale zamiast subwencji miesięcznej w kwocie 2,000 franków, jak się spodziewali, dano im tylko czek na tę sumę dla jednorazowego jej podniesienia.

Wchodząc spotkali kilku wybitnych kruków prasy i parlamentu.

Renaudin wymieniał półgłosem ich nazwiska, Racadot zaś, rozgoryczony niepowodzeniem, wybuchnął:

— Ci pójdą na galery wcześniej odemnie!..

Mylił się srodze.

— Cierpliwości!—rzekł Renaudin.—Niech sobie stary Lesseps mówi co chce, ale kanał jeszcze nie wykopany. Mamy przed sobą dużo czasu i możemy go zmusić, żeby się z nami rachował. Cieszę się, że jego skapstwo nie obowiązuje nas do wdzięczności. Uważaj te sto luidorów jako zaliczkę... i ciesz się z tych pieniędzy. Pójdziemy teraz na obiad do Foyot. Przy cygarze dam ci różne dobre rady.

Dobry obiad i butelka wina sprawiły obu w dobry humor. Renaudin poklepał kolegę po ramieniu, poprawił monokl i rzekł:

— Chcesz robić dobre interesy, a prowadzisz dziennik przy pomocy chłopaków zdolnych wprowadzić, ale skończonych ideologów!.. Jeżeli ja idę na zebranie koleżeńskie do grobu Napoleona, niema w tem nic dziwnego, jestem bowiem reporterem; na wszystko, co widzę, zapatruję się spokojnie; nie zdrząłbym nawet przy wymierzaniu kary śmierci; ale ty, przebywając w ich towarzystwie, narażasz się

na niebezpieczeństwo zamącenia jasnego sądu o rzeczach. Oni cię sprowadzają z drogi właściwej... Czy widziałeś się z Bouteillerem?

— Nie, to straszny egoista, może nawet faryzeusz.

I z wielką irytacją zdał sprawozdanie z wizyty Sturela i Roemerspachera u byłego profesora.

— Ależ znam tę historię wybornie!... zapytuję cię jednak, czy widziałeś się z nim osobiście. Nie używaj nigdy pośredników! Przyjaciele nasi przestraszyli Bouteillera. Byłby on gotów niewątpliwie podtrzymać ludzi, idących z nim ręką w rękę; ale w słowach Roemerspachera i Sturela dostrzegł ideje, które z czasem mogą zwyciężyć jego własne zasady... Ktoś zręczniejszy od ciebie otrzymałby już oddawna jakiś urząd publiczny.

— Całe moje nieszczęście, że wplątałem się w przedsiębiorstwo z ludźmi, którzy za lat piętnaście mogą zostać ministrami. Oni nie zrobią ustępstw żadnych; gotowi raczej do ruiny doprowadzić kolegów uboższych.

— Przetrwaj lat piętnaście, a staniesz się ich parawanem, a nawet, jeżeli jesteś o tyle sentymentalnym, że chciałbyś się zemścić, będziesz mógł każeć im śpiewać na swoją nutę.

Widząc, że cygara kosztują półtora franka, Racadot oświadczył, że woli cygaretki swojej roboty. Na tle wesołego otoczenia restauracji wywierał wrażenie myśliciela, roztrząsał właśnie trudne zadanie, jakim sposobem prowadzić dziennik przez lat piętnaście, mając zaledwie 4,000 kapitału.

Myśl jego wróciła do barona Reinacha: utrzymywał, że baron obiecał im subwencję miesięczną; zarzucał mu kłamstwo i dwulicowość, lecz zarazem podziwiał spryt wielkiego finansisty.

— To stary, wytrawny łotr—rzekł Renaudin—ale bardzo usłużny. Stanowi on łącznik między

światem politycznym a finansowym, Wszystkie nici trzyma w swych rękach i w tem właśnie leży jego siła.

Jednakże wzrok Renaudina nie sięga daleko! Wyobraża sobie, że jego zwierzchnicy bezpośredni stoją na szczycie hierarchii. Nie dostrzega licznych szczebli pośrednich. I Bouteiller i baron Reinach rozkazują ludziom takim jak Renaudin i Racadot, ale sami ulegają potęgom wyższym, których nawet nie zna publiczność kawiarni „Madryt” i „Kardynała,” zwanych „salonami demokracji.” Renaudin, chełpiący się, że wtajemniczył Racadota w zakulisowe sprawy polityki, zakończył wreszcie:

— Widzisz, co za wspaniały przyczynek do historii! Czyż nie wart ludora?

— Dużo już poznałeś wpływowych bankierów? — zapytał Racadot, rumieniąc się, że Renaudin odgadł jego myśli.

— Najlepszym sposobem zaznajomienia się z kimś jest poznanie gruntowne jego charakteru. Wszystkie te filary giełdy drżą przed echem wiadomości dziennikarskich

— A więc mógłbym zmusić Reinacha do zapłacenia za uczyniony mi zawód!

— Byłoby lepiej, gdybyś go zmusił do wyrównania deficytu *Prawdziwej Rzeczypospolitej*.

I Renaudin niezwłocznie podyktował naiwnemu uczniowi, co następuje:

„Dobrzy patryoci ze zdumieniem zwracają naszą uwagę na wielkie znaczenie, jakie w sferach rządowych odgrywają salony bankierów niemieckich. Gdyby jakiś reakcjonista przyłączył się do stronnictwa rządowego przed dwoma dniami, trzymanoby go na uboczu—i zupełnie słusznie. Dlaczegoż więc niektóre osobistości, urodzone we Frankfurcie i zaledwie niedawno naturalizowane, cieszą się tak potężnym wpływem w naszych ministeryach, szczegól-

nie w ministeryum wojny? To skandal prawdziwy. Mamy nadzieję, że nie będziemy potrzebowali wracać więcej do tej kwestyi.”

Racadot pobiegł do drukarni. Wzmianka powyższa ukazała się w numerze dnia następnego. Renaudin zaniósł ją natychmiast na ulicę Murillo.

— Baronie—rzekł—przychodzę się usprawiedliwić i prosić o przebaczenie, że przedstawiłem panu swego kolegę z *Prawdziwej Rzeczypospolitej*. Nie jest to zły człowiek, tylko niedoświadczony. Prawdopodobnie dotknięty chłodnem przyjęciem, którego doznał w kompanii, umieścił wzmiankę zaczepną, którą obowiązuję się powstrzymać.

Bankier przeczytał dziennik z nieufnością, podejrzewając zamach na swoją kieszeń.

Renaudin, chcąc podnieść w jego oczach znaczenie *Prawdziwej Rzeczypospolitej*, zaznaczył, że redaktorami jej są uczniowie Bouteillera.

— Dla profesora Bouteillera żywię szacunek najgłębszy—przerwał Reinach—ujrzemy go w przyszłej Izbie. Niewątpliwie zajmie tam miejsce wybitne.

Renaudin przedłużał rozmowę, o ile tylko przyzwoitość na to pozwalała; w końcu jednak przy pożegnaniu rzekł:

— Ostatecznie, szanowny panie, niech pan będzie zupełnie spokojny, wzmianka ta nie ukaże się wcale. Poproszę jednak, ażeby wizyta moja pozostała między nami. Dla ułatwienia zaś mego zadania niech pan nie przyjmuje właściciela *Prawdziwej Rzeczypospolitej*, gdyby przyszedł do pana.

— Ma się rozumieć, kochany panie Renaudin. Bądź pan przekonany, że przy sposobności miło mi będzie usłużyć panu. Oceniam najzupełniej pańskie zdolności.

— Wspomnij pan coś o tem redaktorom dzienników.

— Ależ naturalnie!... Czy pan jest myśliwym? W takim razie zapraszam pana na polowanie na przepiórki do Nivilliers, gdzie pan będzie mógł się spotkać z niektórymi redaktorami.

W parę dni później Racadot, rachujący na znaczną subwencję miesięczną, ukazał się w kancelaryi barona Reinacha. Przyjął go jakiś sekretarz, rozwiewając natychmiast urocze złudzenia.

— Pan baron zajęty.

— Kiedy się z nim można zobaczyć?

— O, pan baron bardzo zajęty... Zdaje mi się nawet, że ma zamiar wyjechać. Gdyby pan sobie życzył, mógłbym mu powtórzyć pańskie życzenie.

— Chciałbym się z nim zobaczyć osobiście! — nastawał dalej Racadot tonem niegrzecznym.

— A ja panu powtarzam, że baron nie przyjmuje! — odparł tym samym tonem kancelista, wstając z krzesła, by odprowadzić natręta do drzwi.

— Niech i tak będzie — wybuchnął Racadot z wściekłością psa, przed którym usuwają upatrzony kasek. — Z panem Reinachem rozmówi się *Prawdziwa Rzeczpospolita!*

— Kwestye osobiste nie obchodzą mnie wcale, ale w razie skandalu zmuszony będę przywołać policję.

Racadot opowiedział swemu doradcy o całym tem przejściu. Renaudin śmiał się długo zimnym, trochę sztucznym śmiechem. Cała ta hałaśliwa kłótnia w kancelaryi bankiera wydała mu się bardzo komiczną. Przez dni kilka zwlekał z dostarczeniem koledze środków do walki, wreszcie zaczął mu ją odradzać: „Lepiej — mówił — dać przykład uprzejmości, gdy się jest słabszym.” *Prawdziwa Rzeczpospolita* pojednała się z Reinachem, podając wzmiankę o polowaniu w Nivilliers, w którym wzięli udział Bouteiller, Renaudin i kilka wybitnych filarów prasy.

Rola Renaudina w całej tej sprawie z Reina-

chem wydała się Honoryuszowi Racadot dosyć niejasną. Nie miał jednak czasu bawić się w psychologię; podniósł już owe 2,000 franków i teraz marzył o następnych.

Na świecie wszystko się kończy tranzakcją między optymizmem naszych marzeń a szorstkością życia rzeczywistego i wzniesieniem gmachu nowych nadziei.

Nieszczęściem postępowanie Sturela nie pozwalało rozwinąć się w całej pełni architektonicznym zdolnościom dwóch przyjaciół. Młody redaktor naczelny czuwał nad dziennikiem, pilnie przeglądając starannie wszystko, od pierwszego wiersza do ostatniego. Odrzucił sprawozdania Mouchefrina, jako niezajmujące; twierdził, że wiało od nich atmosferą ulicy Montmartre. Subtelności te drażniły Racadota, który uważał, że rozporządzać się w gazecie powinien ten, kto daje pieniądze. Do końca września wydatki dosięgły okazałej cyfry piętnastu tysięcy franków. Racadot jednak zachowywał spokój pozorny, nie wybuchnął ani razu. Niedowierzając trochę Renaudinowi i nie mając wielkiej pomocy z zupełnego oddania się Mouchefrina, Leontyny i Fanfornout, pragnął utrzymać zgodę ze zdolniejszymi kolegami, a równocześnie uczynić dziennik „więcej nowożytnym, rozsądniejszym.” Któż zresztą zdoła przewidzieć przyszłość? Może z czasem koledzy ci zdobędą bogactwa, urzędy i będą mogli udzielić pomocy *Prawdziwej Rzeczypospolitej*.

— Kochany redaktorze—odezwał się pewnego razu do Sturela—pismo redagowane jest znakomicie, ale niestety, wydajemy zbyt dużo pieniędzy. Winna temu nasza naiwność. Radzono mi właśnie bardzo cennego współpracownika, który równocześnie będzie się mógł zająć reklamą. Dziennik prosperuje wtedy, gdy robi dobre interesy, nieprawdaż?

Cóż na to mógł powiedzieć Sturel?... Nazna-

czono spotkanie w restauracyi na polach Elizejskich w godzinie obiadowej.

Bardzo ugrzeczniomy, ale pełen godności nowy współpracownik oświadczył, że czuje się bardzo szczęśliwym, mogąc uścisnąć dłoń naczelnego redaktora *Prawdziwej Rzeczypospolitej*. Gdyby Sturel był pozostał w Lotaryngii, nigdy w życiu nie byłby widział błyszczących lakierów, ani tak lśniącego cylindra. W całym zachowaniu się tego człowieka opatrnościowego, kiedy się witał, usprawiedliwił, pozwalał mówić innym, albo poruszył kwestye pieniężne — a czynił to z pewną wzgardą, rachując zawsze na luidory — przebijała się wyraźnie drażliwość, mająca świadczyć o wysokiem poczuciu honoru. Niepewnem tylko było jego spojrzenie i bielizna.

Na tym obiedzie przypadkiem niby znalazł się i Renaudin.

— Oto i pan Renaudin — odezwał się wielki mąż na widok przybysza. — A potem rzekł do Sturela:

— To człowiek bardzo poważny. On również potwierdzi moje słowa, że dzienniki egzystują tylko dzięki reklamie.

— Ale o jakiej pan mówi reklamie i o jakich interesach?

Racadot wtrącił się natychmiast:

— Interes, oczywiście, jest dobry wtedy, gdy przynosi zyski.

Cień smutku przemknął po wyrazistej twarzy Sturela. Niespokojnie zaczął się rozglądać po sali, znajdując, że jego współbiesiadnicy mówią zbyt głośno.

— Wybaczą panowie — zaczął znowu gość. — Rozumiem pana Sturela najzupełniej. Widzę, że panby się nie chciał podjąć interesów byle jakich. Dla zwykłego komersanta jest to kwestya bez zna-

czenia; ale pan Sturel, który prawdopodobnie zamierza obrać karierę polityczną, powinien się rachować nawet z drobnostkami, ponieważ w okresie wyborczym niechętni przeciwnicy czepią się byle cienia.

— Do licha!—wygłosił Racadot, którego żółw z sosem zielonym pobudził do niezwykłej szczerości—prawda, że się zdarzają i niewłaściwości... Ale, swoją drogą, pieniądze to rzecz bardzo miła.

— Ostatecznie jednak—przerwał Sturel, tracąc powoli panowanie nad sobą—mamy pisma, które pod względem finansowym stoją świetnie, nie bawiąc się w żadne afery wątpliwej wartości.

— Doprawdy? I któreż mianowicie?

Sturel wymienił kilka. Przy każdej nowej nazwie gość opatrnościowy zwracał się do Renaudina z uśmiechem porozumiewawczym. Racadot z gorliwością neofity sztydził z upodobaniem. W przeciągu pół godziny zrobili przegląd największej szanowanych publicystów współczesnych; trzech, czy czterech z nich Sturel lubił za szlachetność i sympatyczne zasady. Oskarżenia kolegów nie przekonały go wcale; przykro mu tylko było niezmiernie, że w obec niego ośmielono się znieważać ludzi uczciwych. Chcąc przerwać tę rozmowę, rzekł:

— Gdybyście nawet mieli słuszość, czego nie przypuszczam wcale — wysoki bowiem poziom umysły tych ludzi wydaje mi się świadectwem pewniejszym niż podłe oszczerstwa—nie wezmę nigdy udziału w podobnych szachrajstwach.

— Podłe oszczerstwa! szachrajstwa!—zamruczał gość, którego Renaudin starał się uspokoić — ba, ależ nikt tu nikogo nie zmusza!

Obrażony w swej godności chciał nawet płacić za swój obiad.

Racadot starał się załagodzić niemiłe zajście.

— Kochany panie, może kieliszek kminkówki?

— Ależ pan nie zrozumiał Sturela—twierdził Renaudin.

Wielki człowiek okazał się wspaniałomyślnym i usuwając na bok subtelną drażliwość, zaczął wypowiadać swe przekonania otwarcie, kładąc rękę na stole i przebijając palcami.

— Szanuję wszelkie przekonania; gdybyśmy zawiązali ze sobą stosunki, pan Sturel mógłby zawsze odrzucić interes, który mu się podobać nie będzie. Ja będę podawał projekty, on je osądzi, a ja się zastosuję do jego decyzji, kimże bowiem jestem? Człowiekiem uczciwym, któremu się nie poszczęściło w baccara, ale dla Boga, człowiekiem, który pomimo to nigdy nie zapominał o honorze.

Sturel, wzruszony przerażeniem Racadota i obawiając się śmieszności, na jaką łatwo mógł się naradzić moralizując przy cygarze, rzekł:

— Czy macie już na myśli jakąś aferę? Zdaje mi się bowiem, że się sprzeczamy o skórę na baranie.

— Kochany przyjacielu—rzekł Renaudin—opowiedz Sturelowi interes, który na razie ma widoki powodzenia.

— A więc, słuchajcie panowie—zaczął zniżając głos—dowiedziałem się o dosyć skandalicznej historii, w którą zamieszany jest bogaty kupiec i adwokat, a która się ukaże niewątpliwie przed kratkami sądowymi. Otóż w wiadomościach bieżących wymienimy bez żadnych obstępów nazwisko adwokata, który nie posiada grosza złamanego i zaznaczymy, że rozpoczynamy ankietę w celu poznania nazwiska kupca, stanowiącego firmę bardzo poważną. Pod pretekstem interviewu udaję się do niego i obiecuję milczenie za grubę pieniądze.

Tu spojrział na wszystkich z wyrazem tryumfu.

— Dosyć! — wykrzyknął Sturel, zrywając się z miejsca.

Schwycił kapelusz, laskę, rękawiczki i wybiegł z restauracyi.

— Niech i tak będzie!— zaczął gość urażony -- ale nie ręczę zupełnie za powodzenie *Prawdziwej Rzeczypospolitej*.

Renaudin dopędził Sturela, który rzekł do niego:

— Wszystko to nie podoba mi się wcale.

Renaudin zaczął go uspakajać, przemawiając tonem, jakim się mówi do dzieciaka zdenerwowanego i rozgrymaszonego:

— Rozumiem doskonale, co ciebie niepokoi. Tego ananasa należałoby pilnować bacznie, ale w gruncie rzeczy to dobry chłopak: przedstawiśz mu swój pogląd na rzeczy, a on się zastosuje do twych wymagań.

Sturel, słuchając tej mowy obrończej, a następnie wyjaśnienia różnicy między sprzedażą milczenia, nie mogącą pociągnąć za sobą następstw niebezpiecznych, a artykułami wywierającymi presję, „do których odnosić się należy wogóle z wielką ostrożnością,” wyobraził go sobie na ławie oskarżonych, albo w domu poprawy, upokorzonego, wychudzonego, i myślał: „Jednak o ileż łatwiej jest żyć z dogmatem!”

Teraz widział jasno, że dawny kolega zatracił zupełnie poczucie uczciwości.

Zrażony i zniechęcony, postanowił przy pierwszej sposobności zerwać z *Prawdziwą Rzeczypospolitą*.

Zaledwie dotknąwszy stopą bagnistego brzegu ogromnej kłoki, jaką się stała prasa paryska pod wpływem szantażu ogólnego—jest nim cały system parlamentarny francuski — Sturel pragnie się cofnąć. W tej chwili przełomowej widzimy jasno, że posiada on umysł wykwintny, dużo zapалу młodzieńczego, ale brak mu steru.

Sturel wracał z owego obiadu późnym wieczorem. Pogoda była cudna. Przechodząc pod cieniem drzew na polach Elizejskich smutny i zgnębiony, wywierał wrażenie człowieka, przed którym nagle zerwano zasłonę. Zdawało mu się, że dotąd pędził życie konwencyjonalne, pogrążony w nieświadomości. Wykazywanie sprzeczności, istniejącej między życiem wymarzonem a chłodną rzeczywistością, stało się już tematem bardzo oklepanym. Ale tego wieczora Sturel rozdźwięk ten odczuwał boleśnie i gwałtownie. Dotknięty był we wszystkich swych pojęciach o ludziach i rzeczach. Z dniem każdym nabierał więcej doświadczenia, ale też stawał się coraz posepniejszy.

Pierwszego października Sturel zrzekł się godności redaktora naczelnego i przestał przychodzić do biura redakcyjnego; posyłał tylko stale swoje artykuły. Współbiednik z restauracji na Polach Elizejskich, do którego odrazu powziął antypatyę, mianowany został sekretarzem gazety; natomiast uwolniono administratora, byłego ucznia Portalisa. Nowy współpracownik biegał bez wytchnienia od biura Towarzystwa kolejowego do biura ekspedycji morskiej itd. Po ośmiu dniach starań bezowocnych, nie tracąc optymizmu, rzekł do Racadota:

— Nikt *Prawdziwej Rzeczypospolitej* nie traktuje poważnie. Musimy podnieść jej znaczenie!

Za pomocą kilkudziesięciu franków zaczerpnął trochę wiadomości o nadużyciach urzędników i ogłosił szereg artykułów, wymierzonych przeciwko niektórym instytucjom kredytowym. Racadot żałował tego wydatku, który na razie nie przyniósł spodziewanych korzyści.

— Dotknięci są niewątpliwie!—twierdził niezrażony sekretarz.—Ale zadraśniętą jest ich miłość własna: nie chcą się przyznać, ażeby w gazecie nie

rachowano na nich jako na źródło dochodu. Trzeba im dowieść, że mamy inne środki ratunku.

Następnie wynalazł jakiegoś spekulanta, który pożyczał pieniądze na zakładanie rozmaitych przedsiębiorstw. Ale ten wierzył tylko w hazard ślepy i naciągnąć się nie dał: nie zrozumiał związku między przyczyną i skutkiem.

Następnie nowy filar *Prawdziwej Rzeczypospolitej* zaznajamiał Racadota z najrozmaitszemi osobistościami, które, chodząc w dziurawych butach, miały ciągle na ustach wyrazy: „uczciwie,” „szczerze”. Dowiadywał się o coraz nowych negocyantach, „zdolnych się zainteresować dziennikiem,” ale których obdarzał kolejno mianem „wzbogaconych inteligentów” lub też „zarozumiałych parweniuszów.” Potrzebni mu byli ludzie mogący ofiarować krzyż, albo urząd deputowanego.

— O, gdybym mógł się widywać z Portalisem, jak pan Renaudin!—wzdychał z zazdrością sekretarz naczelny.

Poruszyły się wreszcie rozmaite instytucje. Tysiące wieści obiegać zaczęły o *Prawdziwej Rzeczypospolitej*. Wszystkie rzucały na pismo cień niesławy, a kilka zaledwie było usprawiedliwionych.

— Cierpliwości tylko, cierpliwości!—powtarzał dowcipny gentleman.—Zaczynają już nas szanować, a więc dojdziemy do celu!

Racadot, w istocie, niecierpliwił się strasznie. Nie był to wcale spekulant, niezależny finansowo, który na rok przynajmniej ma egzystencję zapewnioną i spokojnie znosi okres zniżkowy, ponieważ może wytrzymać kryzys. On przeciwnie, każdej chwili pragnął wiedzieć, jaki jest stan jego kasy. Zaczynał się zaledwie piąty miesiąc od chwili założenia dziennika, a już połowa kapitału była wyczerpana. Coraz częściej spędzał noce bezsenne. Chwilami doznawał wrażeń, że życie z niego ulatuje.

Pewnego poranku podał Renaudinowi jakiś artykuł, mówiąc:

— Oto, co Rotszylda nauczy rozumu!

Renaudin ruszył ramionami.

— Nikt i nic nie wzruszy Rotszylda: gdyby raz jeden dał komu choć grosz, wkrótce zabrakłoby mu środków do życia.

Po niejakiś czasie Racadot wybrał się znowu na ulicę Lafitte dla zbadania sytuacji i dowiedział się, że *Prawdziwej Rzeczypospolitej* wyznaczono 500 franków subwencji miesięcznej.

A więc Renaudin go oszukiwał! Przekonany, że odtąd może już robić obroty na własną rękę, postanowił skorzystać z nadarzonej sposobności i wyzwolić się od wypłacania procentów, które pobierał wiarołomny kolega. Zresztą cała administracja składała dowody niesłychanego skąpstwa. Mouchefrin zastąpił jednego z roznosicieli i sam o świecie rozdawał numery w kioskach i księgarniach. Leontyna codziennie chodziła do prefektury policyi. Żadna oszczędność nie wydawała się Racadotowi zbyt błahą. Oczywiście spieniężał bilety teatralne; sprzedawał po niższej cenie książki, wyproszone u autorów lub wydawców.

Książki te przeglądano poprzednio w redakcyi, nie przecinając kartek, przymrużając oczy i pochylając głowy. Sprzedawał bilety wolnej jazdy, do których jako redaktor miał prawo.

Pewnego razu, gdy miała się na placu la Roquette odbyć jakaś egzekucya, sprzedawał za 100 franków dwa bilety prasowe, dające prawo zbliżenia się do gilotyny.

Na tle tego trudnego skąpstwa i nędznej lichoty Sturel, Saint-Phlin, Roemerspacher i Suret-Lefort z zachwycającym egoizmem idealistów spokojnie snuli dalej teorye abstrakcyjne. Uważali, że Racadot zaciągnął względem nich pewne zobowiąz-

zania. A jego nienawiść do nich rosła z dniem każdym, potęgując się koniecznością ukrywania uczuć prawdziwych. Dziennik zbliżył młodych Lotaryńczyków do literatów uznanych, ale znajomości te nie przyniosły im zadowolenia moralnego. Nowi znajomi, chociaż zręczni i utalentowani, wydali się im nieokrzesanymi.

Współpracownictwo w *Prawdziwej Rzeczypospolitej* przyniosło Roemerspacherowi i Sturelowi dużo korzyści i zmuszeni do wypowiedzania swych myśli, wyjaśnili je sobie dokładniej i ugruntowali swe przekonania.

Dziennikarstwo jednak nie stało się dla nich dźwignią życiową. Ogniskiem myśli Roemerspachera pozostaje tak, jak i poprzednio, szkoła wyższa. Sturel zagłębia się we wspomnieniach o Astiné i przez odbicie zwraca się myślą do panny Alison; Suret-Lefort, z dniem każdym coraz więcej żądny oklasków, w całym świecie widzi tylko *konferencyę Molé*.

Saint-Phlin w środku zimy powrócił do Lotaryngii wskutek ciężkich przejść sercowych.

W życiu jego kobiety odgrywały dotychczas rolę podrzędną.

Nagle zakochał się szalenie w młodej dziewczynie, poznanej przypadkowo w jakiejś kawiarni. Dziewczyna była rodem z Alzacyi, chuda, drobna, jasnowłosa i zagrożona suchotami. Zwano ją powszechnie Skowronkiem. Gdy zamieszkała z Saint-Phlinem, przedewszystkiem postarała się usunąć go od wpływu przyjaciół.

Saint-Phlin przekonał się, że lubiła książki; chwilami wpadała w nastrój religijno-poetycki i miała przecucie blizkiej śmierci. Spędzali czas we dwoje tylko, przerzucając się od zachwyków do rozpacz, przejęci jedyną myślą oddalenia od niej widma grożącej mogiły. A jednak wkrótce nadeszła

chwila, kiedy Saint-Phlin odprowadził na cmentarz zwłoki ukochanej. Powrócił od jej grobu zestarzały duchowo, z oczyma łez pełnemi, obojętny na wszystkie kwestye, które tak niedawno jeszcze stanowiły dla niego treść życia.

Człowiek przegrywa kampanię życiową tylko jeżeli się sam uznaje zwyciężonym! To pewnik niezaprzeczony. Racadot, wbrew wszystkim i wszystkiemu nie traci nadziei. Nie jest to z jego strony żadna naiwność, raczej pomysłowość: ciągle odnajduje drogi nowe i ku nim podąża. Udało mu się już zapewnić sobie z rozmaitych źródeł subwencye miesięczne. Wadą tego dziecka prowincyi jest nieumiejętność ocenięcia sytuacji: niezwykle czynny, śmiały, zbyt wiele rachuje na środki, których się domyśla.

Ciężka dłoń chłopska za mało jest czułą, aby mogła zważyć wartości urojone, z których żyją intryganci prasy. Przytem w szantażach zdradza pewną nienawiść: zanadto przeciąga strunę.

W chwili obecnej raduje go mocno wyborny interes, zdobyty przez Mouchefrina za pośrednictwem pani Astiné.

Mouchefrin, źle ubrany i bardzo pospolity pod względem duchowym, nie podoba się kobietom wcale. Niekiedy zdradza coś podobnego do dumy. Podobnie jak sepia mąci wodę, wydzielając płyn brunatny, który oślepia ścigającego wroga, tak i Mouchefrin tworzy w myśli i wyrzuca nagle zdania ostre, znieważające. Na zapytania pani Aravian o Sturela, odpowiada:

— Coraz więcej zakochany w pannie Alison; nie słuchał mnie nawet, gdy mu powtarzałem zlecenie pani.

Astiné z miną obojętną nie przestaje się bawić turkusami i perłami; bardzo nerwowa, nie znajduje odpowiedzi na szorstkość Sturela, ale w głębi

duszy uczuwa wstyd, nie chce bowiem, by ją uważano za taką, która żyje wspomnieniami. Odtąd Mouchefrin, który ją zranił tak boleśnie, nabiera w jej oczach wartości. Obrażające słowa karła podniecają młodą kobietę; drwi z niego tonem wyższości; poniżając jednostkę ludzką, doznaje jakiejś rozkoszy okropnej; błazen nadworny staje się jej niezbędnym do życia. Zwierza się ze swych uczuć przed byłym przyjacielem, dyplomata, z którym niegdyś zwiedzała Egipt, a który obecnie przebywa w X. W długich listach podaje mu dowcipne charakterystyki obu przyjaciół, opisuje wspólne wycieczki do kabaretów podejrzanych i przechadzki po zaobróbku miasta, po urwistych wybrzeżach Sekwany.

W każdym wydziale administracyi agenci posługują się zazwyczaj dziennikami w celu oddziaływania na zwierzchników, albo uzyskania tego, co rząd, wiecznie obawiający się trudności, udzielić gotów tylko pod naciskiem opinii publicznej. Dyplomata, korespondujący z panią Astiné, pochwyił w lot dobrą sposobność. Odwrotną pocztą poprosił ją o dyskretne pośrednictwo wobec tych panów, których tak świetnie odmalowała jako typy przypominające Scapina, ale z odcieniem tragicznym. Szło o to, aby poruszyć umysły publiczności opisem trudnego położenia, w jakie się znaleźli francuzi w X. „Będzie to zadanie patryotyczne, mogące przytem przynieść korzyść dziennikowi młodemu, pełnemu zapału, pragnącemu dobra publicznego i rozgłosu.” W liście załączona była notatka techniczna. Racadot za pośrednictwem Mouchefrina odpowiedział:

— To będzie kosztowało 1,000 franków.

Astiné wypłaciła je z góry z własnej kieszeni. Zastawiła na ten cel część swych klejnotów. Racadot wyrzucał sobie, że zażądał tak mało. Przez ośm dni działał w kierunku wytkniętym przez dyplomate, wreszcie oznajmił pani Astiné, że walka, którą roz-

począł, szkodzi pismu. Astiné zaprosiła go do siebie, zachęcając, by wyznał otwarcie, o co mu idzie, nie zdziwiła się wcale, gdy zażądał 30,000 franków, wszystkie bowiem kwestye natury finansowej traktowała bardzo obojętnie. Racadot śledził chciwie oczyma mimikę jej pięknej twarzy. Ponieważ odpowiedziała z flegmą: „prześlę panu odpowiedź,” wykrzyknął w głębi duszy z tryumfem: „Interes skończony!”

Jakże straszną popełnił niezręczność! Miał doskonałą sposobność wynajęcia *Prawdziwej Rzeczypospolitej* za 750 franków miesięcznie; wygórowana chciwość popchnęła go do żądania takiej sumy, któraby wystarczyć mogła na całkowite utrzymanie dziennika. I ponieważ pani Astiné nie zdziwiła się wcale, gdy wymieniał cyfrę tak wysoką, wyobraził sobie, że i zainteresowany dyplomata wahać się nie będzie. Nawet wpisał tę sumę problematyczną do rachunku przyszłych dochodów.

15-go lutego otrzymał upragnioną odpowiedź: dyplomata i kupcy zgromadzeni w syndykacie zgadzali się wypłacić najwyżej 5,000 franków.

Jeszcze nie przebrzmiał w powietrzu dźwięk głosu młodej kobiety, gdy mu oznajmiała odpowiedź powyższą, a już ją znieawidził całą duszą. Z jak obojętnym wyrazem twarzy wymawiała cyfry. Zgrywający się w szulerni wpada w pasyę na widok partnerów, nie tracących zimnej krwi wobec wygranej lub przegranej. Racadot jest chłopem, a życie, które sobie obrał, wymaga temperamentu gracza. Ten silny i muskularny człowiek czułby się szczęśliwym tylko wśród pól i łąk; wśród stołów pokrytych suknem zielonem brak mu powietrza, w żyłach krew cięży łożem i tamuje oddech. To właśnie może, w połączeniu z szorstkością wrodzoną, wywołuje niekiedy wybuchy wściekłości czysto zwierzęcej.

W połowie lutego Racadot miał w kieszeni już tylko 8000 franków kapitału; dochody uboczne wydał już z góry. Spodziewał się, że Sturel i Roemerspacher zażądają od rodziców jakiejś kwoty pieniężnej, którą obrócą na korzyść pisma, lecz oni stanowczo odmówili wszelkiej pomocy. Był więc zmuszonym przyjąć propozycję pani Aravian. Ale już w końcu marca Ormianka zawiadomiła go, że zainteresowane osoby obejdą się na przyszłość bez jego usług. Z wściekłością byka zranionego pobiegł Racadot do Bouteillera. Od kilku miesięcy nieraz już prosił profesora o interview'y, na które się wielki polityk zgadzał, z tym jednak warunkiem, ażeby imienia jego w dzienniku nie podawano. Teraz z pozorną skruchą zaczął mu przekładać, że dał się wplątać w stosunki z pewnym dyplomata, na żądanie którego ogłosił dokumenty, kompromitujące rząd. Wręczył przytem wszystkie otrzymane notatki. Stanowczo nadużyto jego dobrej wiary: obecnie, powodowany uczuciem patryotyzmu, chciał zerwać zaciągnięte zobowiązania. Szło tylko o zwrot wziętych kilku tysięcy franków.

Bouteiller pozwolił mu wypowiedzieć wszystko, nie podnosząc wcale wyraźnych sprzeczności. Sprawa wydawała mu się bardzo podejrzaną. Ludzie jednak, pragnący zrobić karierę polityczną, chcą, ażeby mniemano powszechnie, że popierają swych przyjaciół. Ten to взгляд, niewątpliwie, zdecydował Bouteillera. Przystając na prośbę niepewnego osobnika, którego darzył swą protekcją, był zupełnie konsekwentnym, sam bowiem podał zasadę, ażeby stawać zawsze na gruncie obowiązku.

— Panie Racadot — odezwał się wreszcie, wyciągając doń rękę; — postąpiłeś pan jak człowiek uczciwy i wierny sługa Rzeczypospolitej. Każdy może zbłądzić, ale pan błąd swój zrozumiałeś szybko: jeżeli tylko rząd pojmuje dobrze swoją rolę, dopo-

może panu niewątpliwie w wykonaniu tak pożytecznego zadania.

Racadot, podniecony tym błyskiem nadziei, wyobraził sobie, że następuje chwila rozwiązania wszelkich trudności. Z wielką prostotą wypowiedział propozycję dosyć zuchwałą, którą jednak w razie powodzenia można było nazwać genialną: mianowicie ofiarował *Prawdziwą Rzeczpospolitą* na usługi Bouteillera.

— Niech to pismo będzie pańskim organem, drogi mistrzu, pańską własnością, pańskim narzędziem!

Profesor był wprawdzie bardzo znany, bardzo szanowany, ale koła polityczne nie były dlań środowiskiem naturalnem; brakło mu więc ludzi małych, emisaryuszów stojących w cieniu, umiejących weisnąć się wszędzie, na korytarze gmachów, gdzie się odbywają zebrania, do redakcyi i t. d., a którzy skuteczniej nieraz niż osobistości znane torować mogą ścieżki i wytykać drogi. Podobało mu się służalcze zachowanie się Racadota. Zadał kilka pytań różnorodnych, mogących wyjaśnić istotne położenie *Prawdziwej Rzeczypospolitej*. Chociaż przebiegły chłop zataił rzeczy najgorsze, profesor uznał, że nie może ryzykować swojej osoby, puszczając się na fale w tak wątlej łódce, życzył mu jednak szczerze, by się ta łódka utrzymała na wodach burzliwych. Dał przytem do zrozumienia, że wkrótce, prawdopodobnie, okoliczności ułożą się w ten sposób, że on, Bouteiller, ulegając licznym i usilnym namowom, zdecyduje się wziąć czynny udział w życiu politycznem. Wtedy pomówi z Racadotem o jego propozycyi. Na razie może tylko użyć swych wpływów w celu uzyskania w ministryum spraw wewnętrznych subwencyi miesięcznej. Racadot dziękował gorąco, ponawiając przyrzeczenia. W tej chwili

był zupełnie szczerym. W końcu jednak rzekł z wielkim smutkiem:

— Subwencya miesięczna, drogi mistrzu, byłaby czemś wspinałem, gdybym nie był związany tą fatalną sprawą, o której mówiłem poprzednio... Muszę zwrócić otrzymane pieniądze. O, gdybym mógł uzyskać niezwłocznie kilka tysięcy franków...

— Hm—rzekł Bouteiller—spróbuję też poczynić starania i w ministryum spraw zagranicznych. Podział kapitałów tajnych dokonywa się bez planu określonego, stosownie do okoliczności, ministrowie bowiem zmieniają się często, a urzędnicy są niesumienni.

W zasadzie każde stronnictwo, obejmujące ster rządu, wypłaca subwencye dziennikom, należącym do tego samego obozu. Każdy minister stara się zaprzędz do swego rydwanu politycznego jaknajwięcej pism, ażeby przy ich pomocy przedłużyć swoje rządy; w razie upadku gabinetu, agitacya dzienników może byłego ministra napowrót powołać do władzy.

Wszyscy dziennikarze, którzy czerpią z sum tajnych, znają się z sobą, tworzą rodzaj stowarzyszenia. Gdy się pojawi nowy minister, dziennikarzę porozumiewają się z sobą i tłumnie cisną się do nowicyusza. Ten zbiera informacye. W biurach, korytarzach, wązkich przejściach mówią mu: „Ten a ten zna się wybornie na rzeczy.” Minister i jego doradca przeglądają spis ludzi, których można kupić, wreszcie polecają im wypuszczenie w świat krótkich wzmianek lub długich artykułów.

Partye, stojące u steru władzy, subwencyonują zawsze te same gazety i tych samych dziennikarzy.

Lista nie jest zamknięta.

Codziennie prawie jacyś publicyści zwracają się do szefa gabinetu:

— Przygotowuje się nowa kampania. Różne osoby przychodzą do redakcyi, kołportują dokumenty; łatwo byłoby je otrzymać... Cała sprawa mogłaby kosztować 500 franków.

Ci zazwyczaj nie dostają nic. Łatwiej udaje się wyłudzić cośkolwiek żebrakom natrętnym, jęczącym:

— Oddawna już płacą mi 3,000 franków rocznie... zawarliśmy ugodę... obietnice były wyraźne... Cóż się ze mną stanie?... Mam chorą żonę... Muszę przecież żyć! ..

Takiego wpisują na listę z cyfrą 500 franków.

Publicyści rzucają swoje pociski nie tylko na ministerium spraw wewnętrznych, lecz czasem i na ministerium spraw zagranicznych. W obu kasach subsydia wydają się jednorazowo lub miesięcznie. System datków jednorazowych krępuje mniej, daje od razu do rozporządzenia większą sumę i oszczędza drażliwość jednostki.

Bouteiller postanowił uzyskać dla Racadota subwencyę miesięczną w ministerium spraw wewnętrznych, znacznie trudniej bowiem zdobyć cośkolwiek w pałacu przy ulicy d'Orsay ¹⁾).

W 1885 roku bilans wydatków tajnych, który następnie podwyższono, wynosił 500,000 franków. Za pośrednictwem tych pieniędzy miano oddziaływać na opinię publiczną za granicą, na parlamenty i dwory. Niestety jednak, znaczną część tej sumy zagarniają dzienniki paryzkie wzamian za swe usługi; z nich też czerpią skąpi szefowie, poszukując odszkodowania za wydatki osobiste. Dużo funduszków pochłaniają sprawy wschodnie. Dla wyręczenia w pracy ambasadorów, lubiących ognisko ro-

¹⁾ Ministerium spraw zagranicznych.

dzinne, nieraz wysyłają za granicę ludzi z poleceniem zbliżenia się do filarów polityki.

Byłby to wydatek pożyteczny, gdyby minister troszczył się o powodzenie takiej misji; ale często bardzo źle poinformowany, uproszony przez kogoś, lub też chcąc się przypodobać protektorom wpływowym, wybiera agentów nieudolnych.

Pierwszy lepszy salonowiec, znający siostrę jakiegoś ministra, lub kochankę jakiegoś księcia w Rzymie lub Londynie, żąda znacznej sumy w celu zebrania bliższych szczegółów jakiejś sprawy, której poszlaki są mu dane. W ten sposób całe pół miliona, a dzisiaj nawet milion, rozprasza się na drobne cząsteczki, nie przynosząc korzyści poważnej. Dlatego to weszło w zwyczaj, że energiczny minister nakłada podatek dowolny, dosyć znaczny na wybitniejszych finansistów. Pieniądze uzyskane na tej drodze idą, zależnie od jego etyki, na zaspokojenie potrzeb osobistych, na cele stronnictwa, do którego należy, albo też wreszcie na cele ogólnonarodowe.

Na placu Beauvau niezwłocznie wpisano na listę właściciela *Prawdziwej Rzeczypospolitej*. W ministerjum zaś spraw zagranicznych, gdzie wpływ Bouteillera był mniejszy, robiono znaczne trudności. Przez cały kwiecień zwlekano z decyzją ostateczną. Racadot zresztą był złym klientem: w przeciągu trzech miesięcy napadał na rząd. Sprawa była jeszcze w zawieszeniu, kiedy w początkach maja, na czwartkowym zebraniu w willi Sainte-Beuve, baron de Nelles, attaché ministra spraw zagranicznych, w obecności pań Alison rzekł do Sturela z miną tajemniczą:

— Sprawa pańska stoi dobrze.

— Jaka sprawa? — zapytał Franciszek, stając odrazu w pozycji obronnej przeciw baronowi,

który go zawsze drażnił uśmiechem wiecznego zadowolenia na dużej, bezmyślnej twarzy.

Dopytywał się tak uparcie, że baron dał wreszcie żądane wyjaśnienie.

— Prawdopodobnie da się uzyskać dosyć znaczną sumę dla *Prawdziwej Rzeczypospolitej*.

— To niegodziwość! Myśmy o nic nie prosili.

— Nie uwierzę nigdy! — zawołała panna Alison wyniośle— ażeby pan Sturel wypraszał pieniądze u pańskiego ministra!

— Przepraszam najmocniej; przykro mi niewymownie, że wyrządziłem przykrość panu Sturelowi, który, jak widzę, nie wie o niczem, nie chcę jednak uchodzić za człowieka, podającego wiadomości niedokładne. Prośba o subwencyę, istotnie, złożona jest w ministerjum; popiera ją osobistość bardzo wpływowa. Zresztą, nie rozumiem zupełnie, co tak bardzo wzrusza pana Sturela.

Piekne, wymowne oczy Teresy, zwrócone do przyjaciela domagały się odpowiedzi stanowczej tak wyraźnie, że Suret-Lefort, świadek tej sceny, rzekł do siebie: Dla Sturela to nie jest kwestya subwencyi miesięcznej, ale 50,000 franków renty rocznej.

— Oświadczam publicznie— odparł Sturel— że jeżeli rzeczywiście istnieje jakaś prośba w tym rodzaju, nie wiem o niej zupełnie i jestem jej stanowczo przeciwny.

— Mojem zdaniem— rzekł de Nelles z grzecznością wyszukaną, zakrawającą na impertynencyę— ofiarność ministerjum miała na celu jedynie pańską przyjemność. Teraz jednak, jeżeli tylko moje zdanie ma jakąkolwiek wartość, otrzymacie panowie odpowiedź odmowną.

— Będę panu niezmiernie obowiązany — zakończył Sturel, blady z gniewu za tę zaczepkę — tak bowiem uważał wystąpienie barona.

Wyszedł natychmiast z Suret-Lefortem i postanowił udać się niezwłocznie do Roemerspachera, aby go uprzedzić o wszystkim.

— Mam już dosyć stosunków z Racadotem. Skończmy raz to wszystko i wystąpmy z redakcyi.

— Przyznać jednak należy—rzekł Roemerspacher, gdy mu Sturel opowiedział o całym zajściu— że nie miałeś prawa bawić się w delikatność w zastępstwie Racadota i w jego imieniu. Mogłeś porzucić dziennik, ale pocóż było obracać wniwecz starania o subwencyę?

Wymówka ta słuszna zupełnie zmieszała wprawdzie Sturela, ale nie wpłynęła na zmianę jego postanowienia.

— Wreszcie—rzekł—cała strona administracyjna wydaje mi się podejrzaną. Chcę żyć niezależnie i zawsze postępować zgodnie z memi pojęciami o honorze. Racadot i jego dziennik plamią moje myśli.

Roemerspacher w milczeniu palił krótką fajeczkę. Ten piękny typ zmęczonego moralnie nerwowca zachęcał go, ale zarazem obudzał lekką wzgardę—zabarwioną, co prawda, odcieniem prawdziwej przyjaźni.

— Jeżeli pójdziesz sam do Racadota, rozdrażnisz siebie niepotrzebnie i zachowasz się zbyt brutalnie. Ja również nie chcę się mieszać do tej sprawy, porzucam bowiem *Prawdziwą Rzeczpospolitą* jedynie przez poczucie solidarności z wami: finansowe kombinacye Racadota nie przeszkadzają mi zupełnie. Niech więc tę misyę weźmie na siebie Suret-Lefort. On się najlepiej zna na polityce, zajmuje się nią dosyć czynnie i jego najwięcej mogą razić te kapitały tajne.

Nazajutrz, 4-go maja, około godziny szóstej po południu, Suret-Lefort wszedł do redakcyi i z jedną z najwynioślejszych min, jakie posiadał w swo-

im repertuarze, oznajmił Racadotowi, że się wszyscy usuwają z redakcyi, ponieważ dziennik stał się piśmie służalczem.

Racadot zaprzeczał gwałtownie, wreszcie zaczął zapewniać o wielkiej życzliwości i prawdziwym uwielbieniu dla tych kolegów, a dzisiejszych współpracowników. Suret-Lefort domagał się wydrukowania listu, w którym on, Sturel i Roemerspacher, żegnali czytelników.

Przerażony Racadot odwoływał się do wspomnień licealnych, ale daremnie: Suret-Lefort pozostał niewzruszony, nie zgodził się nawet usiąść. Wreszcie Racadot wybuchnął gniewem długo tłumionym:

— Nie jesteś szczerym, nie jesteś prawdziwym demokratą! Czyż koniecznie ty, Sturel i pan Roemerspacher chcecie moim kosztem odegrać rolę gentlemanów?

Dwukrotnie podczas tej rozmowy wierzyciele starali się wdrzeć do gabinetu Racadota, potęgując swą brutalnością i tak już ciężkie wrażenie tej sceny.

Nazajutrz raniutko Racadot był już u Bouteillera. Oczy jego padły na kalendarz ścienny: „5-go maja, śmierć cesarza.” A więc to dzisiaj wypada rocznica ich spotkania u grobu Napoleona! Przypomniał sobie, że nie obiecywali wspierać się wzajemnie, tylko zwyciężać. A więc tamci byli logiczni w tem postępowaniu! Przeklął w duszy indywidualizm, który go dzisiaj gubił.

Bouteiller przyjął go bardzo kwaśno:

— Pan Sturel raczył zawiadomić ministerjum, że subwencyę odrzuca. Cóż to ma znaczyć? Czyż koniecznością było radzić się pana Sturelą?

Biedny chłopak zaczął zapewniać, że się przed nikim nie zwierzał.

— Ostatecznie nie pora teraz na wyjaśnienie

tajemnic—przerwał profesor; faktem—jest, że minister nie chce słyszeć więcej o *Prawdziwej Rzeczypospolitej*.

Racadot, zgnębiony zupełnie, próbował jeszcze nastawać

— Nie należy nigdy żądać od przyjaciół więcej, niż oni zrobić mogą. To zasada najpierwsza. Nie mówmy już więcej o ministeryum spraw zagranicznych. Zadovolnij się pan subwencją uzyskaną w ministeryum spraw wewnętrznych.

— Ona mi nie wystarczy.

Zdanie niefortunne, wypowiedziane zbyt szczerze! Bouteiller zrozumiał całą prawdę i odtąd zaczął uważać Racadota za nieudolnego nudziarza.

— Postaraj się pan przetrwać do wyborów. Wtedy może będę mógł zrobić cośkolwiek jeszcze dla pana.

Z temi słowy pożegnał swego protegowanego. Nieszczęśliwy Racadot, znalazłszy się na ulicy, omal co się nie rozplakał.

Trudno niezmiernie obrachować wszystkie następstwa jakiegoś czynu. Sturel, wyobrażając sobie, że idzie za głosem obowiązku, nie wiedział nic o rozpaczliwych wysiłkach tonącego Racadota. Biedny właściciel *Prawdziwej Rzeczypospolitej* nie miał nawet tyle siły, by szczegółowo opowiedzieć Mouchefrinowi o całym przebiegu katastrofy.

Rzekł tylko krótko:

— Wszyscy nas odstąpili. Pozostało mi tylko trzech kretynów: ty, Leontyna i Fanfournot.

Delikatny i wrażliwy Ludwik, słysząc te słowa okrutne wybiegł z redakcyi; głodny i bez grosza w kieszeni nie zastanawiał się wcale, jak sobie da radę w wirze olbrzymiego miasta. Leontyna i Mouchefrin parę godzin z rzędu obrzucali najo-

kropniejszemi obelgami Sturela, Roemerspachera, Renaudina, Bouteillera, Suret-Leforta i Saint-Phlina.

Wyrzuceni za burt, życzyli z wściekłością, aby statek unoszący zwycięzców rozbił się co prędzej, pociągając ich za sobą na dno otchłani.

— Dosyć! — przerwał wreszcie Racadot ten potok wściekłości — ubodzy nie mają prawa być dumnymi.

Napisał do Sturela, Roemerspachera i Suret-Leforta listy, tętnące uniżonością i żebrzące pomocy.

Mouchefrin, który je odnosił, wrócił koło dziewiątej bez żadnej odpowiedzi. Na kupienie chleba sprzedali znaczki pocztowe.

A jednak Racadot miał w swym pugilaresie jeszcze dwieście franków.

Po zmarnowaniu w niecałe jednaście miesięcy 40,000 franków nagle stał się podobnym do owych Lotaryńczyków, którzy niegdyś w czasie wojny trzydziestoletniej woleli raczej dać się Szwedom przypiekać na wolnym ogniu, niż wyznać gdzie pochowali zboże. Podobnie jak wilk wygania z lasu zbójcę, tak głód i nieszczęście odsłaniają w człowieku cywilizowanym—niezależnie od tego, czy ojczyzną jego jest Sycylia czy Lotaryngia, czy inna jakaś kraina—drapieżne zwierzę.

Najsilniejszą gorączkę wywołuje kryzys finansowy. „Za czasów Johna Law, mówi historyk, Sekwaną płynęły same trupy.”

XIII.

Kryzys dwutygodniowy.

Życie Racadota pod powłoką banalności zdobywa się na silne wybuchy. Walka jego ma

znaczenie historyczne. Potomek ludności niewolnej, pośpiesznie wprowadzony do kółka młodych kapitalistów, nie zdołał się z nimi zespolić. Tylko węzły uniwersyteckie zdolne są utrzymać w skupieniu tak różnorodne żywioły, nie związane z sobą żadnym interesem ogólnym; z chwilą, gdy się te węzły rozluźnią, okazuje się, że między nowym przybyszem a dawnymi członkami organizmu zbiorowego nie wytworzyło się żadne uczucie ściślejsze, nawet nie zbudziła się prosta sympatya. Instykt mechanizmu zbiorowego dąży do pozbycia się takich intruzów, jak Racadot i Moucheffrin, do zdegradowania ich, do odrzucenia na łono proletaryatu.

Gdy jakiś kryzys życiowy dobiega kresu, człowiek się przekształca. Na twarzy, wychudzonej walką i niepokojem, zacierają się rysy, które wyłobiła przeszłość. Zdaje się, że teraz właśnie przeznaczenie wycisnie na niej piętno ostateczne, decydujące. Pobladła twarz wydaje się oczom ciekawych białą, niezapisaną kartą. Jest to chwila bardzo dramatyczna. Te policzki wpadnięte, ostro odcinający się profil, skóra fałdowana i wzrok niespokojny, jutro pod wrażeniem tryumfu przeistoczą się w oblicze zwycięzkiego bohatera, lub też pochyłą ku ziemi, złamane i zgnębione klęską ostateczną.

Taką białą kartą jest dzisiaj twarz Racadota. Upór jego wynika z poczucia, że się znajduje po za obrębem prawa.

Na chwilę nawet nie przypuszcza, żeby mógł porzucić swój dziennik; dopóki ma w swych rękach *Prawdziwą Rzeczpospolitą*, w której utopił 40,000 franków, wydaje mu się, że pieniądze te poszły na opłacenie pierwszych, niezbędnych wydatków przedsiębiorstwa; że przyszłość należy do niego; że przy pomocy nabytego doświadczenia będzie mógł istnieć dalej.

W tem położeniu oplakanem górowały dwie trudności: 2-go maja przypadał termin wypłaty miesięcznej — owych 750-ciu franków — za wynajęcie dziennika; rachunek marcowy załatwił Racadot, wystawiając weksle, których termin kończył się w dniu 25-ym maja; obawia się więc najpierw protestu, a następnie ogłoszenia upadłości. Codziennie musi płacić z góry zecerom... Ze spadku po matce nie pozostało już ani grosza; czasem tylko uda mu się tu i owdzie pochwycić jakieś drobne interesy, stanowiące obecnie jedyne źródło dochodu. Smiało zdobywa się na poświęcenie: aż do nowego rozporządzenia, pismo będzie się obchodziło bez wydawania własnych numerów; drukarz, któremu pozostawia dochód z ogłoszeń, kładzie tytuł *Prawdziwej Rzeczypospolitej* i datę bieżącą na czele tekstu odbitego z jakiegoś innego dziennika z dnia wczorajszego. Smutny niezmiernie był poranek 15-go maja, kiedy się ukazał pierwszy numer tego nowego pomysłu. Racadot mało się zmartwił zmienionym wyglądem typograficznym *Prawdziwej Rzeczypospolitej*; miłość własna zawodowa słabym tylko płomieniem płonęła w jego duszy; żarciki zaś, z którymi się spotka w knajpach, obchodziły go niewiele. Niepowodzenie nie upokarza: w Paryżu ludzie rozumieją walkę. Ale najgorsza, że był to krok na drodze powrotnej do Custines; wrócić zaś tam, po zmarnowaniu spadku po matce, byłoby czemś okropnem, wprost nie do zniesienia. Dlatego list zredagowany do ojca nie był kłamstwem, ani pochlebstwem, tylko szczerą prawdą:

„Zrozumiej dobrze moje położenie. Twoje długi są mojemi, interesy nasze są wspólne; będę uważał za najpierwszy obowiązek zwrócić to, co dla mnie pożyczysz i wykupić ziemię, którą sprzedałeś. Nie będę mieszkał w Paryżu do końca życia i, jeżeli po latach wielu wrócę do Custines,

miło mi będzie, chociażby ze względu na sąsiadów, posiadać ziemię.”

Na dużym stole z białego, niemalowanego drzewa, pokryte kurzem, porozrzucane w nieładzie leżą pióra, stalówki, kałamarze, bibuła i rubryki, jednym słowem wszystko to, co zazwyczaj Leontyna przygotowywała dla „panów redaktorów.” Dziś redaktorowie już niepotrzebni: *Prawdziwa Rzeczpospolita* jest tylko czczą nazwą. Ostatecznie dziś albo jutro może się nadarzyć jakaś szczęśliwa operacja finansowa, tak zwany „dobry interes;” idzie tylko o to, by jakkolwiek przetrwać do okresu wyborów, który prawdopodobnie rozpocznie się w końcu czerwca.

Ale oto drukarz, właściciel mieszkania, przychodzi się rozmówić z Racadotem. Srodze wyzykiwany dotąd, dzisiaj nie daje się rozczulić.

— Dawałem mieszkanie po to, by móżd coś drukować. Tymczasem nie dajesz mi pan roboty. Wobec tego wynoś się ztąd coprędzej.

Racadot błaga go i zaklina jaknajgrzeczniej, a co ważniejsza, przysięga, że napewno oczekuje pieniędzy: lada chwila więc *Prawdziwa Rzeczpospolita* odzyska postać pierwotną i z nowymi siłami rozpocznie dawną działalność.

Drukarz obiecuje czekać cierpliwie dwa dni— aż do 15-go maja.

Zaraz potem wchodzi do biura właściciela dziennika. Zarzuca, że Racadot szkodzi *Prawdziwej Rzeczypospolitej*, ponieważ nie utrzymuje redakcyi „stosownie do przyjętych zwyczajów.” Wobec niewypełnienia warunków kontraktu, chce powrócić do praw własności. Racadot mógłby się procesować, ale woli prosić. Administrator, w przekonaniu, że dziennik wróci do niego pierwej czy później, przystaje wspaniałomyślnie na zwłokę dziesięciodniową.

Nareszcie Racadot pozostaje sam. Niemyty, nieczesany, z głową opuszczoną na piersi, przypomina raczej zdyszanego atlete, niż kandydata do bankructwa; wzrokiem melancholijnym wpatruje się w smętny widok, jaki przedstawia brudne podwórze. Jak wół zamknięty w wagonie, wiozącym go do szlachtuza, tęskni do łąk zielonych i pełnego koryta, tak Racadot marzy o pogodnym horyzoncie Custines. Krótkie chwile słabości, upojenia idyllicznego! Znowu rozpoczyna wędrówkę po pokoju. Kroki jego to powolne, to przyspieszone, zdradzają silne wzburzenie.

Powtarza w myśli jedno i to samo zdanie, jak gdyby chciał sobie zabronić dalszych roztrząsań nurtującej go kwestyi:

— Nie mogę porzucić *Prawdziwej Rzeczypospolitej*... Dopóki ona pozostaje w mych rękach, posiadam kapitał i narzędzie do pracy. Muszę więc do 25 maja złożyć dwie raty po 750 franków i płacić za druk przynajmniej jednej stronicy nowej.

Wreszcie ten optymista zapamiętały dochodzi do przekonania, że kryzys przetrwa szczęśliwie; przyszłość ukazuje mu się w barwach jaśniejszych: odnowienie Izby nastąpi w końcu września lub w początkach października; ale już w lipcu, a nawet w czerwcu rozpocznie się dla pism powódź zysków niezmiernych, jakie zwykle pociąga za sobą okres wyborczy. Idzie o to, aby przybrać jakąś wyraźną barwę polityczną i możliwym przeciwnikom przeciwstawić kandydatów, których się porzuci w chwili odpowiedniej i za odpowiednie pieniądze — nawet podczas samej walki. Zdrady tego rodzaju są na porządku dziennym; w ten sposób *leaderowie* polityczni zdobywają kapitały na cele agitacyjne i napełniają własne kieszenie. Racadot tworzy nawet plany więcej określone. Jeżeli tylko Bouteiller postawi swoją kandydaturę w departamencie Meurthe

i Moselle, Racadot zostanie jego agentem: przyjdzie mu to z łatwością, ponieważ są to jego strony rodzinne, warunki więc zna doskonale. Pomysł zrobienia z *Prawdziwej Rzeczypospolitej* dziennika wyborczego, popierającego kandydaturę Bouteillera, był zasadniczo niedorzecznym: Bouteiller bowiem za mądry jest na to, by opłacać dziennik paryzki, nie mający wpływu w Lotaryngii, a co gorsza, mogący swem współzawodnictwem podrażnić pisma w Nancy. Skoro jednak zostanie deputowanym, podniesie niewątpliwie *Prawdziwą Rzeczypospolitą*, ażeby mieć organ własny. Oto cel bardzo realny, wspaniały, który Racadot widzi przed sobą wyraźnie; do osiągnięcia tego celu staje mu na przeszkodzie brak dwunastu tysięcy franków; pieniądze te wystarczyłyby mu do sierpnia, a może i do września.

Nieszczęściem filozofowanie nie przynosi mu pociechy, jedno pytanie bowiem zatruwa jego myśli: „Komu dziennik mój przyniósł korzyść?... Roemerspacherowi, Sturełowi, Suret-Lefortowi, którzy odepchnąwszy moją łódkę, wskoczą na statek inny? Lecz ja płynę powoli...” Od środowiska paryzkiego Racadot nie oczekuje nic. W nieszczęściu swem zwrócił się do Custines. Tak zwierz wypłoszony powraca do swojej knieji. Jeżeli przerzucając gorączkowo pocztę, w której mogły się znajdować propozycje bardzo zyskownych szantaży, wyszukuje przede wszystkim listu od ojca, to tylko dlatego, że błagał wymownie o pieniądze. Od dwóch dni z rozpaczą w duszy daremnie wyczekuje odpowiedzi. Wreszcie nadeszła. Ze strasznym kurczem serca rozrywa kopertę!

„Kochany Honoryuszu, otrzymałem depeszę, w której prosisz o jaknajszybsze przysłanie ci żądanych pieniędzy. Nie odpowiadałem dotychczas, ponieważ otrzymałeś już swoją część — oczywiście więc, że ci nic więcej dać nie mogę. Radzisz mi

pożyczyć z banku, a ja cię proszę, przestań mnie męczyć tą kwestyą. Ilość dzienników nie jest ograniczona, mogą powstać jeszcze inne; zresztą ty sam możesz zachorować. Cóżbym ja wtedy zrobił z twoim dziennikiem? Nie znam się na tem zupełnie. Tymczasem biuro rejentalne można zawsze odprzedać korzystnie, albo też wziąć do pomocy dependenta. Pracowałeś trzy lata u rejeta i uważasz ten czas za stracony! Iluż to dziennikarzy wegietuje zaledwie! Lepiejbyś zrobił, zostawiając swe pieniądze u mnie i pracując w biurze jako dependent. Mogłeś być tak szczęśliwym, a dobrowolnie włożyłeś na siebie kajdany. Nie rozumiem zupełnie, jak mogłeś się zadawać z ludźmi, którzy są tak nieugięci na punkcie wypłaty.

„Zupełnie niepotrzebnie marnujesz pieniądze na listy i depesze; znasz dobrze moje położenie, wiesz, że od czasu, gdy zażądałeś pieniędzy po biednej matce, która z pewnością nie myślała, że mnie pozbawisz jej majątku, muszę pracować tak, jak gdybym nie posiadał żadnych środków do życia. Wobec tego nie pojmuję, doprawdy, jak możesz jeszcze rachować na mnie. Nie obliczałeś chyba wcale, ile mnie kosztowałeś od chwili wstąpienia do kolegium. Zasypujesz mnie listami, męczysz prośbami, jak gdyby dom twój stał w płomieniach. Powinienbyś pomyśleć o tem, że i ja potrzebuję pieniędzy. Urządziłeś się stosownie do swych chęci, a wbrew mojej woli, ludzie znajdujący się na tego rodzaju interesach, mówili mi, że biuro rejentalne jest dużo korzystniejsze.

„Od czasu, gdy się dowiedziałem, że do swego kupna dołożyć jeszcze musisz dziesięć tysięcy franków, nie mogę sypiać w nocy; zdaje mi się, iż myśl, że tyle pieniędzy wydałem dla dziecka, które przynosi mi same smutki, przyprawi mnie o śmierć”.

Potok żółci zalał twarz Racodota. Rzekł głośno:

— Pozostaje mi tylko Moucheffin i Leontyna... po to, bym ich żywił!

Jakim tonem wypowiedział te gorzkie słowa!...

Szybkim krokiem przebiegał pokój, pochłonięty całkowicie swoim nieszczęściem. Ciężar, gniotący jego duszę, był tak wielki, że krople zimnego potu wystąpiły mu na czoło. Nie mógł się powstrzymać od wypowiedzenia dławiących go argumentów. Usiadł więc i pisał całą godzinę.

„Drogi ojcze, list twój ostatni jest bardzo surowy i pełen wyrzutów. Prosiłem cię o pieniądze tylko dlatego, ażeby mój ostatecznie wybrnąć z kłopotów. Bądź przekonany, że wkrótce będę ci mógł przesyłać pieniądze. Nie wątpisz chyba, że będę bardzo szczęśliwy, gdy zwrócę wszystko, co wydałeś na mnie. 10,000 franków, które mi przyslesz teraz, pomogą mi do zdobycia setek tysięcy. Ani chwili nie wątpię o powodzeniu. Ty w swej młodości nie miałeś nawet tych środków, które mi pozostawiła matka, a jednak pracą i uczciwością doszedłeś do pewnej zamożności. Ja pójdę w twe ślady.

„Przed chwilą była u mnie właścicielka *Prawdziwej Rzeczypospolitej*, od której wynajmuję to piśmo. Podobnie jak większość kobiet, jest ona bardzo ograniczoną. Nie chce mi przedłużyć kredytu na 10,000 franków, które jej winienem. Po najdłuższych prośbach i naleganiach zgodziła się na częściowe wypłaty tej sumy. Zapewniłem ją, że przyslesz mi pieniądze prędko. Zrób więc wszelkie starania możliwe i przyslij mi na środę lub czwartek przynajmniej 1,000 franków”.

Zerwał się z krzesła i z twarzą opartą o szyby wpatrywał się długo w rozciągające się przed oknami posępne podwórze. Obmyślał argumenty,

któreby ojca najwięcej wzruszyć mogły. Wyglądał ohydnie, gryząc paznogcie i wrywając sobie włosy. Wreszcie zbliżył się do stołu i pisał dalej:

„Czyżby nie lepiej było, gdybyś zamieszkał ze mną w Paryżu? Po długiej pracy należy ci się wypoczynek. Sprzedałbyś cały swój majątek ruchomy i nieruchomy, a w Paryżu grałbyś na giełdzie. Miałbyś wielką rozrywkę i mało roboty, co najwyżej dwie godziny dziennie. Cała manipulacya jest niezmiernie łatwa”.

Tu następował wykaz rozmaitych akcji, które w krótkim przeciągu czasu podniosły się wysoko i obliczenie ewentualnych zysków. Wreszcie otworzył drzwi, wołając Mouchefrina i Leontynę.

Weszli, bladzi i wynędzniali z głodu, straszniejsi niż kiedykolwiek w świetle majowego słonecznego poranku.

— Pisz! — rzekł do Leontyny.

I zaczął jej dyktować, co następuje:

„Szanowny panie, syn pański nie wypełnia zaciągniętych względem mnie zobowiązań, umowa, zawarta została prawnie w dniu 5 maja 1884 roku. Wypłacił mi dotąd tylko 30,000 tysięcy, a 1 maja upłynął termin wniesienia ostatnich 10,000 franków. Do dnia dzisiejszego czekałam cierpliwie, ale ja również mam wypłaty. Wogóle panuje teraz na giełdzie wielki zastój finansowy. Wiem wprawdzie że i panu Racadot winni są dłużnicy sumy znaczne, ale on tych weksli w obecnej chwili zrealizować nie może. Zechciej więc szanowny panie przysłać potrzebne pieniądze i wierzaj mi, że tylko konieczna potrzeba zmusza mnie do trudzenia pana tą sprawą”.

— Rozumiecie, o co mi idzie? — zapytał po odczytaniu listu. — Papa Racadot nie chce przysłać pieniędzy. Skomponowałem mu więc bajecz-

kę bardzo prostą i bardzo przekonywającą. Ach, ci skąpcy wioskowi!

Wszyscy umilkli.

— Moja droga — rzekł Racadot po chwili — wyjdź do mego pokoju; mam tu do pomówienia z Mouchefrinem.

Jakże bardzo noce bezsenne i troski finansowe zmieniły tęgiego wieśniaka! Nerwy jego były stargane. Niedawno tak czynny i ruchliwy, teraz wychudły i jakby złamany, zdawał się ciągnąć za sobą kule armatnie.

— Antoni, błagam cię... potrzeba mi pieniędzy gwałtownie... Idź na ulicę Balzaca. Proś, niech da Astiné.

— Ona niema pieniędzy.

— Ale ma wiecznie na szyi i rękach perły i turkusy, których widok drażni mnie nad wszelki wyraz.

— Gdybyś wiedział, jak mało ją obchodzą wszelkie dzienniki... nie zechce płacić...

— Ale tylko ona jedna z pomiędzy naszych znajomych ma pieniądze. Musimy się więc zwrócić do tej Turczynki, złanej wonnościami!

I rzucił pod jej adresem jedną z najgrubszych obelg ze swego słownika.

Nienawiść i rozpacz odtrąconego kochanka, ból szalony rannego, który zrywa bandażę, odbiły się na jego twarzy wychudłej, w nabrzmiąłych żyłach skroni i szerokiego karku. Bezsilna wściekłość ogniem paliła mu żyły, cuchnącym potem pokrywała znużone ciało, tłumiała oddech. Czas jakiś milczał głucho, wreszcie zawołał Leontynę.

Przyszła natychmiast, wpatrując się w niego z przerażeniem; widok tej kobiety rozczulił nieszczęśliwego.

— Biedna istoto!... nie możemy przecież umierać z głodu.

— Pozostało jeszcze czterdzieści sous — rzekła Leontyna, sprowadzająca zwykle na grunt realny ogólne teorie kochanka.

-- Kup więc trochę wędliny i butelkę wina. Nie wracaj przed upływem godziny...

Po wyjściu Leontyny zaczął znów błagać Mouchefrina, ażeby się udał na ulicę Balzaca i pożyczkę wy dostał. Biedny karzeł, wprawdzie bez nadziei powodzenia, zgodził się jednak spróbować szczęścia.

Wkrótce Leontyna przyniosła zapasy. Racadot rzucił się na nie z prawdziwą wściekłością. Wyczerpany neuropata literalnie umierał z głodu. Miotał nim jakiś gniew szalony, jakaś gorycz dziwna. Z największą rozkoszą byłby łamał i druzgotał wszystkie sprzęty, każdą żywą istotę. Gdy zjadł i wypił, odzyskał zwykły spokój.

— Jeszcze nie wszystko stracone — rzekł do Leontyny.

I wrócił do swych obliczeń. Ogarnęło go straszne wyczerpanie nerwowe, które mogło odbić się groźnie na całym stanie moralnym i umysłowym, na wszystkich postanowieniach. Wydawał się zawsze bardzo silnym i odpornym; nie pojmował, co to zniewieściałość; umiał się przyzwyczaić do bardzo skromnego pożywienia w liceum, w Paryżu znosił doskonale niedostatek; ale liczby, które od trzech miesięcy wypisuje i szykuje w najrozmaitszy sposób, otrzymując zawsze w rezultacie deficyt, wyczerpały jego siły. Te cyfry niemilosierne irytują go, drażnią, dostarczają najróżnorodniejszych ciężkich wrażeń, wreszcie druzgoczą potężną energię życiową. Wygląda jak Herkules bezsilny, zamknięty w więzieniu podziemnym, albo jak niedźwiedź w klatce ogrodu zoologicznego. Siły jego, niewyczerpane w marszach wojskowych, w czuwaniu,

w rozpuście, złamały się teraz pod ciężarem udreżeń moralnych.

Mouchefrin z cerą ziemistą, z oczami niespokojnymi, z wyrazem znużenia fizycznego na brzydkiej twarzy, złośliwy i nieszczerzy, jak goryl obity, jest synem alkoholików; w dzieciństwie maltretowano go srodze; matka biła go nawet często. Nędza i niedostatek wtrąciły go oddawna do upadku. Przyczepiony do Racadota, nie reaguje wcale.

— Można się przyzwyczaić do nędzy— powtarza nieraz.

Jest to jednostka niebezpieczna, słaba, odrętwiała, nurzająca się w bagnie.

Racadot i Leontyna całe popołudnie spędzili w domu; w grobowem milczeniu wsłuchiwali się w groźny hałas, idący ku nim od ulic Paryża. Udreżona kobieta doznawała straszliwego niepokoju, jaki zwykle ogarnia zwierzęta przed burzą; ale zwierzęta wyją lub ryczą z wściekłości, ona zaś nawet na tę przyjemność nie mogła sobie pozwolić; o zmroku tylko zapłakała cicho, ukrywszy się w kącie.

Okolo północy, kiedy już spali, przybył Mouchefrin, trochę pijany, brutalny i w dobrym humorze; istotom wygłodzonym obfity posiłek wystarcza najczęściej do wyprowadzenia ich z równowagi. Opowiedział, że najadł się do syta w kredensie, ale zamilczał o dwudziestu frankach, które mu dała Astiné.

— Na moją prośbę odparła, że niema pieniędzy. Jako dziennikarz, nie obchodzę jej wcale, gotowa mnie zrobić swym przewodnikiem, jeżeli ją będę oprowadzał po kabaretach. Mówiła też, że Petersburg ma wykwintniejsze restauracye, a Niemcy lepszą operę niż Paryż. Zgadza się, że tingeltangle tutejsze mają zacięcie specyalne i są świetne, ale już się nimi znudziła. Chciałaby zwiedzić

kabarety, znajdujące się na drugim brzegu Sekwany.

— Fantazy bogaczy! — rzekł Racadot z niesmakiem i złością, tonem chłopca, który nigdy nie opuszczał Custines i nie był w żadnym liceum.

Nazajutrz, 16-go maja, w nieobecności Racadota i Mouchefrina przyszedł drukarz, ponawiając groźbę wyrzucenia z mieszkania i nie szczędząc zniewag Leontynie. Utrzymywał, że ma już nowego klienta i że przed upływem dwudziestu czterech godzin powinni mu dać pracę, albo zwrócić mieszkanie. Racadot, niewyczerpany w pomysłach, pisał znów do ojca:

„Jeżeli istotnie nie możesz mi dostarczyć pieniędzy, których potrzebuję gwałtownie, wyślij natychmiast po odebraniu tego listu depeszę zapewniającą, że pieniądze będą w końcu bieżącego miesiąca.”

Dnia 17-go maja ranna poczta przyniosła mu odpowiedź na list, pisany 15-go.

„Nie znajduję pieniędzy nigdzie. Powiedz o tem swej wierzycielce. Wszyscy wolą składać swoje oszczędności do banku państwowego. Zresztą wobec tego, że na założenie dziennika sprzedałeś naszą ziemię, nikt ci tu nie ufa. Szkodzi to nawet moim interesom.

„Oddając ci spadek po matce, sądziłem, że w razie potrzeby znajdę pomoc u Ciebie, a tymczasem ty nawet sobie nie umiesz dać rady. Związałeś się obietnicami, których wypełnić nie możesz. Źle zaczynasz. Dręczysz siebie, ale i mnie zarazem.

„Proponujesz mi przenieść się do Paryża. W moim wieku lepiej jest zostać w miejscu rodzinnem. Tu mnie znają wszyscy i tu mi dobrze,

Dopóki będę mógł pracować, zawsze sobie cośkolwiek zarobię.

„Zapewniasz, że zdobędziesz stanowisko. Ale mówiono mi, że w zeszłym tygodniu w Nancy zbankrutowali jacyś dziennikarze. Nie wzbudzą to wcale zaufania. Co do mnie zresztą, zawsze myślałem, że łatwiej zapewnisz sobie dobrobyt w kraju, niż w Paryżu. Jako dependent u reagenta w Pont-à-Mousson pobierałbyś 1,800 franków rocznie i mógłbyś nawet powiększyć nasz wspólny majątek.”

Wkrótce potem ukazał się drukarz, zapowiadając, żeby koniecznie dziś wynieśli się z mieszkania. Racadot oczekując depeszy, obiecał mu pieniądze na godzinę 2-gą. O 2-iej jednak telegramu nie było, chcąc więc uniknąć nowych wyjaśnień, wszyscy troje cichaczem wymknęli się na miasto, zabierając resztki zapasów wczorajszych.

Leontyna pozostała na ulicy Ś. Józefa, pilnując oczekiwanego posłańca z telegrafu.

Młodzi ludzie udali się do mieszkania Bouteillera, ale tam ku wielkiemu swojemu zadowoleniu, dowiedzieli się, że profesora niema w domu; Racadot czuł, że niepokojąc teraz swojego protektora, rozgniewałby go tylko bez żadnej dla siebie korzyści. Obchodzili właśnie zwolna ode drzwi, kiedy nadszedł profesor. Racadot zdobył się na odwagę i zapytał go, czy baron Reinach nie zgodziłby się udzielić pomocy „*Prawdziwej Rzeczpospolitej*.” Bouteiller śpieszył się bardzo, wyraził tylko swoje zdumienie z powodu zmiany zewnętrznego wyglądu dziennika i ze źle ukrywaną irytacją oświadczył, że nie rozumie zupełnie, co sprawa ta obchodzić może bankiera.

Udali się więc obaj wykolejeni do kawiarni *Cardinal* w nadziei, że spotka ich tam jakaś propozycja korzystna. Daremnie jednak kręcili się

tam, jak pocięte dżdżownice. Wreszcie przyszło im na myśl ogłosić odczyt Racadota; wstęp miał kosztować dwadzieścia sous. Leontyna rozda te bilety znajomym, u których nie ośmielali się żebrać pomocy bez jakiegoś pretekstu. Następnie poszli na ulicę Św. Józefa i dowiedzieli się od Leontyny, że oczekiwana depesza zawiodła. Ztamtąd udali się razem na stacyę Północną i skuleni w jakimś kąciuku, zjadali resztki wczorajsze. Leontyna skarżyła się na dreszcze i ból gardła. O godzinie 11-tej wreszcie, złamani i prawie bez sił, odważyli się powrócić na ulicę Ś. Józefa, marząc o nędznym spoczynku; z rozpaczą jednak znaleźli drzwi od mieszkania zamknięte; przechodzili zwykle przez przysionek drukarni; ale ponieważ dziś nie było roboty, drukarnię zamknięto na głucho. Racadot wpadł w pasyę i zaczął walić jak szalony w ciężkie drzwi i okna. Daremny trud! Wreszcie spostrzegli, że Leontyna płacze cicho. Bez pieniędzy, bez dachu nad głową, w nocy, na deszczu, cóż jej pozostawało?

— Niema innej rady—rzekła wreszcie—pójdę do piwiarni, może tam znajdę jaką znajomą, która mi udzieli gościnności.

I oddaliła się w kierunku Hal, posuwając się zwolna ciemną ulicą Montmartre, oświetloną tu i owdzie czerwonawemi ognikami płonącemi w oknach kawiarni. Co chwila słyszeć się dawało głuche wycie wiatru.

— Antoni — rzekł wreszcie Racadot — zawsze byłem dla ciebie przyjacielem serdecznym, bratem. I dziś jeszcze podzieliłem się z tobą ostatnim kawałkiem chleba.

— To prawda—odparł Mouchefrin.

— Spójrzyj na mnie: Widzisz, jak mnie pożera smutek... jak wyglądam... Ta biedna kobieta, tak do mnie przywiązana i taka wierna, . była zaw-

sze uczciwą... a dziś?... Potrzeba mi koniecznie pieniędzy dla uratowania dziennika.

— Coż ja na to poradzę?

— Słuchaj, Antoni, zrozumiej nasze położenie... Za trzy miesiące, dzięki Bouteillerowi i „*Prawdziwej Rzeczpospolitej*,” możemy wygrać kampanię. Dziś jestem zrujnowany doszczętnie. Nie mam co włożyć do ust... Spójrz na siebie: okrywają cię lachmany...

Tu Mouchefrin się rozplakał. Pomyślał o tem, jaki los go czeka, jeżeli zniechęcony Racadot uda się do Custines, a on zostanie w Paryżu samotny.

Wstydzieli się stać dłużej na ulicy Montmartre, gdzie lada chwila mógł nadejść któryś z kolegów dziennikarzy; zagłębili się więc w labirynt wązkich, ciemnych i krętych uliczek dzielnicy Marais. Wiatr nie ustawał; rozpoczęła się ulewa; migające posępnie płomyki gazu rzucały błądki odbłask na kałuże i strumienie czarniawej wody.

Rdzenni paryżanie niewątpliwie znaleźliby schronienie w jakimś domu gry, których pełno na naszych bulwarach, albo też w Halach lub na placu Maubert, w jednym z przytułków, utrzymywanych przez byłych kryminalistów; oni zaś spędzili noc ukryci w jakimś przysionku. Nigdy brzask dnia nie wydał się im tak zimnym, tak bladym. Racadot, drżący z zimna, ściskając krótkie i grube ręce Mouchefrina, mówił:

— Antoni, jest tylko jeden ratunek... błagam cię, Antoni... mój bracie... mój przyjacielu... jedną perłę... jeden turkus.

— Nie, Racadot... Napisz jeszcze do ojca.

— Ojciec mój drwi ze mnie... Pozostają nam tylko pieniądze; klejnoty pani Aravian. Słuchaj, wyrobię ci stanowisko...

— Jesteś jedynakiem.. ojciec twój jest boga-

ty... na twojem miejscu użyłbym wszelkich sposobów, ażeby tylko wydostać pieniądze. Trudni są wprawdzie ci skąpcy wiejscy, ale prośbą i obietnicami można zrobić dużo.

— Antoni, błagam... dowiedz się, o której godzinie wychodzi z domu... Możebyś zdołał dostać się do mieszkania, a tybyś tymczasem zatrzymał służących w kredensie. Jedna jej perła opłaci mój dziennik, drukarza i uchroni mnie od bankructwa... Z pewnością nawet nie spostrzeże... zresztą później moglibyśmy jej zwrócić...

Wreszcie Mouchefrin zdawał się skłaniać do ustępstwa.

Racadot rzucił mu się na szyję, wołając:

— Ocalasz mi życie!

Nazajutrz rano Mouchefrin udał się na ulicę Balzaca, a Racadot zaczął przeglądać pocztę. List od ojca przepelił miarę jego goryczy.

„Kochany Honoryuszu, znów odbieram od ciebie list. Żądasz koniecznie mojej depezy. Bardzo więc z tobą krucho. Związałeś się widocznie ze złymi ludźmi! Nie znam się na twych interesach, ale widzę, że ciągle Ci potrzeba pieniędzy i pieniędzy... Gdybyś był został w Toul, albo w Pont-à-Mousson mielibyśmy 40,000 franków, których nie mamy dziś i dwanaście tysięcy rocznego dochodu. Urządza się, jak chcesz. Ja ci już dałem dosyć.”

Racadot udał się do drukarza, który dał przytułek „*Prawdziwej Rzeczpospolitej*” i jednym pociągnięciem pióra napisał odpowiedź:

„Nie oczekiwałem od ciebie podobnej odpowiedzi, mój ojcze! Mówisz bez ogródki, nawet z pewnem zadowoleniem, że cierpię z własnej winy. Widzę, że mnie porzucasz na łaskę losu. A jednak

nie kosztowałem Ciebie nigdy nic, ponieważ pobierałem nauki za pieniądze matki, z których ty korzystałeś przez lat sześć. Nie chcesz ściągać na siebie odpowiedzialności od swych dłużników, a pozwalasz, żeby moi wierzyciele napastowali mnie bez litości. Nie postąpiłbym tak nigdy względem Ciebie. I rodzice moich kolegów nie postąpiliby z nimi w ten sposób.

„Wkrótce ogłoszą moje bankructwo i zabiorą mi dziennik. Cóż pocznę wtedy? — Nie, ojcze, ty nie możesz pozostać tak nieczułym. Daj mi tylko 10,000 franków, a potem możesz o mnie zapomnieć, możesz mnie się wyrzec. Wtedy będziesz mógł powiedzieć: „Spełniłem swój obowiązek względem syna.”

„Wyrzucasz mi nieustannie, że nie chciałem zostać rejentem. Ale to już przepadło. Nie mogę jeść, ani spać, nie wiem sam, jak żyję dotąd, zdaje mi się czasem, że chyba się rozchoruję. Zrób dla mnie to jedno, ostatnie poświęcenie, a potem nie myśl już o mnie... nigdy, nigdy nie będę ci się uprzykrzał więcej... Lecz teraz dopomóż, błagam... Nie możesz nawet pojąć, jak strasznie cierpię... Ogarniają mnie myśli coraz czarniejsze. Potrzebuję 10,000 franków koniecznie, a potem stanowisko moje będzie wspaniałe.

„Do widzenia, drogi ojcze... albo żegnam cię. To zależy od ciebie. Rozumiem dobrze, ile sprawiam ci przykrości, ale to po raz ostatni.”

Położył swój podpis, a potem dodał jeszcze:

„Jeden wysiłek z twojej strony może mi uratować życie. Ściskam cię, drogi ojcze, i kocham bardzo.”

Zapieczerował ten list, w którym się całą duszą zwracał do ziemi rodzinnej; markę pocztową udało mu się pożyczyc od jakiegoś urzędnika, który nie wiedział nic o jego kłopotach finansowych.

Mouchefrin wrócił prędko z wieścią hiobową: „Astiné zawsze nosiła przy sobie wszystkie pieniądze, perły i turkusy.”

Racadot wściekał się prawie z rozpacz. Zaczął wyrzucać przyjacielowi, że go tyle kosztował, a później ściszał go, przeproszał i polecił pójść do piwiarni po Leontynę. Sam zaś czekał na nich w ogrodzie Luksemburskim. Przybycie Leontyny uspokoiło go zupełnie. Biedna kobieta opowiedziała, że spędziła noc u przyjaciółki, która jej pożyczyła dziesięć franków.

Za dwadzieścia sous dziennie wynajęli jakąś izdebkę pod strychem przy ulicy S. Jakóba. Z porady Leontyny Mouchefrin udał się na ulicę Sainte Beuve prosić o pomoc Sturela. W jego nieobecności kobieta wyciągnęła z kieszeni jakieś kawałki mięsa, które zaczęli spożywać z pośpiechem, nie chcąc się dzielić z towarzyszem niedoli. Mouchefrin przyniósł dwadzieścia franków, ale przyznał się tylko do dziesięciu. Wszyscy troje poszli do winiarni, chcąc się upić.

— Zawsze to będzie rozrywka — zawyrokowała Leontyna.

Wrócili do domu o 10-ej wieczorem. Upojona alkoholem kobieta zasnęła głęboko. Mouchefrin wyciągnął się w jakimś kącie. Racadot zaś chodził po pokoju szybkim krokiem, przystawał, tupał nogami. Zdawał się nie zwracać żadnej uwagi na swych towarzyszków. Od czasu do czasu wyrwały się z jego piersi okrzyki gniewu, żalu, budzącej się i gasnącej nadziei... Myśl jego pracowała ciężko... O jakiejś kobiecie mówił nieustannie.

— Tak, ona jedna... ona tylko ma pieniądze! Ale nie da ich ani mnie, ani Mouchefrinowi. Znadto od nas bije nędza!...

Doznawał dziwnej radości w znieważaniu samego siebie... Bywały chwile, że zdawał się dusić;

wtedy konwulsyjnym ruchem chwycił się za głowę, pocierał czoło, jak gdyby kleszczami, szarpał w kawały swe sumienie i wyrzucał je przez czaszkę. Pomimo całej nikczemności myśli, która go opanowała, widok tego atlety, wszelkimi siłami broniącego się od upadku, miał w sobie coś wstrząsającego. Jakiś projekt niejasny, abstrakcyjny, który wkrótce wybuchnie czynem straszliwym, kiełkuje i dojrzewa w tym ciężkim mózgu. Pierwiastki myśli, niby drgania niepochwytne, których sformułować nie umie, którym pragnąłby zaprzeczyć, krystalizują się coraz bardziej. Staje się znów optymistą, przypomina więźnia, któremu nagle błysnęła nadzieja ucieczki...

Wreszcie pod wpływem jakiegoś uniesienia namiętnego wykrzykuje:

— Trzeba wiedzieć, czego się chce i stać przy tem niezłomnie... Tylko energii, woli! Tak, krok to niebezpieczny, ale prędki!...

Obudził Mouchefrina, który go zapytał ziewając:

— O czem myślałeś tak głośno?

Wyraz twarzy Racadota w jednej chwili rozproszył jego senność.

Nieco później jakieś protesty i nalegania zbudziły Leontyne:

— Nie, nie — mówił Mouchefrin — to niemożliwe, nie chcę, nie mogę.

Obu ujrzała po raz pierwszy przed trzema laty jako dzieciaków prawie. Znała ich później jako młodzieńców, ludzi dorosłych, zna ich teraz, zestarzałych pod wpływem cierpienia. Zdaje się jej, że doskonale widzi wszystkie ich wady... A jednak zachowali jeszcze dla niej pewne niespodzianki.

Olbrzymi Racadot stał pochylony, z głową opuszczoną na piersi, z wystającą naprzód szczęką dolną, podobny do psa, szczekającego bez hałasu.

Mouchefrin siedział skulony na nędznem posłaniu, z twarzą zmienioną od strachu. Spojrzeli na nią i unilkli.

— Kładź się i śpij! — zawołał szorstko Racadot.

Zagasił światło, ale po upływie pół godziny zapalił je znów. Cera jego nabrała barwy ziemistej, podkrążone oczy patrzyły złowrogo. Zaczął pisać list następujący:

„Wybacz mi, drogi ojczy, list ostatni. Wobec tylu kłopotów straciłem panowanie nad sobą. 21-go maja oczekuję od Ciebie listu z pieniędzmi. Jeżeli prośby mojej nie uwzględnisz, pozostaje mi tylko hańba lub śmierć.”

Tyle błagań rozpaczliwych i prośb gorących sprowadziły wreszcie odpowiedź ostateczną, druzgoczącą resztki nadziei:

„Martwią mnie bardzo twoje kłopoty, ale cóż na to poradzę? Gdybyś był człowiekiem rozważnym, zastanowiłbyś się i nad mojem położeniem. Żądasz pieniędzy? Gdzie mam je znaleźć? Myślisz tylko o tem, jak wziąć, a nigdy o tem, jak zwrócić. Próbowałem zaciągnąć pożyczkę u jednego z przyjaciół, ale po przyjęciu, jakiego tam doznałem, dalszych starań robić nie będę. Zostaw mnie więc w spokoju. Chcę żyć bez troski i cieszyć się szacunkiem ludzi, jak dotąd.”

ROZDZIAŁ XIV.

Zbrodnia w Billancourt.

Honoryuszowi Racadot, jako maturzyście, nie obce były idee ogólne, nawet filozoficzne, ale po-

sługiwał się niemi tylko wobec szerszej publiczności. W życiu prywatnem zazwyczaj nie pozwalał sobie na ten zbytek; myślał oszczędnie, używał wyrażań codziennych. Teraz jednak, od czasu, gdy szereg ciosów moralnych i materyalnych, oraz rozpaczliwa walka o byt, wyczerpały jego siły, filozofia pochłoneła wszystkie władze umysłu. Filozofowanie jednak nie przynosiło mu pociechy, lecz tylko coraz więcej rozdrażniało nerwy. Dziedziczność dała mu wprawdzie dużo zdrowego rozsądku i poczucie karności; pomimo to jednak — ulegając wszechpotężnej modzie—uważa siebie za ofiarę warunków społecznych.

Prawda, że przez cały ciąg studyów uniwersyteckich państwo odgrywało względem niego rolę opatrności, wpajając przesadzone pojęcia o znaczeniu w świecie idei sprawiedliwości, prawa, obowiązku; dzisiaj więc otrzymuje pocisk zbyt silny, stykając się z prawem praktycznym, rządzącem na świecie wszechwładnie.

— Jeżeli ci się w życiu powiedzie, będziesz mądry, będziesz miał przyjaciół, będziesz obsypany zaszczytami; prawo i sprawiedliwość będą zawsze po twojej stronie; gdybyś przeciw nim wykroczył, umiałyby zręcznie czyn twój pominąć milczeniem, a nawet oświadczyć się za tobą. W razie zaś przegrania partyi życiowej, uzbroją się przeciw tobie i zaznaczą wyraźnie, że poniosłeś karę właśnie za to, że je obraziłeś.

Racadot na samym sobie sprawdza słusność powyższej zasady, a nie rozumiejąc jeszcze jej znaczenia ogólnego, oburza się szczerze, uważając siebie za ofiarę społeczeństwa. Dawni przyjaciele unikają go, jak oszusta. Powoli obraz jego łączy się w ich umyśle ze wspomnieniem doznanych przykrości. Jako ludzie inteligentni, widząc, że nie mogą nic zrobić dla jego ratunku, wykreślają go ze

swej pamięci; wszelką myśl o nim uważają za nie-miłą i bezcelową.

W *Konferencyi Molé* — gdzie przez pewien czas uważano *Prawdziwą Rzeczpospolitę* za organ urzędowy — spostrzeżono, że Suret - Lefort, który niegdyś przedstawiał Racadota jako swoje *Alter ego*, tendencyjnie udaje wielką obojętność, gdy wymieniają przy nim tak dobrze znane mu nazwisko.

— Ra-ca-dot! — zdaje się mówić — i cóż ja mogę mieć wspólnego z tem indywiduum?

Przyznać należy, że ten towarzysz lat dziecinnych nie przynosił im nigdy zaszczytu. Pani Alison, nie doceniająca nigdy Sturela, który, jej zdaniem, był nienaturalny, poruszyła któregoś dnia przy nim kwestyę owej subwencyi z ministryum spraw zagranicznych, o której tak niewłaściwie wspomniał w obecności pań baron de Nelles.

— Czy pan otrzymał subwencyę dla swego dziennika panie Sturel?

— W takim razie nie chciałabym pana widzieć nigdy więcej! — zawołała Teresa.

Sturel czuł się dotkniętym, że młoda dziewczyna przypuszcza możliwość usunięcia go od siebie.

Odpowiedział szybko:

— Nie jestem już członkiem redakcyi *Prawdziwej Rzeczpospolitej*.

— Pan Sturel przestał ją wydawać — tłómaczyła matce młoda dziewczyna.

-- Zdaje mi się, że organizator *Prawdziwej Rzeczpospolitej* chce ją prowadzić dalej — poprawił młody chłopak — tylko ja nie mam już z nim nic wspólnego.

— Silnie powiedziane, jak na człowieka, który nie ma zapewnionego obiadu — zauważyła pani Alison tonem dotkliwej wyższości.

— Ostatecznie — oświadczyła młoda dziewo-
zy-

na - pan Sturel nie solidaryzuje się już z ludźmi, których był raczej dobroczyńcą, niż przyjacielem.

— Ale któż go obwinia? Żałuję tylko, że pan Sturel stracił zajęcie odpowiednie do swego upodobania.

Pani Alison, skarcona przez córkę i nie mając w gruncie rzeczy intencji złośliwej, chciała załagodzić wrażenie swych docinków; w tym celu zaprosiła Franciszka na wspólną przechadzkę wieczorem do Lasku Bulońskiego. Pani Coulonvaux miała również wziąć udział w tej wycieczce, tak, że młodzi ludzie mogli się zająć sobą z większą swobodą.

Przechadzkę naznaczono na 11-go maja; było to więc w cztery dni po owej ulewie, w czasie której Leontyna Racadot i Mouchefrin błakali się po ulicach. Deszcz ten rześisty, który spotęgował niedolę trojga rozbitków i przyczynił się do nieszczęść, tutaj odegrał rolę ożywczą: bo przyspieszył rozkwit wiosny w Neuilly, Sèvres, Boulogne i Saint-Cloud.

Przecinając Lasek Buloński, pojechali najpierw do mostu Saint-Cloud. Tu Franciszek i Teresa wysiedli, pozostawiając starsze panie w powozie. Szli zwolna wzdłuż parapetu, w niemyim zachwycie nad roztaczającym się przed ich oczami cudnym widokiem. Sekwana bystro toczyła srebrzyste w księżycowym oświetleniu fale, bystre i gwałtowne, jak ramiona zakochanych, spragnione uścisku. Księżyc, któremu się nigdy dotąd Franciszek przyglądać nie raczył, wydaje mu się dzisiaj czarodziejem niezrównanym. Bywają takie wieczory w życiu człowieka!

Młoda dziewczyna lubuje się w tych blaskach srebrnawych, w tej ciszy wieczornej, pełnej upojenia. Drżąca i rozmarzona, w ramach tej cudnej nocy majowej, na tle ciemnych, tchnących dziwną

tajemniczością fal rzeki, przypomina wróżkę z bajki fantastycznej. Franciszkowi zdaje się, że jakaś siła niewidzialna przykuła go do jej stóp na zawsze. Wobec niej czuje się prostym niewolnikiem. Jego serdeczna troskliwość zdaje się otaczać dziewczynę skrzydłem opieki, pełnej przywiązania.

Naprzeciwko mostu od Placu Broni do Saint Cloud rozciąga się szereg kawiarni, wiosną i latem oświetlonych rzęsiście. Teresa, nie chcąc się narażać na możliwe zaczepki ze strony gości, skierowała się w boczną aleję, odgradzającą park od ulicy nadbrzeżnej.

Na najbliższych ławkach siedziały już gruchające parki, zatopione w sobie.

Szli więc dalej; wreszcie na odległości 50-ciu metrów znaleźli niezajętą ławeczkę, ukrytą wśród drzew, których kształty zacierały się w cieniach nocy; w miękkim, upalnym powietrzu, przepojonem świeżą wonią młodych listków, skąpanych w rosie, wszystko się zdaje oddychać dziwną, słodką pieśczęcią i dusznością; w piersiach ich budzi się drżące pragnienie rozkoszy, ale nie śmie wybuchnąć; siedzą obok siebie, pełni jakiegoś lęku i uniesienia. Ona przerywa tę ciszę, mówiąc głosem stłumionym, że rok temu również siedziała na tej samej ławce; potem znów milknie, a on się domyśla, że w milczeniu tem rozważa, ile uroku jego obecność doda je tej nocy majowej.

W powozie, oczekującym na placu, panie zaczynają się niecierpliwić. Wreszcie młodzi ludzie wracają, ale i tym razem chcą pieszo przejść przez most, aby raz jeszcze spojrzeć na ciemne, melancholijne fale, stanowiące dziwny kontrast z niewysłowioną słodyczą i czarem jasnego nieba. Smugi, utkane z księżycowych promieni, muskające powierzchnię Sekwany, niemniej cudownie lśnią na

falach Mozelli; Franciszkowi jednak podobne porównanie wydałoby się świętokradztwem.

Dwaj przechodzący mimo lowelasi rzucili jakąś cyniczną uwagę na temat perfum, któremi przepojona była suknia Teresy. Młoda dziewczyna zdawała się nie słyszeć, ale po chwili rzekła z lekkim niepokojem:

— Nie wiem, dlaczego krawcowa włożyła te saszetki do mojej peleryny; wie, że tego nie lubię; uważam, że to w złym tonie.

Jakiż to wzruszający dowód miłości! Teresa obawia się, że lekceważące zachowanie się spacerowiczów z Billancourt obniży jej wartość w oczach Franciszka! On zaś, upojony rozkoszą egoistyczną, rozmyśla, że podobnie jak lekki wiaterek, wiejący od Sekwany, unosi zapach ich perfum, tak ich szczęście dzisiejsze uniosą troski życiowe. Świadomość, że chwile podobne trwają tak krótko, rzucała na ich dusze cień melancholii, pogrążając oboje w głębokiej zadumie.

Starsze panie rozmawiały właśnie o chorobie Wiktora Hugo; ostatnie biuletyny, podane przez dzienniki były bardzo niepokojące: ośmdziesięcioletni starzec, dotknięty hypertrofią serca, ciężkie przebywał zapalenie płuc. Sturel zaczął twierdzić z uporem, że bohater, będący filarem jednościi francuskiej, nie może zejść do grobu, nim się nie ukaże człowiek inny, albo jaka idea potężna, która pociągnie ku sobie serca narodu. Następnie wpadły na temat wilgoci, unoszącej się w powietrzu; były już bowiem w tym wieku, kiedy noce księżycowe nie budzą w duszy niepokoju i tajemniczych pożądań, tylko obawę reumatyzmu.

Wieczór jednak był bardzo ciepły. Powóz mknął szybko ulicą nadbrzeżną, w kierunku Boulogne. Wszystkich ogarnęło uczucie dziwnej błogo-

ści; rozmowa urwała się zupełnie. Nagle pani Alison, pochylając się naprzód, zawołała:

— O, biedna kobieta, jeżeli ma nadzieję znaleźć tutaj powóz...

Tuż koło drogi zanważono istotnie elegancką sylwetkę kobiety, która parasolką dawała znaki stangretowi. Za nią, w pewnej odległości, posuwały się dwa zachowujące się zupełnie nienaturalnie męskie cienie...

Obrazek ten, na który zwróciła uwagę pani Alison, uderzył wszystkich siedzących w powozie; o ile na ruchliwych ulicach Paryża przechodzeń, daremnie wołający dorożkarza, nie wzrusza nikogo, tutaj, w miejscowości dosyć odludnej i o tak spóźnionej godzinie, zmęczona kobieta budzi pewną litość! Znajduje się ona przynajmniej o pięć kilometrów od najbliższej stacji dorożkarskiej.

Za mały to jednak powód, ażeby wytłómaczyć nagły dreszcz, który wstrząsnął smukłą postacią Sturela.

— Ależ oni idą w stronę Billancourt—rzekła pani Coulonvaux tonem paryżanki, znającej dobrze ulice, tramwaje, dorożki i Lasek—w ten sposób oddalają się jeszcze więcej od Paryża... Może nie znają drogi.

— Należałoby ich przynajmniej uprzedzić—zauważyła młoda dziewczyna.

W duchu dziwi się mocno, dlaczego Franciszek nie usunął się na koziół, aby im dać możliwość przyjęcia do powozu nieznanym. Pewnego razu, kiedy obie z matką zabłąkały się w okolicach Karlsbadu, odwieźli je do domu jacyś cudzoziemcy, napotkani w drodze. „Prawdopodobnie przez wygórowaną delikatność nie chce nas narażać na niepewne towarzystwo!”

Dla Franciszka jednak ta kobieta nie jest nieznaną. Te panie mogły zapomnieć, lecz on się

nie myli. Przelotny blask latarni, który na chwilę twarz jej oświetlił, ukazał mu nigdy niezapomiane rysy pani Aravian. Odgadł je raczej sercem niż poznał. Nigdy dotąd nie widział na jej twarzy tak straszego niepokoju. A ci ludzie, trzymający się na uboczu, którzy na widok słabego światelka latarni powozowej tak szybko nasunęli kapelusze na czoła, czyż to nie Mouchefrin i nie Racadot z nieśmiertelną teczką pod pachą?

Teresie smutno, że się w swem szczęściu okazała tak egoistyczną. Dobre jej serduszko pragnęłoby wyświadczyć nieznajomej tę drobną przysługę.

Sturel jest zupełnie pod wrażeniem tego spotkania. Nie jest to bynajmniej żadna czułośćkowość, są przecież we troje i o dziesiątej wieczorem nie grozi im żadne niebezpieczeństwo; ale twarz Astiné była tak blada, tak znużona długą przechadzką, koledzy zaś jego wyglądali na ludzi należących do najniższych mętów społecznych; odjechał szybko, unosząc swe szczęście, a tamci niemi, bez ruchu, ginęli zwolna w ciemnych mrokach, pozostawiając po sobie wrażenie tragiczne, ścinające lodem krew w jego żyłach. Obraz Ormianki stoi mu w oczach, napęlnia serce trwogą i rozpaczą. Zupełnie jak widmo tonącego, któremu odmówiło się ratunku!

Jakże mógł się nie odezwać na jej wołanie, kiedy pamięć jej tkwi w jego duszy tak głęboko? Ta cudzoziemka odcisnęła swe piętno na wszystkich jego myślach, nadała barwę wszystkim marzeniom. I kiedy przed chwilą wraz z Teresą oddychał rozkoszną atmosferą alei w Saint-Cloud, kiedy się napawał pierwiastkiem znikomości w ich uczuciu wzajemnem, czyż to nie był wpływ trucizny, którą Astiné wlała mu w żyły?

Tego wieczora, około godziny ósmej, Mouchefrin i Racadot podeszli na ulicy Balzaca do pani Aravian, na którą czekali tutaj oddawna.

Ormianka miała się właśnie udać do hotelu, do swych przyjaciół, aby razem z nimi pójść do teatru. Astiné miała na głowie prześliczny kapełusz, ozdobiony zielono-niebieskim ptakiem z rozpostartymi skrzydłami. Na sukni z koronki czarnej ze stanikiem wyciętym w karo i krótkimi rękawami, miała aksamitny obcisły żakiet koloru turkawki.

Zmieszani pięknnością tej uroczej istoty, zdobyli się jednak na odwagę i zaproponowali jej wspólną wycieczkę do Billancourt. Zgodziła się chętnie. Pomysł włóczęgi pociągał ją więcej, niż zobaczenie się z przyjaciółmi i przedstawienie teatralne.

Racadot, obawiając się, żeby nie uprzedziła znajomych o zmianie projektu, sam ją wsadził do dorożki i upewnił się, że podała woźnicy adres Mostu Neuilly, gdzie się mieli spotkać wszyscy.

Nie chcąc jej towarzyszyć, odrazu dla łatwiejszego zmylenia śladów wymówił się, że ma jakiś interes do załatwienia po drodze; obaj z Mouche-frinem udali się więc na miejsce spotkania osobno, najprzód koleją obwodową, a następnie tramwajem Porte-Maillot-Courbevoie.

Było już po dziesiątej, kiedy pani Astiné wysiadła z powozu i pełna subtelnego czaru skierowała się na ulicę nadbrzeżną, na którą wychodzą cieniste ogrody ulicy Saint-James. Dokoła panowała już ciemność i cisza. Racadot i Mouche-frin zbiżyli się ku niej natychmiast, starając się ukryć swe twarze przed wzrokiem stangreta! Gęsty cień, padający na Sekwanę od grup drzew z wyspy Puteaux, przejął młodą kobietę jakimś dreszczem dziwnym.

Poszli zaraz wzdłuż wybrzeża w kierunku Sèvres i Saint-Cloud. Astiné pożałowała wkrótce, że odesłała powóz. Towarzysze jej zaczęli się tłóma-

czyć, że się pomylili i że do owych kabaretów iść jeszcze trzeba ze trzy kwadranse. Po upływie godziny kazała im wreszcie szukać powozu. Drwiąco zaproponowali, że ją poniosą. Przerwali jednak swe koncepty, gdy im zagroziła, że się zwróci do pierwszego lepszego przechodnia, prosząc o opiekę. Nie było jeszcze północy. Racadot zaczął zapewniać, że się zbliżają do Point-du-Jour. Dwukrotnie, wbrew woli swych towarzyszków, chciała zatrzymać przejeżdżające powozy. Teraz zapadała już cisza, pełna grozy. Byłaby wołała zawrócić do Saint-Cloud, dokąd ją już oddawna pociągały płonące światelka. Oparli się jednak temu stanowczo, twierdząc, że kawiarnie już pozamykane, a powozy zatoczone do wozowni.

— MoŜnaby powiedzieć, że się pani nas obawia—dodał Moucheŕrin.—Kiedy pani przestanie nas znieważać?

Rozpoczęli znowu drwiny nieprzyzwoite, zapytując, czy nie wołałaby w tej chwili znajdować się w łóŜku. Zachowanie się ich oburzyło ją tak, jak bunt słuŜby. Przypuszczała jednak, że są pijani.

— Dosyć — rzekła wreszcie — panie Racadot, pogodźmy się; jeżeli pan prędko odprowadzi mnie do domu, obiecuję panu zapomogę dla dziennika.

Zdawał się ustępować jej ŕyczeniu.

— Oprzyj się, pani, na nas — rzekł — nie obawiaj się, jesteŕmy silni.

Przemocą prawie porwali piękną awanturnicę pod ręce, ciągnąc ją za sobą tak szybko, że w dwóch miejscach rozerwała się jej suknia koronkowa. Milczała jednak. Szli ciągle naprzód szosą wzniesioną o pięć metrów nad poziomem rzeki i pochyłoną lekko ku Sekwanie. Serca wszystkich trojga przenikało jedno i to samo uczucie. Mały Moucheŕrin, trzymając mocno ramię Astiné, pochylał ją ku sobie. Rzekła więc:

— Widzisz pan, że jesteś jeszcze za mały, aby trzymać kobiety inaczej, jak za spódnicę.

Racadot, uszczęśliwiony upokorzeniem innego mężczyzny przez kobietę, która go oszczędziła, uległ czarowi pani Aravian. Tylko wielkim wysiłkiem woli i odtwarzając w myśli obraz Leontyny brzydkiej, pogardzanej, okrytej łachmanami, wywołał w swem sercu nienawiść dla tej istoty tak harmonijnej, przesiąkniętej wonią perfum egzotycznych. Podniecony doznana obrazą i miękkością aksamitnego żakietu, Mouchefrin zaczął wyrzucać cały swój zapas połajanek.

— Dosyć już słów, Antoni! — rzekł Racadot cicho, głosem zmienionym do niepoznania.

I chcąc otworzyć swą tekę, puścił ramię Ormianki. Mouchefrin trząsał się jak w febrze, ogarnięty straszną trwogą; szczęki jego dzwoniły konwulsyjnie. Nagle kobieta się wyrwała i zaczęła uciekać...

Ruch ten był tak niespodziewany i tak gwałtowny, że obaj mężczyźni nie mogli jej powstrzymać. Po chwili jednak opamiętali się i w milczeniu zaczęli ją ścigać.

Fioletowe cienie wieczoru, tchnące tragizmem, ciemne i puste przestrzenie dokoła, namiętny popęd tych ludzi do mordowania kobiety, której tak strasznie pożąдали. Ich krzyki okropne, rozlegające się w przestworzu! Ta ucieczka szybka i ta pogoń gwałtowna... To wołanie beznadziejne, a potem jęki!... Ileż w tem grozy!...

— Psie! — rzekła głosem bez dźwięku, kiedy schwyтана i pociągnięta brutalnie ujrzała za sobą Racadota z ręką podniesioną, nieubłaganym wyrazem twarzy i oczami krwią nabiegłemi... Ileż podobnych okrzyków wyszło z ust mordowanych ofiar, unosząc się w przestworza. Czy je kto usłyszy?... Największa groza leży w tem, że widok podobny

pobudza do szału. Ludzie lubią mordować, a spieczone żądzą wargi rozchylają się rozkosznie na widok rzeczy pełnych szkarady.

W pełni sił i energii upada na ziemię pod brutalnem uderzeniem młotka, który druzgocze jej skroń, brocząc krwią zielono-niebieskiego ptaka.

Cios padł z ręki Racadota; Mouchefrin zaś trzymał białą szyję, uszczęśliwiony, że może jej dotknąć. O, nieszczęśliwa istota! Zwierzątko zbyt ku, swem pięknem ciałem i piękną wzdargą rozpałiła krew w żyłach tych nędzarzy. Zamordowali ją bez litości, obrażeni w swej dumie mężkiej.

Jęki trwały jeszcze z dziesięć minut, pomimo, że ciężkie kolano Racadota gniotło pierś ofiary. Jęki te nie dowodziły nadczułości Astiné, był to cichy szept duszy w odlocie. Prawdziwe *ja* tej kobiety wyraziło się w jej ostatniem słowie rzuconem mordercy nim padła na ziemię, pokonana w tej walce nierównej. Czy miała czas pomyśleć jeszcze: „ach, jak mi się nie chce umierać!...” Czy jednak byłaby wolała doczekać starości?... Kobiety Wschodu tak wczesnie stają się ociężałe.

Tę zbrodnię ohydną pokryły mroki ciemnej nocy; podobnie jak mrok śmierci przysłonił świadomość, którą mogła mieć Astiné. Mordercy jednak nie zdawali sobie sprawy z rzeczywistości. Z przerażenia potracili głowy, uderzali więc ciągle, używając wysiłków niepomiernych, jak gdyby mieli do czynienia z kamiennym posągim, albo najzacieśzszym wrogiem. Przepyszne perły z szyi, z rąk i palców, turkusy „nieśmiertelne,” dar książąt perskich, całą tę kosztowną tandetę, podnoszącą wdzięki Azyatki, zrywali gwałtownie rękami drżącemi z przerażenia. Wreszcie, pochyleni nad trupem ofiary, uzupełniają swą zbrodnię czynem godnym kąta: przez ostrożność, dla zatarcia śladów, odcina-

ją głowę, zdzierają aksamitny żakiet koloru turkawki, czarne koronki, żółte kokardy, wonne jedwabie, unosząc to wszystko w zakrwawionych rękach.

Piękne, obnażone ciało, śliczne, dziewicze kształty oblane potokiem gorącej jeszcze krwi, precudne nogi, cała ta piękność, która z taką rozkoszą budziła instynkt życia, pozostają na wzgórzach Billancourt, rzucone ręką oprawców na twardą murawę.

Sturel zrozumie z czasem, że ta śmierć tragiczna była koniecznością, że w tych właśnie warunkach zginąć musiała Astiné. W miarę, jak się biografia tej kobiety uzupełniała w jego umyśle — podobnie jak się krystalizuje prawda, do której się człowiek obiektywnie — Sturel zaczynał pojmować, że życie podobne byłoby niezupełnem i nawet sprzecznem w założeniu, gdyby chwilom śmierci nie towarzyszyła zbrodnia, okropność, zgrzyty rozpacz.

Pogodne niebo o północy, cisza rozlana w powietrzu i ciemna gęstwa liści, tak sprzyjające zakochanym, stanowią niemniej wspaniałe tło dla przerażonego mordercy. Straszliwe wizye gonią go z szepczeniem złowrogim, od których ucieka jak wyklęty.

Racadot i Mouchefrin obmyli ręce piaskiem i wodą z Sekwany... ale Racadot widzi na szyi Mouchefrina, a Mouchefrin na szyi Racadota wąziutką pręgę, szkic linii, gdzie ma uderzyć nóż gilotyny, zarys przecięcia, według którego głowa oddzieli się od ciała i spadnie do kosza z otrębami.

Obawiają się, żeby ten znak i piętno zbrodni wryte, nie zdradziły ich na rogatkach przy Point-de-Jour, przebiegają więc Billancourt, Boulogne i przez Parc-aux-Princes trafiają do sztachet żelaznych otaczających stację Auteuil. Ale i to także rogatki. Teraz chcą przebyć Sekwanę i przez Most

Neully dostać się do Paryża. Wszędzie jednak wstępu do miasta bronią rogatki.

Nowicyusze nie przewidzieli, że Boulogne i Bilancourt między Paryżem, Laskiem i Sekwaną stanowią prawdziwą łapkę na myszy. Może już nawet odnaleziono trupa. Na tę myśl zbrodniarze się rozdzielają. Sądzą, że idąc osobno, zwrócą na siebie mniejszą uwagę. Każdy znajduje, że obecność drugiego powiększa jego niebezpieczeństwo osobiste.

ROZDZIAŁ XV.

Wątpliwości Franciszka Sturela.

Nazajutrz po tym tajemniczym i obfitującym w zdarzenia wieczorze, dzienniki podały bardziej niż poprzednio niepokojące wieści o stanie zdrowia Wiktora Hugo: znakomity starzec cierpiał straszne duszności i silną gorączkę; zastrzykiwano mu morfinę; wypił trochę bulionu, pożegnał się z wnukami, uściskał dłonie kilku przyjaciół.

Francya z niepokojem śledziła ostatnie chwile wielkiego człowieka, podnoszone do potęgi przez prasę bałwochwalczą. Poeci całemi nocami przesiadywali w winiarni, znajdującej się naprzeciwko domu narodowego bohatera Francyi. Od czasu do czasu podchodzili pod jego okna, zkąd im rzucano nowe wieści. Komitety polityczne na całym terytorium Francyi obmyślały rodzaj żałoby. 22-go maja raniuteńko wieści się jeszcze pogorszyły, o świcie poeta pożegnał się z ukochaną wnuczką Joanną; potem rozpoczęła się agonia. Cały Paryż z najwyższym niepokojem oczekiwał ukazania się je-

dynej gazety, wychodzącej w południe. Sturel, idąc po śniadaniu do parku Luksemburskiego, kupił świeży numer; pod rubryką „z ostatniej chwili” rzucał się w oczy wydrukowany dużemi literami biuletyn, który podpisały trzy powagi medyczne: „Stan bardzo groźny, g. 9 m. 20.” Potem wzrok jego padł na umieszczoną tuż obok kronikę wypadków:

„Dzisiaj nad ranem w okolicach Billancourt znaleziono obnażone zwłoki kobiety z uciętą głową. Praecondnie, którzy podnieśli trupa, zdumieni byli niezwykłą jego pięknością. Dotąd nie stwierdzono tożsamości ofiary.”

Krople potu wystąpiły na czoło Sturela. Powrócił natychmiast na ulicę Sainte-Beuve i zamknął się na klucz w swoim pokoju. Ruchy jego były zupełnie automatyczne. W umyśle budziło się przypuszczenie straszliwe. Znajdował się jakby na rozstajnych drogach nieznaney przyszłości, tyle wyjść, a lęka się w nie zapuszczać. Zraniony ptak wyęży całą swą energię, ażeby się utrzymać w powietrzu, mniejsza o to w jakim poleci kierunku. Nie chciał iść tam, dokąd go pchała rozgorączkowana wyobraźnia. A jednak o piątej już pędził do Morgi. Wtem na rogu ulic Notre-Dame-des-Champs i Vavin usłyszał krzyk; podniósł głowę i przeczytał plakat ozdobnie wydrukowany: „Śmierć Wiktora Hugo!” Serce wezbrało mu w piersiach. Zapomniał o troskach osobistych, przedwczesnych może. Teraz łączył się myślą z całym narodem, składając hołd potężnemu olbrzymowi ducha. Żaden cios, nawet tak tragiczny i tajemniczy, jak zbrodnia w Billancourt, nie mógł go wzruszyć silniej, niż śmierć człowieka, który w epoce mierności o głowę przewyższał współczesnych; obecność jego zdawała się niezbędną do utrzymania we Francyi poczucia jedności i braterstwa.

W piątek, 22-go maja 1885-go roku rano roz-

poczęła się agonia. Jeden ze świadków tej strasznej chwili mówi: „Rzęzenie konającego szarpało boleśnie nasze serca; najpierw był to jakby szum głuchy, chrapliwy, przypominający szum morza, rozbijającego się o głązy; potem trochę osłabł, wreszcie ucichło zupełnie.” Ktoś się zbliżył do zegara i złamał sprężynę, było dwadzieścia siedem po pierwszej. W Izbie nie było posiedzenia, ale wielka sala Pas-Perdus i korytarze mrowiły się od deputowanych i dziennikarzy; wszyscy zaniepokojeni oczekiwali nowych wieści. O pierwszej minut pięćdziesiąt porozklejano plakaty lakoniczne, ale wstrząsające głębiej niż patos największy: „Wiktor Hugo skonał o pół do drugiej po południu.” Pałac Bourbonów w jednej chwili opustoszał; wszyscy pobiegli do mieszkania zmarłego; członkowie parlamentu chcieli od tych zwłok czcigodnych zapożyczyć odrobiny ich wielkości. Rada miejska przerwała posiedzenie i wyruszyła uroczyście dla złożenia hołdu prochom zgasłego mocarza. Mówiono już tu i owdzie, że mistrz, ojciec, patriarchy, pogrzebany będzie kosztem państwa, wystawiony pod sklepieniem Łuku Tryumfalnego i spocznie w murach Panteonu. Po całym świecie depesze rozniosły wieść żałobną; zewsząd zaczęły napływać wyrazy żalu, wyciskające łzy z oczu większości. Oderwać się teraz od tej śmierci, będącej fermentem niezwykłym, mogącym sprowadzić następstwa nieskończenie wielkiej wagi i to z powodu trupa nieznaney młodej kobiety, byłoby oznaką najwyższej małoduszności, egoizmem nie do wybaczenia. Prawda, że rzeczy drugorzędne mogą niekiedy zawładnąć nami wyłącznie; pani Aravian wlała do duszy Sturela coś, co nie zaginie nigdy; ale był to dar istoty żywej; zgon jej daru tego nie spotęguje. Młody człowiek ma sto powodów do przypuszczania, że obnażony trup ze wzgórza Billancourt nie jest trupem Astiné. A gdyby

to nawet ona, niegdyś tak bardzo umiłowana, stała się ofiarą zbrodni ohydnej, nie pora się oddawać własnej boleści i pogrążyć w ciasnym egoizmie w takiej chwili, gdy się jednoczą uczucia i myśli całego narodu. Skłonności osobiste nie powinny nas odciągać od celu wielkiego i mającego znaczenie ogólne.

Nazajutrz, 23-go maja, wzruszenie narodu, odczute przez Sturela, wyraziło się w odezwach prasy w sposób tak urozmaicony, potężny, silny, że mimowoli przychodziły na myśl rozegzaltowujące jęki płaczków starożytnych, albo wrzaskliwe okrzyki, wydawane przez kobiety korsykańskie podczas obchodów pogrzebowych. Wyliczanie zasług zmarłego i wyrazy żalu całej ludzkości przeplatały nowe szczegóły, odnoszące się do „zbrodni w Billancourt.” Z powodu braku głowy i ubrania dotąd nie można było stwierdzić tożsamości osoby. Daremnie przetrząsano Sekwanę i okolice. Franciszek spostrzegł *Prawdziwą Rzeczpospolitą* i wziął ją do ręki. Przebiegł wzrokiem cztery stronnice druku jako tako pozlepiane z wiadomości zapożyczonych z innych dzienników, wreszcie znalazł obwieszczenie o konferencji Racadota, mającej się odbyć 26-go maja, we wtorek. Rzucił dziennik i poszedł do Morgi... Tam omal co nie upadł bez zmysłów...

Śmierć, zachowująca pozory życia, przyprawić nas może niekiedy do szaleństwa. Z ideą skonu związana jest idea zniszczenia. Nie istnieć, a jednak być obecnym wśród żyjących, spoczywać bez ruchu bezwładnie, bez możliwości obrony przeciw zniewagom, udawać niejako życie — jakież w tem bezmiar smutku! Być młodym, siłnym, pełnym zapału i zanikać powoli, gdy nadejdzie starość — ileż upokorzenia w tej myśli! Jakaż to zniewaga, zniewaga do niewybaczenia, gdy piękne kształty, któreśmy niegdyś tak miłowali, stają się jakąś masą

bezwładną, bezmyślną, pozbawioną ciszy i ciemności, aby się rozpaść w nicość. Czyż nie lepiej byłoby wraz z ostatniem tchnieniem rozsypać się w proch, rozpląnąć w powietrzu?... Sturel wpatrywał się w cudne ciało, zarysowujące się niewyraźnie pod białem prześcieradłem trupiarni; straszne wzruszenie pozbawiało go tchu; ostry krzyk bólu zamierał na ustach; nie przyszło mu jednak na myśl pójść do kancelaryi i poprosić o pozwolenie bliższego zbadania zwłok zamordowanej. Czuł, że nikt na świecie nie może być jego powiernikiem. Przypuszczenie, że jakaś ręka obojętna na urzędowym papierze notować będzie jego domysły, wydało mu się czemś tak nieznośnem, jak myśl konfrontacji tego bladego trupa z cudnym obrazem piękności, który się przechował w jego pamięci; nie znalazłby wyrażań dla wypowiedzenia w urzędowym sprawozdaniu, na czem opiera swe domysły. Wrodzone uczucie delikatności nie pozwalało mu wymienić nazwiska kobiety, nie widząc jej głowy.

Wrócił czempredzej do siebie i przez parę dni następnych unikał nawet towarzystwa pań Alison, Wszystkie chwile spędzał w samotności; jedna tylko przyroda przynosiła mu ukojenie.

Dzienniki z dnia 26 go maja rozwiały ostatnie wątpliwości: trup Astiné, dzięki odkryciom nowych szczegółów, został rozpoznany. Z jakąż straszną dokładnością sprawdzała się pierwsza połowa zmory trapiącej Franciszka! Między najlepiej umotywowanem prawdopodobieństwem a faktem dokonanym istnieje cała przepaść. „Stało się!” słowa wypowiedziane wobec nieubłaganej rzeczywistości, miazdzą nieraz tysiące nadziei, które w najcięższych chwilach przełomowych i wbrew zdrowemu rozsądkowi gnieżdżą się w jakimś zakątku naszej duszy. Przekonał się teraz, że nigdy nie przestawał kochać Azyatki. Dopóki żyła, z lekkim sercem przyjął roz-

łakę: z niezachwianą pewnością wierzył w jutro, nie wątpił ani chwili, że pierwej czy później odnajdzie tego ptaka przelotnego, który tak blizkim był jego sercu.

Pewien sposób odczuwania, właściwy Sturelowi, ona tylko rozumiała, podniecając umiejętnie jego nadwrażliwość. Z chwilą jej śmierci jakieś źródła wewnętrzne w duszy Franciszka ścięły się lodem. Uczuł się więcej osamotnionym, stał się jeszcze skrytszym. Nie mógł nawet oddać się wyłącznie swej boleści, myśl jego z przerażeniem i niepokojem zwracała się wciąż ku Racadotowi i Mouchefrinowi.

We wtorek wieczorem ta sama siła nieprzeparta, która go wczoraj popchnęła do Morgi, zawiodła go na ulicę d'Assas, gdzie miał przemawiać Racadot. O godzinie ósmej znalazł się w sali, gdzie się miał odbyć odczyt; było tam najwyżej osób trzydzieści, przeważnie klienci z piwiarni, którym Leontyna porozdawała bilety, wreszcie przyjaciele Roemerspachera, Sturela, Saint-Phlina. Autorytet dziennika nie ściągnął szerszej publiczności. Zdawało się, że wszyscy zgromadzeni przyszli przez grzeczność, a teraz usprawiedliwiają się sami przed sobą z udzielonej jałmużny. Potworzyły się małe grupy, śmiejące się wesoło, rozprawiające głośno i zwierżające się z lekceważenia, które wszyscy żywili względem prelegenta. Roemerspacher usiadł obok Sturela i wskazując mu Mouchefrina, skulonego w cieniu filaru, z błyszczącą twarzą i niesforemami kosmykami kędzierzawych włosów, przypominających grzywę zwierzęcia, rzekł:

— Patrz! Zdaje mi się, że on nigdy jeszcze nie wyglądał tak skrofalicznie!

Zimny dreszcz wstrząsnął ciałem Sturela. Star-gane nerwy oczekiwały czegoś niezwykłego. Roemerspacher, widząc roztargnienie kolegi, pomyślał,

że jest czemś bardzo przejęty i dał mu pokój. O godzinie dziewiątej otwarto drzwi dla wszystkich, kto tylko chciał wejść. Około w pół do dziesiątej liczba słuchaczy dosięgła czterdziestu. Racadot wstąpił wreszcie na estradę i stanął przed małym stolikiem, pokrytym suknem zielonem; obciał sobie brodę, co bardzo zmieniło jego wygląd; wogóle wywarł na swych kolegach wrażenie człowieka, którego widzieli w pełni sił, a który teraz po przejściu lekkiego bronchitu mówi o sobie:

— Lekarze powiadają, że grożą mi suchoty.

Przerzucił kilka ćwiartek papieru i zaczął mówić.

Odczyt jego był kompilacją rozmaitych urywków, pościąganych z artykułów Roemerspachera i Sturela, a drukowanych niegdyś w *Prawdziwej Rzeczypospolitej*. Mówił, a czasem czytał, siedząc. Stojąca postawa byłaby lepiej uwydatniła siłę i dzielność jego postaci, szerokość piersi, potęgę mięśni, pewność ruchów, za pomocą których potrafiłby może wylać całą żółć przepełniającą jego serce. Temat trochę abstrakcyjny, mianowicie: „Nowa zasada moralna”, przystosował do aktualności, wypowiadając z powodu zgonu Wiktora Hugo szereg myśli, które mu poddał jeden z dzienników porannych.

— Chciałbym — zaczął — powiedzieć coś o Wiktorze Hugo. Nekrologi pisane są przeważnie pod natchnieniem otoczenia zmarłego; święte jego stanowiły umysły przeważnie bardzo miernej wartości... (Lekki szmer protestu dał się słyszeć w szeregach słuchaczy). Nie będę poruszał ani formy, ani rytmu poety, tylko jego dzieła i to o tyle, o ile mają one znaczenie w dziejach moralności powszechnej, jak to utrzymywał sam poeta.

„Wiktor Hugo nie dorósł do prawdy według pojęć nowoczesnych; był tylko apostołem zasad, wyznawanych w r. 1848 przez garstkę ludzi mało wy-

kształconych. Szkoda wielka, że poeta nie umarł w owej epoce: wtedy możnaby mu było składać hołdy z pewną słusnością. Prawdopodobnie teraz nie tracilibyśmy czasu na przeglądanie hymnów pozgonnych, ułożonych na jego cześć. Dzisiaj jednak, chociaż jest nas tylko czterdziestu, miejmy trzeźwość i odwagę wypowiedzieć, ile szkody jemu i światu przyniosła ta długowieczność...”

Szmer oburzenia przerwał mu mowę; podniosła się prawdziwa wrzawa, rozlegały się śmiechy i krzyki szydercze. Ciekawość jednak przemogła. Nikt nie miał ochoty się nudzić! Kilkanaście osób zawołało:

— Słuchajcie! Cicho!

Racadot nie zmieszał się bynajmniej tym piekielnym hałasem; przeciwnie, zdawał się być zadowolonym.

— No i cóż! — mówił znów tonem grubiańskim z płonącymi oczami i twarzą rozgorączkowaną — Hugo! Wielkie górnotne pochlebstwa, które rzucał Paryżowi, nie wzruszają mnie wcale: pochodzę z prowincyi odległej. Co do jego pięknych, nieustannie powtarzanych obietnic usunięcia nędzy i zła za pomocą wykształcenia, to, zdaje mi się, że i ja mam prawo wypowiedzieć o tem swoje zdanie... Otóż, twierdzenie to uważam za nonsens... Hugo!... Dla mnie jest to człowiek zupełnie zwykły, umiejący zręcznie tumanić innych...”

Wśród publiczności zapanowała wesołość. Wiadocznem było, że jeden tylko Racadot odmawia uznania bohaterowi, którego trumnę otoczyło uwielbienie całej Francyi.

Wtem usłyszano głos ostry i krzykliwy:

— Mów pan dalej, panie Racadot! Głupcy i reakcyoniści mogą opuścić salę!

Wszystkich oczy skierowały się w stronę, z kąd głos dochodził: ze zdumieniem ujrzano wątłą postać

małego Fanfournota z włosami najeżonemi. Rozbawienie publiczności wzrastało. W gruncie rzeczy nikt się nie gniewał i nie oburzał: byłoby to braniem na seryo prelegenta, któremu rzucono jałmużnę. Mógł więc Racadot wśród szmeru protestów umiarkowanych, z wyzywającym wyrazem twarzy rozwijać swe poglądy, przyjmowane przez ogół z wyraźną antypatyą; pomimo daru wymowy, nie posiadał najmniejszej swady oratorskiej; zamiast porwać tę garstkę słuchaczy, stanął z nimi w wyraźnej opozycji; był zupełnie osamotniony. Na wstępie wyraził swą pogardę dla Wiktora Hugo:

„Człowiek ten zupełnie bezcelowo znieważał wszystkie dogmaty: całą doktrynę pozostawił niekniętą i głosił ją nam za pomocą metafor, pozbieryanych z kazań księżowskich. Dla każdego z nas podtrzymanie bytu jest koniecznością bezwzględną. Oto obowiązek, zostawmy tę nazwę dwuznaczną i przestarzałą, oto instynkt, który w nas złożyła przyroda, sama dając nam przykład najlepszy. Jakim sposobem człowiek ten, oddany rozmyślaniam, nie spostrzegł, że każde zwierzę, roślina, minerał zachowuje się tak, jak gdyby jego własne istnienie było jedynym przedmiotem życia powszechnego, a wszelkie inne egzystencje stanowiły tylko środki pomocnicze dla dopięcia tego celu? Przyroda uczy nas żyć kosztem innych i to nie przebieając w środkach. Zamiast pustego i kłamliwego wyrazu „braterstwo,” podstawić należy „pasorzytnictwo”. To właśnie słowo powinien był opiewać Hugo, gdyby nie był pozostał niewolnikiem starych dogmatów, na które napadał ostentacyjnie. Tylko wprowadzając do etyki powyższą zasadę, możemy usunąć zło. Zadanie polega nie na tem, aby zmienić walkę o byt, ona zmodyfikowaną być nie może, ponieważ jest zasadniczym prawem świata, ale przestać tę walkę traktować jako zło...”

Dla wzmocnienia powyższej tezy, zapożyczony wprawdzie, ale podanej słuchaczom z dziwnie dowolnymi komentarzami, Racadot powołał się na autorytet jednego z najzdolniejszych redaktorów *Prawdziwej Rzeczypospolitej*, pana Maurycego Roemerspachera, który w dwudziestu artykułach świetnie rozwinął zasadę, że człowiek prawdziwie moralny powinien się stosować do praw natury; Roemerspacher często mówił swym przyjaciołom, że znakomity nasz filozof, Hipolit Taine, wyznawca powyższej teorii, przytoczył na jej poparcie historię olbrzymiego platanu ze skweru Inwalidów.

„Panowie, przyglądałem się bacznie owemu platanowi, którego rozwój służyć może jako prawo życiowe: otóż platan ten mógł zachować swoją egzystencję tylko kosztem dwu sąsiednich drzew i mam wszelkie podstawy do przypuszczenia, że zagłuszył zupełnie trzecie, które ściągć kazała administracya bulwaru.”

Wśród młodych ludzi, dobrze ze sobą znajomych, kilku się zaśmiało.

Roemerspacher pochylił się do Sturela i rzekł do niego na ucho:

— W tem wszystkim jest trochę prawdy. Należałoby wynaleźć inną podstawę dla moralności. Ale jak to wszystko pojęte nisko! Biedny chłopak zdaje się cierpieć na zupełny zanik uczuć delikatniejszych.

Sturel zadrżał. Wpatrywał się w Racadota pilnie, nie słysząc jego słów. Nie poznawał go wcale. Ta twarz wychudzona, ta ręka trzęsąca się gorączkowo nie przypominały mu żadnego z dawnych wyobrażeń, które przez tyle lat kojarzył z nazwiskiem Racadota.

Z tym człowiekiem, przemawiającym tak ognicie i gestykującym tak żywo, wiąże go dzisiaj

tylko paląca ciekawość, która się sprowadza do jedynego pytania: „Zabił, czy nie zabił?”

Antypatyczny prelegent zakończył wreszcie swój wykład zapewnieniem, że ludzkość przez całe wieki czuła się nieszczęśliwą dlatego tylko, że z uporem chciała się sprzeciwiać prawdzie przyrodzonej i stosowała czyny swe do zasad. Nie łatwo się nam wyłamać się z pod prawa ogólnego „pasorzytnictwa”.

Poddając mu się jednak, czynimy sobie wyrzuty bolesne. Wiktor Hugo był jednym z najupartszych siewców tych skrupułów. Podobnie jak minerał, zwierzę i roślina żylibyśmy szczęśliwi, gdyby rozum nasz, zamiast stwarzać błahe i urojone subtelności moralne, potwierdzał wyniki wiedzy, że każda istota żyjąca ma prawo *cezaryzować*.

— *Cezaryzować!* — szepnął Roemerspacher do Sturela. — Teraz odpowiedzialność spada na ciebie. Racadot zwraca nam twoją przemowę u grobu Napoleona.

Krótką ta uwaga, wypowiedziana łagodnie z akcentem lotaryńskim, trochę przeciągłym, co się szczególnie zauważyć dawało w tonie ironicznym, głęboko zapadła w duszę Sturela.

Racadot, podobnie jak większość nierutynowanych mówców i niezbyt zdolnych pisarzy, posiadał skąpy zasób synonimów; słowo więc *cezaryzować*, tak jak poprzednio „drzewo Taine’a”, w przeciągu dziesięciu minut ze trzydzieści razy wracało mu na usta.

Z wyjątkiem małego Fanfournota, nikt nie oklaskiwał prelegenta, kiedy zaczął wreszcie zbierać swe papiery. Roemerspacher skierował się ku estradzie, a Sturel poszedł za nim. W dwudziestym czwartym roku życia wrażenia są koniecznie potrzebne do szczęścia, a ilość ich przeważnie jest tak niewielka, że Sturel poprostu upajał się swym niepokojem. Podobnie jak niektórzy ludzie silni

i dzielni wolą nawet dotkliwie pociski losu, niż szary dobrobyt, wielu nerwowców lubuje się w rozterkach wewnętrznych, w pełnych niepokoju stanach duszy.

Sturel nie zdawał sobie dokładnie sprawy, z jak nieprzepartą siłą pociąga go ta tragedia wstrząsająca: wistocie jednak o władnęła nim tak wyłącznie, że stracił zdolność samoanalizy.

Renaudin, który się właśnie dowiedział, że Racadot opłacił dwie zaległe ratówki za *Prawdziwą Rzeczpospolitą*, uważał kłótnie z dawnym kolegą za rzecz niepożądaną i dlatego przyszedł na odczyt, a teraz składał mu powinszowania. Racadot ścisnął jego dłoń, ale Leontyna obróciła się plecami. Mały Fanfournot, patrząc z nienawiścią na nielicznych słuchaczy opuszczających salę, wygłosił:

— Ależ pan im rzuciłeś prawdę w oczy, panie Racadot!

Wszystkich oczy zwróciły się na Roemerspachera, który teraz właśnie wszedł na estradę i zwrócił się do Racadota:

— Twoje „pasorzytnictwo”, prawo do życia, przyroda, nakazująca „cezaryzować”, wszystko to mogłoby być prawdziwem w teoryi i to tylko dla jakiegoś potwora urojonego, dla jednostki hipotetycznej, izolowanej od grup społecznych; ale człowiek jest zwierzęciem towarzyskiem, politycznem, i dlatego chcąc zapewnić bezpieczeństwo osobiste, musi szanować prawa społeczeństwa, od którego otrzymuje wszystko i które zresztą potrafi go do tego przymusić.

Mówił to z przekonania, a po części i dlatego, że towarzysz wplątał jego nazwisko do swego odczytu; przykro mu się jednak zrobiło, że występuje z naganą biedaka, który zadał sobie tyle trudu dla zdobycia marnych trzydziestu franków, poklepał go więc po ramieniu i rzekł:

— Ale musisz być spragniony! Chodźmy więc na piwo!

Racadot zaczął się wymawiać tem, że był z Leontyną; Roemerspacher, zdziwiony tą niezwykłą delikatnością, nakłonił oboje do przyjęcia zaproszenia. Sturel, Suret-Lefort, Renaudin i Fanfournot poszli razem. Dziwnym zbiegiem okoliczności wstąpili właśnie do tej samej piwiarni przy ulicy Medicis, w której się zgromadzili po raz pierwszy, w dniu przybycia do Paryża Roemerspachera. Tylko dzisiaj brakowało Mouchefrina: znikł gdzieś niepostrzeżenie.

— A jednak, wszystko, co mówiłem, jest prawdą! — rzekł Racadot.

— Słuchaj — rzekł Roemerspacher. — Bezcelową zupełnie byłaby dyskusya, czy należy w życiu praktycznym stosować twoją teorię. Gdyby nawet była ona prawdziwą, nie wynika ztąd bynajmniej, że jest to jedyny czynnik, decydujący o naszych postępkach. Motyw ich jest zwykle głębszy, gubi się we mgle dzieciństwa, poprzedzając znacznie nasz dorobek duchowy z czasów szkolnych. Gdy idzie o powzięcie jakiegoś postanowienia, o określenie tego, co nazywamy „prawdą”, wchodzą też w grę zasady, wpojone przez rodziców, wspomnienia dzieciństwa, wpływ kochanki, jednym słowem strona uczuciowa, która bywa tak silną, że negocjować jej nie sposób.

— Moi rodzice!... moje dzieciństwo!... Nie przypominam sobie nic, coby na mnie oddziaływało przed wstąpieniem do liceum. A liceum to wcale nie Wirgiliusz i nie Bossuet, tylko Bouteiller i wy wszyscy. Czegoż się tam nauczyłem? Że każdy powinien się troszczyć o siebie! Ze ten, kto ma być zapewniony, nie podzieli się swemi dochodami ze mną!

Roemerspacher spojrział wymownie i ręką wy-

konał ruch, mający oznaczać, że nie może zupełnie uchwycić logiki swego interlokutora. Pomyślał przytem, że Racadot jest upartym głupcem. Wszyscy zamilkli. Leontyna, niegdyś tak pewna siebie i korzystająca z każdej sposobności, aby się wtrącić do dyskusyi, dzisiaj wzbudzała litość. Renaudin dla rozproszenia smętnego nastroju, rzekł:

— Wiesz, Racadot, mówią, że zamordowana w Billancourt kobieta pisywała do *Prawdziwej Rzeczypospolitej*.

Reporter w 1883 roku nie był w willi pani de Coulonvaux. Nie wiedział zatem nic o blizkim stosunku, łączącym niegdyś Sturela z panią Arabian. Roemerspacher i Suret-Lefort mówili o tem ze sobą, ale widząc bladą i zmienioną twarz kolegi, nie zadawali mu żadnych pytań. Racadot, oparty o ławkę, z powiekami nawpół przymkniętymi, rozkładając na marmurowym blacie stołu krótkie ręce, wywierał wrażenie człowieka, któremu silne wzruszenie rozsadza piersi, ale który, mimo to, gotuje się do walki nieuniknionej. Po chwili rzekł, zwracając się do Stnrela:

— Ale... Ale... ty przecież znałeś tę kobietę... Przypominam sobie... Czy widywałeś ją później?

Sturel zrobił ruch przeczący i wpatrzył się badawczo w twarz Racadota. Troski dni ostatnich zatarły na niej wyraz siły, podkreślając wyraźniej jeszcze widoczną zawsze chytróść. Potomek chłopów niewolnych, który dawniej mówił głosem grubym, monotownie, który nigdy nie zdradzał żadnych wzruszeń, dzisiaj stał się gadatliwym, a twarz ściągała mu się kurczowo, jak gdyby był wątłą odroślą rodziny arystokratycznej.

— Ścisłe mówiąc, nie była ona nigdy współpracowniczką *Prawdziwej Rzeczypospolitej*. Oddałem jej kilka usług... Mam zamiar, zresztą, złożyć ze-

znanie u sędziego... Suret-Lefort nie odmówi mi potrzebnych wskazówek...

— Możnaby z tego zrobić ciekawy interview— rzekł Renaudin.

— Dziękuję Ci! *Prawdziwa Rzeczpospolita* ukaże się znowu: obmyślam właśnie pewną kombinację.

Frazes ten wzięli wszyscy za przechwałkę. Atmosfera była ołowiana. Każde słowo potęgowało jej ciężkość. Nazwisko pani Aravian napełniało przerażeniem jednych, torturowało innych; imię *Prawdziwej Rzeczypospolitej* oddziaływało przygnębiająco na wszystkich, wywołując wspomnienia doznanych zawodów, zdrad, bezsilności: był to pierwszy, chybiony akt ich życia.

Ażebym przerwać ten nastrój grobowy, Roemerspacher wziął szklanke i rzekł z pewną dobroduszością:

— Za pomyślność *Prawdziwej Rzeczypospolitej!* Leontyna się rozplakała.

— Cóż cię tak zasmuca?

— Ach, Honoryuszu, milsze były te czasy, kiedy ci nie czyniono owacy!

— Pojutrze pojedziemy na wieś na cały dzień.

— Czy pan zechce zabrać mnie ze sobą, panie Racadot? — spytał Fanfournot.

— Zrobi to przyjemność temu dzieciakowi — rzekła Leontyna, gładząc najeżoną czuprynę chłopaka. Ludwik Fanfournot w siedemnastym roku wyglądał na trzynaście, ponieważ wiecznie bywał głodny... Jakaś kwiaciarka, obładowana zwiędłymi wiązankami, nie chciała odejść od ich stolika, Roemerspacher kupił wreszcie jakieś róże i ofiarował je Leontynie.

— A czyż we czwartek wieczorem nie byliście już na wsi?—zapytał Sturel tonem tak szorstkim, że zwrócił uwagę wszystkich obecnych.

— Nie, cały dzień i cały wieczór spędziłem z Leontyną.

Ta rozplakała się znowu. Racadot zaś, który się zdobył na spokojną odpowiedź Sturelowi, zaczął grubiańsko wymyślać garsonowi, że marudził z przyniesieniem przyborów do pisania. Atmosfera stała się niemożliwą do zniesienia. Suret-Lefort przerzucił dziennik, szukając nazwiska sędziego, który prowadził śledztwo. Wreszcie zaczął dyktować wzór prośby, żądającej audyencji, a Sturel wybiegł szybko z kawiarni, nie żegnając się z nikim. Wewnętrzne życie Franciszka pogłębiało się z dniem każdym! Umysł jego stopniowo obejmował coraz większe zadania; pracując w *Prawdziwej Rzeczypospolitej* zdawało mu się, że się zapoznaje bliżej ze stosunkami społecznymi, z polityką; właściwie jednak znalazł sobie tylko cel w życiu. Teraz, w tym samym małym pokoiku, z widokiem na szarawy kawałek nieba, zaprzętało go zagadnienie inne: kwestya stosunku jednostki do organizmu zbiorowego...

Nie był jeszcze w tym wieku, kiedy człowiek zaczyna patrzeć na życie z punktu widzenia moralności. Okres, kiedy zmysły stają się przytępione, energia mniej przedsiębiorcza i śmiała, kiedy zaczynamy brać życie takim, jakim ono jest, kiedy się godzimy z jego ciężarami, troskami, odpowiedzialnością, jest już właściwie przygotowaniem do śmierci... Sturel dotąd przygotowywał się do życia... Otóż ono, to życie upragnione!... Ta ciężka, straszna chwila przełomu, którą przeżywa obecnie, jest pierwszym jego czynem odpowiedzialnym. Musi określić stosunek między sobą a innymi ludźmi, powziąć postanowienie, mające zaważyć na szali losu. Czyż nie to właśnie nazywa się działaniem? Wielbiciel Napoleona obraca się w błędnem kole...

Na wzgórzach Billancourt popełniają zbrodnię... Okoliczności czynią go sędzią... Zdaje mu się, że

zna imiona morderców. Są to jego przyjaciele; z nikim na świecie nie łączy go taka zażyłość, jak z kolegami z Nancy. Nie jest to uczucie wyjątkowo serdeczne, raczej wspólność wielu pojęć, interesów, wspomnień; skoro się z kimś razem przeżyło lat piętnaście, szczególnie w wieku, gdy się kształtują umysły i charaktery, trudno zachować zupełną niezależność poglądów. Jeżeli głowy Racadota i Mouchefrina spadną pod nożem gilotyny, zanikną liczne komórki mózgowe, powołane do życia teoryami Sturela. Od kogóż Racadot zapożyczył samo słowo „cenaryzować.”

Od pierwszej chwili zrozumiał jasno, jak wielka ciąży nad nim odpowiedzialność: on jest świadkiem decydującym. Zwlekał z powzięciem postanowienia, czekając nim się potwierdzą lub rozproszą tragiczne hipotezy, które od dni czterech budował w swym mózgu. Dzisiaj przecucie jego, dotąd chwiejne, zamieniło się na pewnik niezbity. Czy ma zostać sędzią tych ludzi na podstawie oskarżeń istniejących w głębi jego duszy? Bynajmniej; odrzuca precz od siebie wszystkie okoliczności, mogące go zwalać, zmącić spokój wewnętrzny. Pocóż *ja* się mam plątać w tę sprawę hańbiącą. Po co się wiązać z tymi zbrodniami? I to jeszcze w takich chwilach, gdy sercem i duszą łączę się z całą Francją wielbiącą Wiktora Hugo! Za jakąbądź cenę chciał się oderwać od tych myśli okropnych, od Morgi i zbrodniarzy, a pogrążyć się całkowicie w atmosferze bohaterskiej, otaczającej czcigodnie człowieka, będącego chlubą Francyi! Daremnie usiłuje wyrwać się z tego błędnego koła! Obraca się w niem znowu. Przed chwilą zabrakło mu odwagi spojrzeć bacznie w oczy Racadota i powiedzieć: „Kłamiesz, spotkałem cię z Mouchefrinem i panią Aravian na wzgórzach Billancourt.” Strzegł się wystąpić

z tym argumentem pod pozorem, że za mało wie, aby zacząć działać.

O, gdyby wreszcie znaleźć wyjście z labiryntu własnych myśli!... Codziennie przecież wobec jakiejś zbrodni ludzie wołają: „chwytaj zbrodniarza!” Niema potrzeby bawić się w takie subtelności, gdy się ma wezwać żandarma. Sturel stanowczo nienawidzi morderców, ma nawet wstręt do tych zwierząt dzikich, nie przeszkadzałyby ich ujęciu, ale są to jego dobrzy znajomi... wie, że nie dla przyjemności i nie z lekkim sercem popełnili czyn tak potworny. Wywiezienie ich do Mazas, do Conciergerie, na plac la Roquette, na Champs-des-Navet będzie czynem dla społeczeństwa pożytecznym, ale porównać go można raczej z wymiataniem odpadków i śmieci, niż z wymiarem sprawiedliwości. Zresztą, na wahanie się jego wpływa i ta okoliczność, że chce sobie oszczędzić kłopotu; codziennie prawie patrzymy biernie na różne podłości większe lub mniejsze, wychodząc z tej zasady, że mądry nie miesza się nigdy do spraw cudzych.

W środę, 27-go raniutko, ułożył sobie program postępowania; będzie czekał wyniku audyencji Racadota u sędziego śledczego. 27-go, 28 i 29 nie mógł usiedzieć na miejscu; po kilka razy na dzień wstępował do kawiarni Woltera, rozmawiał z przyjaciółmi, wychodził i wracał znowu. Renaudin żywo się interesował niesnaskami generała Boulangerera z generalnym rezydentem Tunisu. Roemerspacher dysputował z Suret-Lefortem, który wzruszał ramionami na samą myśl, że Hugo położył większe zasługi dla Rzeczypospolitej niż Grévy. Duszą Sturela miotła niepewność; rozglądał się dookoła, ale daremnie; czuł się zupełnie osamotnionym. Nikt się nie interesował jego walką wewnętrzną, nikt nie rozumiał jej okropności. Ani świat cały, ani jego sumienie nie umiało mu wskazać drogi

prawdziwej. Rozczarowywał się w samym sobie. Wyrwał się z ciasnego koła indywidualizmu, pragnął wziąć udział w życiu zbiorowym; teraz zgnębiony ciężką próbą, z której wyjścia znaleźć nie umie, chce się otrząsnąć ze wszelkich uczuć osobistych i płynąć z prądem entuzjazmu narodowego.

Paryż nie zajmował się wcale zbrodnią w Billancourt. Oto były wielkie nowiny, elektryzujące ogół: Łuk Tryumfalny zostanie zamknięty z trzech stron; otwarta będzie tylko jedna brama, wychodząca na pola Elizejskie; tamtędy wniosą pod sklepienie Łuku zwłoki bohatera. Będą one wystawione na widok publiczny w niedzielę, 31-go maja, przez cały dzień i całą noc. W poniedziałek 1-go czerwca o 11-ej rano zabierze je karawan ubogich. Kościół Ś-tej Genowefy odebrano od duchowieństwa i pod nazwą Panteonu poświęcono kultowi wielkich ludzi. Wielki poeta w testamencie swym mówi: „Nie chcę, aby odprawiano za mnie nabożeństwa żałobne po kościołach; pragnąłbym tylko modlitwy wszystkich dusz.” Sturel nie chciał, aby go cośkolwiek odrywało od tej modlitwy, której pragnął się oddać całą swą istotą.

W niedzielę raniutko, leżąc jeszcze w łóżku, usłyszał krzyki roznosicieli gazet, zwiastujących najświeższą nowinę: „Aresztowanie mordercy!...”

Dnia poprzedniego, t. j. w sobotę, Racadot wskutek listu, napisanego przy pomocy Suret-Leforta, wezwany został do kancelaryi sędziego śledczego. Około południa posłał swą kartę, godzinę całą wyczekiwał w długim korytarzu, którego dwańście okien wychodziło na podwórze Sainte-Chapelle. Pomimo, że logiczne rozumowania przywróciły mu spokój, byłby wolał odbyć co prędzej konferencję z tym urzędnikiem. Zbliżył się do wóz-

nego, siedzącego przy biurku na małym wzniesieniu i zapytał poufnie:

— Jak się panu zdaje, czy długo jeszcze czekać będę?

Spojrzenie i ton zdawały się mówić: „Pomyśl pan, jak to nudno! Zadałem sobie tę przykrość, chcąc dopomóc sprawiedliwości; przychodzę dobrowolnie... lecz czemuż inni nie spełniają swego obowiązku?”

Dyplomacya ta jest zupełnie zbyteczna: woźni zajęci są tylko rozmową; zblazowana ich ciekawość nie trudzi się wcale rozpoznawaniem winnych od niewinnych. Racadot pomyślał, że cała sympatya, którą w tych ludziach zdoła obudzić, mniejsze będzie miała znaczenie, niż źdźbło słomy w mechanizmie trybowym; gdyby nawet teraz palił cygaretki z urzędnikami sądowymi, oni są tu po to, aby go po skończonej audyencji odprowadzić do więzienia, jeżeli sędzia wyda rozkaz odpowiedni. Zaczął więc znów chodzić po korytarzu; co chwila spotykał się z adwokatami, którzy, jak szczury więzienne, drobnym kroczeniem wesoło biegali po swych posiadłościach. Poprzez szyby spoglądał czasem na wysmukłe ściany Sainte - Chapelle i na przechodniów, którzy zdawali się nie oceniać należycie swego wielkiego szczęścia, byli swobodni! Starał się zapomnieć o popełnionej winie, ażeby lepiej wejść w rolę człowieka, który nie wie o żadnych szczegółach krwawego dramatu, ale z własnego popędu przychodzi udzielić sprawiedliwości wskazówek co do charakteru ofiary tajemniczej zbrodni.

Któż mógł wpłynąć na jego postanowienie?...

Po spełnieniu zbrodni i po skonstatowaniu faktu, że Boulogne przypomina łapkę na myszy, przestępcy się rozdzielili. Racadot, nie tracąc równowagi, krokiem zupełnie naturalnym przebył roгатkę przy moście Point-du-Jour, rozumując bardzo tra-

fnie, iż przejście to jest tak ucześnie, że urzędnicy z pewnością nie zapamiętają rysów jego twarzy. Na domiar ostrożności, nazajutrz kazał sobie obciąć brodę. Mouchefrin zaś z przerażenia stracił przytomność: przeskoczył rów otaczający Lasek Bułowski i zaczął uciekać. Nie przyszło mu na myśl, że może wpaść w ręce straży nocnej, tropiącej złodziei.

Udało mu się jednak pomyślnie. Wrócił do Paryża, nie spotkawszy nikogo... Przy pięknej zamordowanej znaleźli tylko tysiąc ośmset franków, z których Racadot opłacił właścicielowi „*Prawdziwej Rzeczypospolitej*” dwie zaległe raty, a Mouchefrinowi oświadczył wprost: „Znajdziesz u mnie zawsze sztukę złota.” Karzeł, szczękający zębami ze strachu, nie myślał o obronie swych interesów, tylko swojej głowy... Perły zaś i turkusy wysłał Racadot w żelaznej szkatułce do Verdun, do przyjaciółki Leontyny.

Wreszcie, nie wtajemniczając swej kochanki, kazał jej przysiąc, że niezależnie od tego, co nastąpić może, będzie świadczyła w razie potrzeby, że wieczór 21-go maja spędził z nią i z Mouchefrinem... Oto zespół warunków, ułożonych bardzo sprytnie i słusznie mogących uspokoić Racadota.

Upłynęły dwie godziny; on czekał jeszcze; wreszcie sędzia wyszedł z gabinetu, przeprosił go za zwłokę, prosząc uprzejmie, aby zechciał jeszcze poczekać. Około godziny 4-tej Racadot zaczął się spodziewać, że audyencyę jego odłożą do dnia jutrzejszego. Podobnie, jak działanie środków podniecających ustaje po pewnym przeciągu czasu, tak i odwaga, którą w sobie obudził, zaczęła się wyczerpywać. Nagle usłyszał swoje nazwisko. Wprowadzono go niezwłocznie do małego pokoiku. Znajdował się tam sędzia i pisarz sądowy. Sędzia zwrócił się bardzo grzecznie:

— Panie Racadot, pan życzył sobie dać pewne wskazówki, odnoszące się do pani Astiné Aravian. Nie żądam od pana przysięgi. Zobaczę tylko, czy będę mógł powołać pana w charakterze świadka. Zechce mi więc powiedzieć pan wszystko, co pan wie...

W małym, ciasnym pokoiku jakże dalekiemi od niego wydawali się ci obojętni słudzy prawa! Tak strasznie pożądał w tej chwili przyjaznego uśmiechu, tłustego żarciku! Całe życie odczuwał brak serdeczności w stosunkach z ludźmi... O! jakże wstrętni są ci urzędnicy! Zaczął wreszcie mówić; dźwięk własnego głosu dodał mu odwagi. Zmieniając trochę fakty, by nie mieszać do sprawy Mouchefrina, powiedział, że pani Aravian przyszła pewnego razu do redakcyi, chcąc mu przedstawić przykre położenie współrodaków w X.; mógł usłużyć Francuzom i pięknej damie, spełnił więc chętnie jej życzenie. Następnie miał parę razy przyjemność towarzyszenia jej w wycieczkach po nizinach społecznych Paryża, które lubiła zwiedzać, podobnie jak wszyscy wielcy książęta i książę Walii... „Prawdopodobnie więc tam się zapoznała z jakimś włóczęgami...”

Urzędnik zadał mu jeszcze parę pytań, a potem podziękował. Ciężar spadł z piersi Racadot: zdawało mu się, że nagle odmłodził. Powstał z miejsca, wziął laskę i ukłonem pożegnał sędziego. Starając się nie przyśpieszyć kroku, skierował się ku drzwiom, kiedy nagle urzędnik dla spokoju sumienia zawodowego, prawie dla podtrzymania rozmowy — opowiadał później, że był o sto mil od wszelkiego podejrzenia — zatrzymał go lekkim ruchem i zapytał niedbale:

— Pan, zdaje się, obciął brodę, panie Racadot?

— Brodę? Nie, to jest, tak...

Zdawało mu się, że jest już na swobodzie i oto nagle to pytanie... przypomniał sobie, że sły-
szął nieraz, iż sędziowie śledczy bywają zawsze
z początku bardzo grzeczni i uprzejmi — a potem,
nagle, w ostatniej chwili, lekkim tonem rzucają ja-
kieś zdanie urywkowe i na nie łapią winowajcę.

— Ale co się panu stało, panie Racadot? Pan
tak pobladł, pan się chwieje! Usiądź pan!

Racadot sino-błady, z kroplami potu na czole,
raczej osunął się na krzesło. Sędzia nie wyrzekł
do niego głosem grzmiącym: „Nieszczęśliwy! sam się
zdradziłeś!” tylko milczał i wpatrywał się w niego
badawczo. Wreszcie:

— Racadot — odezwał się — zmuszony jestem
zatrzymać pana.. Nie aresztuję pana, tylko potrze-
buję mieć pana pod ręką. Nie pójdzie pan do Ma-
zas, lecz pozostanie pan tu.

Racadot zaczął prosić, płakać, błagać, wycie-
rając rękami spocone czoło; wreszcie gdy się prze-
konał, że wszystko jest daremne, wpadł we wście-
kłość straszliwą. Traktował z góry sędziego, gro-
żąc, że się odwoła do Bouteillera. Straszyl pisa-
rza sądowego, że go złoży z urzędu; obrzucał po-
łajankami cały Pałac Sprawiedliwości i pochwyciw-
szy za sukno zielone, pokrywające stół sędziego, ścia-
gnął na ziemię wszystkie papiery, kałamarze, pió-
ra, bibułę i zegarek. Stanowczo była to jego zła
godzina.

— Nie widziałem nigdy, żeby oskarżony był
tak niezręcznym — rzekł z przekonaniem pisarz są-
dowy do swego zwierzchnika.

Istotnie, Racadot wyglądał jak dziki zwierz,
złapany w sidła i pragnący się wyrwać. Pienił się
z wściekłości, dowodząc, że go zatrzymują bez do-
wodów, że w ten sposób nie postąpionoby nigdy
z redaktorem gazety, rozchodzącej się w stu tysią-
cach egzemplarzy. Podnosił taką wrzawę, że ad-

wokaci, krążący nieustannie po korytarzach Pałacu, zgromadzili się za ścianą kancelaryi sędziego; ogarnęło ich jakieś uczucie zaciętości i dzikiej niechęci przeciw dziennikarzowi, dwie korporacje bowiem czują się zawsze w obowiązku nienawidzić siebie wzajemnie.

Wreszcie drzwi od kancelaryi sędziego otwarły się gwałtownie. Ukazał się Racadot. Twarz jego czerwona, jakby obrzękła, zalana była potem i łzami.

— Precz bogacze, złodzieje, próżniacy! — wołał, wymachując rękami w powietrzu.

Coraz więcej utwierdzał się w przekonaniu, że jest ofiarą porządku społecznego. Świadkowie tej sceny przyjęli go z drwinami. Odtrącił nadzorców, którzy go chcieli ująć. Z trudnością tylko udało się namówić go, aby zaniechał zamiaru opuszczenia Pałacu i skierował się do małych drzwi-czek na lewo, które przed nim otworzono: zawarły się za nim natychmiast, jak powierzchnia wody za topielcem.

Głośny, nieprzyjemny śmiech adwokatów towarzyszył jego zniknięciu. Był już po za światem, sam, z nadzorcami tylko: słaby z silnymi. Natychmiast zaczęli go bić i potrącać, uderzając przeważnie w piersi i twarz. Potem, na wązkich kręconych schodach, prowadzących w dół do więzienia, usłyszano jego ciężkie, miarowe kroki. Uspokoił się już zupełnie.

Nadzorcy więzienni w życiu zakulisowem mają swoje sposoby do poskramiania natur buntowniczych i wpojenia rezygnacyi, jaka przystoi więźniom.

Część powyższych szczegółów Sturel znalazł w dzienniku niedzielnym. Teraz już się upewnił o winie kolegów; wątpił, dopóki miał tylko świadectwo własnych oczu. Fakt uwięzienia jest dla Fran-

cuzów dowodem więcej przekonywającym, niż zła-
panie na gorącym uczynku.

Co miał teraz zrobić z Mouchefrinem?

ROZDZIAŁ XVI.

Wartość społeczna trupa.

Sturel widział jasno, że trzyma w swych rękach głowy Racadota i Mouchefrina. Od niego tylko zależy, czy mają one spaść pod nożem gilotyny na placu la Roquette. Żadnych dowodów przeciw Racadotowi, żadnych podejrzeń co do Mouchefrina. Teraz on, Sturel, powinien wystąpić otwarcie i oświadczyć: „Widziałem ich obu razem z ofiarą.”

Mordercy! Splamieni krwią kobiety tak blizkiej jego serca!...

Gniew upraszcza nieraz stosunki nasze z osobami, które go wywołały. Im więcej się Sturel oburzał, tem więcej się rozjaśniały jego myśli. Zrozumiał jasno, że byłoby tchórzostwem wahać się dłużej między poczuciem solidarności koleżeńskiej a godziwością, między przyzwyczajeniem a zbrodnią. Rozwinęła się w nim tak silna nienawiść, oraz wstręt do tego morderstwa potwornego, iż zaczął gardzić sobą, że się znał z podobnymi ludźmi; znie-nawidził nawet ofiarę zbrodni i cieszył się w duchu, że wszyscy aktorzy tego strasznego dramatu znikną z oblicza ziemi.

— Nareszcie, zdobyłem się na decyzję!

Ale właśnie dlatego, że się już zdecydował, nie miał się czego śpieszyć z wykonaniem swojego postanowienia. We wtorek zawiadomi odnośnie władze. Otworzył *Pravo Rzymskie*, odczytał parę naj-

znakomitszych utworów mistrza, zachwycał się *Hymnem do Ziemi*... Daremnie jednak starał się odwrócić swe myśli w inną stronę: zdawało mu się, że już znalazł sposób wyjścia z błędnego koła szarpiających go wątpliwości, a tymczasem waha się znów; znów zadręcza siebie pytaniami. Roztrząsa w myśli znaczenie zdania, wygłoszonego przez wielkiego pisarza: „nędznicy, od których należy uwolnić społeczeństwo!”

— Nędznicy, tak! Ale czyż to moja rzecz oczyszczać społeczeństwo?... Czyż kiedykolwiek twierdziłem, że szanować należy istniejący porządek rzeczy i umowę, która go ustanowiła? Podłość ich czynu budzi we mnie wstręt i odrazę. Jakim sposobem ze słowa „cezaryzować” wyciągnąć można tak niskie kosekwencye?... Twierdziłem zawsze, że o czynach człowieka wyrokować powinno jego własne przekonanie, nie zaś przepisy, narzucone przez organizm zbiorowy. Wobec tego, czyż rzeczywiście jest moim obowiązkiem wydać tych ludzi w ręce prawa i przyczynić się, aby zastosowano do nich całą surowość owych przepisów? Czy starałem się sumiennie zrozumieć i odczuć stan duszy tego nędzarza Mouchefrina, który nigdy prawie nie jadał do syta?...

Samo wspomnienie Mouchefrina wywołało w Sturelu uczucie obrzydzenia, jakie rozbudza widok brudnej, cuchnącej bielizny nędzarzy. Zaczął sobie wyobrażać, co się stanie, jeżeli go zadenuncjuje. W kancelaryi sędziego, przed sądem kryminalnym zeznaniem swem zmiesza, zmiażdży biednego karła. O czynie tym rozpiszą się dzienniki lotaryńskie, sylabizowane przez poczciwców wioskowych. Jedni go nazwą „denuncyjatorem,” inni „tym, dzięki któremu...” Ostatecznie, jedno nie ulega wątpliwości: obaj pochodzili z tej samej okolicy; razem byli w Nancy; razem pojechali do Paryża; Mouche-

frin trzy lata cierpiał głód i nędzę, a teraz na zakończenie Sturel ma go wysłać na plac La Roquette.

Wyobraźnia jego zatrzymała się na tej wizji okropnej, która teraz przysłoniła wszystkie poprzednie: stała przed jego oczami tak wyraźnie, jak żywy obraz; myśl przyjęła formy dotykalne.

Wstąpił w życie równocześnie z zastępem młodych ludzi: wszyscy byli dzielni, silni, ufni w przyszłość, w siebie i w swych towarzyszków. Przekroczyli rogatki paryzkie; ale oto Paryż uzbroił się przeciw nim. Dwóch już padło ofiarą: Racadot i Mouchefrin. Sturel, szczęśliwszy od nich, wysuwa się naprzód, wskazuje na nieszczęsnych towarzyszków, wysadza ich z siodła, strąca do rynsztoka... Z przeobrażenia zimny pot wystąpił mu na czoło: byłyby to przecieź zdrada oczywista, zdrada przyjaciela.

Dzwonek obiadowy wzywał go daremnie. Nadeszła noc. Stanął w oknie, wpatrując się jak na ulicy zapalano latarnie; wbrew jego woli, najobojętniejsze zdarzenia, słowa, obrazy zmieniały się w jego umyśle. Przypomnił sobie, że Renaudin otrzymał parę słów podziękowania od generała Boulanguera, który się kłócił z rezydentem Tunisu, i dziwił się, że generałowi chciało się pisać do reportera.

Potem znowu zdawało mu się, że słyszy jakiś głos, mówiący do niego: „Tak, to dobrze! Gardź tą podłością, zatapiaj się w marzeniach... Uzupełniaj swoje współpracownictwo... Zdaje ci się, że wstępujesz na jakieś wyżyny, a w gruncie rzeczy zostajesz tylko współnikiem zbrodniarzy. Byłeś powiernikiem ich zamysłów morderczych; w imię przeszłości zapewniasz im bezkarność jutra; niech żyje kolega idealny! Należy ci przyklasnąć. Szlachetność twoja, która im darowywa życie, jest wyrokiem śmierci dla innych. Rozwijaj swój umysł, kształć

się, nie splamisz siebie wymiarem sprawiedliwości, oszczędzisz sobie chwil przykrych—ale zato dwaj bandyci, dzięki twym łaskawym względom, szukać będą ofiar nowych...”

Protestując w duszy przeciw podobnemu rozumowaniu, Sturel zerwał się z miejsca i wyszedł na ulicę; w myśli obalał wszystkie punkty tej dyalektyki. Wstąpił do pierwszej lepszej piwiarni i kazał sobie podać obiad, ale podniecenie gorączkowe nie pozwoliło mu nic przełknąć. W kwadrans później był już przed kawiarnią Woltera i kazał wywołać Suret-Leforta i Roemerspachera, którzy wyszli doń natychmiast, zgnębieni sensacyjną wiadomością o aresztowaniu Racadota.

Po licznych wylewach oburzenia, zdumienia i wstępu, Roemerspacher zawyrokował:

— Musi w tem grać rolę i Mouchefrin.

Sturel wymógł na nich obietnicę milczenia, poczem opowiedział szczegółowo o spotkaniu w Bilancourt. Wreszcie zakończył:

— Waham się, co mam czynić. Nie chcę, by odpowiedzialność spadła na mnie jednego. Tworzyliśmy klan, mieliśmy zawsze dużo wspólnych poglądów: my więc stanowimy jego prawdziwe jury.

— Najprostszem rozstrzygnięciem kwestyi — rzekł Suret-Lefort—jest, że nic nie widziałeś, nic nie słyszałeś, o niczem nie wiesz. Byłbyś jako świadek wzywany ze trzydzieści razy do sędziego śledczego, mordowany przez adwokata. Zostaw to wszystko. Roemerspacher oświadczył z wielką stanowczością:

— Przedstawiam część społeczeństwa zorganizowanego, którego ustroju nie kwestyonuję. Racadot i Mouchefrin—to mikroby trujące: należy je zniszczyć, aby nie szerzyły zarazy... Mouchefrin znieważył Saint-Phlina, wyrządzając mu wielką krzywdę moralną. Wtedy zachowaliśmy się neutralnie.

Dzisiaj czyn jego obraża prawo: niech więc prawo wymierzy sprawiedliwość! Jeżeli chcesz oszczędzić dwóch nędzników, po co się zwierzasz przedemną? Popełniłeś błąd wielki. Będę ci zawsze miał za złe, że narzuciłeś mi depozyt moralny, który mnie przejmuje wstrętem.

Sturel odparł ze wzruszeniem, że nie powinni wątpić, iż zbrodnia to przejmuje go równą odrazą: nie uczuwa najłżejszego pobłażania dla tych ludzi, o których więcej słyszeć nie chce, ale nie wie, czy wystarczy mu siła do odegrania roli kata.

— Tak — wtrącił Suret - Lefort — niema tu okoliczności łagodzących; jeżeli Sturel złoży zeznania, czeka ich śmierć.

I dodał jeszcze kilka uwag wyjaśniających bliżej tę kwestyę.

— Ależ — odparł Roemerspacher — nie idzie tu wcale o to, czy nędza usprawiedliwia ich zbrodnię, ani też czy nikczemność taka ujść może bezkarnie. Społeczeństwo ma prawo i powinno tępić podobne jednostki, tak, jak tępi wilki i dziki w lasach Neufchâteau.

Sturel poprosił ich, by czekali na niego około pierwszej w tej samej kawiarni i oddalił się szybko, łącząc się instynktowo z falą tłumu, który nocą tej z dnia 31-go maja na 1-y czerwca na znacznej przestrzeni zalewał okolice Łuku Tryumfalnego. Przygotowywano się do jutrzejszej wielkiej uroczystości narodowej: pogrzebu Wiktora Hugo.

Tego samego dnia, t. j. w niedzielę, 31-go maja, raniutko, rodzina poety i dwudziestu merów Paryża, na czele mnogiego tłumu odprowadziła zwłoki znakomitego bohatera aż do Łuku Tryumfu. Pochód posuwał się aleją Eylau, która już od dni pięciu otrzymała nazwę alei Wiktora Hugo. Ciało narodowego geniusza Francji przez dwadzie-

ścia cztery godziny pozostawać miało pod sklepieniem Łuku dla odebrania publicznego hołdu.

„Odkryć głowy!” rozległo się wołanie w chwili, gdy ustawiano trumnę. Dziesięć tysięcy głów pochyliło się ku ziemi.

Przez cały dzień nieustający korowód tłumów defilował przed Łukiem Tryumfalnym; pierwsze szeregi tworzyły się w alei Hoche, następnie płynęły aleją du Bois. Na piedestale o dwóch stopniach obitych fioletowym aksamitem, wznosiła się urna olbrzymia, sięgająca sklepienia i dźwigała trumnę, ukazując ją oczom widzów najdalszych. Wszędzie ustawiono chorągwie i tarcze herbowe; jak godła wiekopomne, jaśniały na nich tytuły dzieł. Wiecznie żyjące w umysłach tłumu paryzkiego, dzięki przedstawieniom teatralnym i wydawnictwom zeszytowym, były one widowym protestem idei śmierci.

Olbrzymia zasłona z czarnej krepy, którą usiłowano zarzucić na prawy róg Łuku Tryumfalnego, wydawała się z Pól Elizejskich jakby mgłą przejrzystą, unoszącą się nad kolosem zwyciężkim. Straż honorowa, powierzona wychowañcom zakładów naukowych, zmieniała się co pół godziny, ażeby jaknajwiększa ilość uczniów dostąpiła wielkiego zaszczytu, który mógł tak dodatnio wpłynąć na ukształtowanie ich duszy.

Te dzieci, te krepy powiewne, to nieskończone morze wielbicieli, którego fale odbijały się od olbrzymiej bramy Łuku—wszystko przypominało wysiłki pigmejów, pragnących zatrzymać wielkoluda: były to niezliczone tłumy wiernych, wielbiące ducha opiekuńczego.

Z nadejściem nocy, mniej więcej w tym czasie, kiedy fala tłumu porwała Franciszka, kult, dotąd trochę urzędowy, zaczął ogarniać masy. Po spożyciu obiadu lud paryzki wracał do stóp bohatera więtej rozentuzyazmowany. Ten mocarz du-

cha w pierwszych chwilach po zgonie obudzał w duszach przeciętnej publiczności tylko szacunek i uwielbienie; teraz tłum się zaczął rozrzewniać, ogarnięty wzruszeniem i żalem, że jest to ostatni wieczór jego widomej obecności na ziemi. Starzec, wyrwany z grona żyjących i gwaru stolicy, miał spocząć na wieki w przybytku śmierci, w Panteonie. Już trumna stawała się niewidzialną, ginąc w mrokach nocy.

Hołd mas, dotąd spokojem swym przypominający apoteozę cesarzów rzymskich, teraz w nerwowem naprężeniu tłumu dosięgnął intensywności, która cechuje obchody żałobne na Wschodzie. Na Polach Elizejskich, w alejach Jeny, Hoche, Frydlandu, Almy, Marceau, Klebera, Wiktora Hugo, du Bois, Wielkiej Armii, na pochyłościach olbrzymiego wzgórze wzruszenie ludu, tłoczącego się dokoła trupa, rozerwało piękny, starannie obmyślany porządek szeregów.

Z głębin sumienia narodowego, siłą tego wstrząśnienia moralnego, wylaniało się jakieś uczucie nowe, nieznanne. W dzień śmierci, wieczorem, pewien dziennikarz, po powrocie od zwłok poety napisał: „W obliczu tej wizji żałobnej zrozumieć możemy halucynacje i wzruszające nieporozumienia, które dały początek tylu kultom. W naszym wieku ścisłej wiedzy i krytyki potrzeba wielkiego wysiłku myśli, aby uznać, że ten, którego dzisiaj oplakujemy, był tylko człowiekiem...” Tak więc w dniu 22-im maja rozpoczęła się apoteoza; ale noc z niedzieli na poniedziałek była punktem kulminacyjnym, chwilą podniesienia w tem długiem nabożeństwie żałobnem, była momentem, kiedy śmiertelne szczątki bohatera, wystawione przed oblicze narodu, stały się bóstwem.

Trumna, wzniesiona wysoko, majaczyła niewy-

rażnie w mrokach wieczornych, a zielonawe płomyki lampionów pełzały bladym, martwym światłem po cesarskim portyku, odbijały się w błyszczących kirysach jeźdźców z pochodniami, utrzymujących porządek w tłumie. Od placu Zgody płynęły niezmierne fale ludzi, strzelając z zachwytem, że stworzyły sobie nowego boga. Wiedzano, że straż honorową przy nieboszczyku miało pełnić dwunastu młodych i fanatycznych poetów. Jan Aicard, Paweł Arène, Wiktor d'Auriac, Emil Blémont, Courteline, Rudolf Darzens, Leon Dierx, Edmund Harrancourt, Jakób Madeleine, Tankred Martel, Catulle Mendès, Armand Silvestre, czuwali przy trupie poety, owiani jakimś wichrem straszliwym, w którym się unosiły widma Quasimoda, Hernaniego, Ruy Blasa, Burgrabiów, biskupa Myriela, Fantiny, miłego Gavrocha, dźwięczały tysiące brzęcych wierszy i słów, przedewszystkiem słów! — to jego siła i tytuł do chwały: był mistrzem i władcą słowa francuskiego, które jest skarbcem i duszą rasy. Hugo dla tych pisarzy, stanowiących jego gwardyę, jest świętym pomazańcem, dobroczyńcą, który podaje wzory, rytm, słownik cały.

W ciągu tych długich godzin nocy starają się określić dokładnie jego znaczenie historyczne dla literatury francuskiej. Jest twórcą legendy i przez to najsilniej działa na masy, schylając je ku ziemi w hołdzie miłosnym; jest dla nich wcieleniem najwyższej władzy narodowej. Składają mu dziękczynienia, że umiał nadać kształt świetny wszystkim formom, które w minionym stuleciu kolejno przybierały ideał francuski. Odprowadzają do grobu nie romantyka, liryka i dramaturga, lecz wodza mistycznego—proroka!

Słusznie powiedziano, że Łuk Tryumfalny „jest bramą do pustki.” Tej nocy, istotnie, były to wrota, otwierające się do przybytku nicości i tajemnicy.

„Nie chcę modlitw według żadnego rytuału. Wierzę w Boga”—mówił w testamencie, krążącym w tysiącach egzemplarzy. U wrót wieczności był to jego czyn ostatni, ostatni gest. Składał wyznanie wiary wobec Istoty Nieznanej i prosił, aby się do Niej za nim wstawiono. W tem się zawiera tajemnica. Nadał podniosły i wspaniały wyraz prawdzie zazwyczaj ukrywanej: wszystkie wysiłki na nic!

W tem się zawiera nicość.—„Jako? nie ujrzę już więcej wielkiego przyjaciela Paryża! Jego, co zdawał się posiadać cechy nadludzkie! Jeżeli taki człowiek umiera, cóż się stanie ze mną nędznym... I cóż mu z hołdów moich?! Wolę meznany, ostatni w tłumie, w cieniu kasztanów korzystać z tego świata, niż się rozkładać na proch i zgniliznę wśród tych dekoracyj przepysznych...” Jak każdy obrządek, mający na celu uczczenie śmierci, pogrzeb ten podniecał instynkt życia. W tłumie, nieuświadamiającym sobie dokładnie swych uczuć, jedni doznają dreszczów na widok chwały, inni, czując tchnienie śmierci, spieszą do życia, jeszcze inni, potrącani przez spółwyznawców, tęsknią do ogólnego zbratania się. I rzeczywiście—następuje doskonałe zjednoczenie: ta niesłychana mieszanina entuzyastów i rozpustników, głupców i uczonych, umysłów popolitych i wybitnych, organizuje się i tworzy jakieś jestestwo zbiorowe, obozujące u stóp wyżyn naziemskich. Jego oblicze, zapatrzzone w trumnę i oświetlone pogrzebowemi pochodniami, składa się ze stu tysięcy twarzy—jedne tchną ekstazą, inne nieczyste i plugawe, lecz ani jednej obojętnej!

Oddech ich—to szum morza...

To zbiorowisko tajemnicze w wysokim stopniu nadawało się do wprowadzenia chwiejnego Sturela w nastrój filozoficzny i usposobiało go do szukania prawdy osobistej. Kto pragnie wydawać sądy, zgodne z moralnością, powinien się wznieść ponad przy-

padkowość i umieścić się na poziomie wieczności, młodzieńca wrażliwego na wielkie wpływy, zdolnego do odbierania wrażeń wzniosłych, mógł na te wyżyny wprowadzić tylko Hugo, któremu apoteoza tego wieczora dała władzę nadludzką.

Franciszek Sturel, zbliżony z Wiktorem Hugo od czasu, gdy Bouteiller czytywał w szkole utwory poety, przesuwiał się długo wśród tłumu huczącego, podniecając się podnieceniem ogółu. „Każdy z tych ludzi—mówił w duchu — żyje życiem osobistym, nieraz bardzo nikczemnym, lecz, mocą żywotności gatunku, stanowi jednocześnie cząstkę życia ogólnego. Dzisiaj duch narodowy jest silnie podniecony i dlatego wszystkie jednostki myślą górnie i szlachetnie. Miliony istot skazane są na zagładę jedynie dlatego, że natura w swych pracowniach tajemnych za ich pośrednictwem uczyni coś wielkiego — tak powiada Hugo. Ztamtąd wszystko przychodzi i wyzwala się do życia. Bywają chwile niskie i podłe, lecz suma ich tworzy ciągłość szlachetną.”

Zbyt żywo dał mi to poznać poeta, abym mógł doznawać gniewu, pogardy, zniechęcenia; jego dzieła i ten tłum rozentuzyazmowany przypominają mi w porę ukrytą jedność wszelkich objawów życia. Trzeba się zgodzić na swoją rolę i na rolę, przypadające w udziale naszym sąsiadom, aby się podobąło naturze przeznaczyć nas do dobrego i nie narażać naszej woli na zbyt ciężkie próby! Płynmy, ile naszych sił w kierunku prądu, zlewając się z falą współczesnych sobie. Ich i nasze istnienia są zaledwie jedną chwilką składową wielkiego ruchu, który się wymyka naszej świadomości. Taki Racadot i Mouchefrin są również jak każdy z nas...

Takimi to drogami Wiktor Hugo i Astiné doprowadzili Sturela do wniosków jednakowych.

Azyatka żyła z nim zawsze, bo wsączyła mu w duszę pierwiastki, które się najściślej zespoliły

z jego własną naturą. Z tego zakątka duszy, w którym królowała Astiné, Sturel kilkakrotnie już czerpał moc odporną, gdy mu groziło uwikłanie się w troskach o sprawiedliwość zjawisk życiowych. I teraz piękne słowo: „konieczność” ułatwiło mu zgodę z nieodwołalnym.

Hugo przybywał, aby potwierdzić Astiné; potwierdzał także i uprawiał tęsknoty młodego liceisty, który niegdyś umiał się zapatrywać w gwiazdy.

Pod koniec tego wieczora Sturel postanowił zaniechać próżnych żalów i próżnej zemsty, godząc się z dokonanym faktem straszliwej zbrodni. Uczynił to nie z rozkoszną pogardą—jak mu doradzała Astiné—lecz z uczuciem myśliciela, który znajduje spokój jedynie w rozważaniu spraw tego świata z wyżyn wieczności; nie jak sceptyk, lecz jak wierzący, który ma dla szczegółów inną miarę niż dla całości i wie, że konieczność usprawiedliwia nieraz czyny człowieka.

Sturel wrócił około północy do kawiarni Woltera i rzekł do czekających nań przyjaciół:

— Chciałbym natychmiast pójść z wami do Mouchefrina.

— Nie—rzekł Roemerspacher—jestem człowiekiem uspołecznionym: nie znam już tego zbója. Gdybym miał prawo rozporządzać się twoją tajemnicą, Mouchefrin nocowałby dzisiaj w więzieniu.

Sturelowi udało się jednak namówić Suret-Leforta.

Była godzina druga. Poszli razem na ulicę Ś-go Jakóba: Racadot dał młodemu adwokatowi swój adres, kiedy po odczycie byli razem w piwiarni. Zadzwonili. Z pierwszego piętra odezwał się jakiś głos:

— Panowie do kogo?

— Do pana Mouchefrina.

— O, w takim razie to już zapóźno.

—Damy dwadzieścia sous — rzekł Suret-Lefort.

Okno się zamknęło. Po upływie kilku minut otworzono drzwi. Sturel zapłacił. Odźwierna mruknęła.

— Piąte piętro, na lewo.

I dała im kawałek świecy. Zaczęli się wdrapywać wolno na nieskończenie długie, wilgotne schody, trzymając się za wąty sznur, zwieszający się zamiast poręczy: była to prawdziwa otchłań nędzy.

Znalazłszy się wreszcie na piątym piętrze, skierowali się na lewo. Sturel zapukał, ale w pokoju panowała cisza zupełna. Zapukali po raz drugi: tak samo żadnej odpowiedzi. Wreszcie po raz trzeci...

— Kto tam?—odezwał się jakiś głos stłumiony.

Suret - Lefort, który gardził zwycięzonymi, a lubił żarty zawodowe, wygłosił uroczyście, zmieniając głos.

— Otwórzcie! komisarz policji!

Nastąpiła chwila głębokiego milczenia. Sturelowi zdawało się, że słyszy gwałtowne bicie serca Mouchefrina. Doznawał przykrego uczucia, prawie przerażenia, jak gdyby popełnił świętokradztwo, gwałcąc w ten sposób sumienie byłego przyjaciela. Wreszcie przekręcił klucz w zamku..

Suret-Lefort i Sturel weszli do pokoju i nagle przy słabym blasku migocącej świecy uderzył ich oczy wstrząsający, niezatarty obraz nędzy ludzkiej.

Mouchefrin stał w środku pokoju w jednej koszuli — zniszczonej, sięgającej zaledwie kolan. Pomimo, że na świecie było lato, biedny karzeł trząsał się jak w febrze i szczełkał zębami; tyloletni głód i nędza, oraz straszne, okropne wrażenia dni ostatnich doprowadziły go do anemii, wyglądał zu-

pełnie jak szkielet. O, biednie zwierzę drapieżne! Drżał jak płomień świecy, poruszany przeciągiem powietrza, wiejącym od klatki schodowej. Wreszcie rozpoznał dawnych kolegów. Ochłonął nieco, usiadł i, wyciągając szyję, trzykrotnie próbował przemówić do nich: zbiełałe wargi odmawiały posłuszeństwa. Wreszcie wyszeptał bezdźwięcznie: „Co takiego?” ze wstrętnym akcentem człowieka, prawie odchodzącego od przytomności ze strachu.

Strach ten od okropnej nocy 21-go maja potęgował się z każdą chwilą! Jeszcze nie zastygł trup Astiné, a już Mouchefirin żałował straszliwie dni przebytych w nędzy, w ciągu których rozwinął się w nim cynizm.

Po rozpoznaniu ofiary wielkość zbrodni ukazała mu się w całej przerażającej grozie.

Słusznie powiada La Mettrie:

— Obawiasz się więcej szubienicy niż sumienia.

Z jakimże niepokojem nieszczęsny karzeł oczekiwał dzienników! Gdy je przeczytał, rzucał się na posłanie bezsilny, zmożony gwałtownym biciem serca. Wszyscy ludzie napełniali go wstrętem i odrazą. Zdawało mu się, że na czole ma wypisane dużemi głoskami okropne wyrazy:

— Oto morderca!

Błąkał się po ulicach Paryża i upijał się do niepamięci, chcąc usunąć z przed oczu widmo skrwawionego trupa i obraz gilotyny. Przebiegłszy Paryż w rozmaitych kierunkach, upadający ze zmęczenia, wracał do swej nory o najpóźniejszej godzinie, w której odźwierny pozwalał ubogim powracać do mieszkania. Rzucał się zaraz na posłanie, ale sen nie chciał skleić zmęczonych powiek. Zaledwie się zdrzemnął chwilkę, zrywał się nagle. Gdyby miał choć trochę pieniędzy, z jakąż rozkoszą uciekłby ztąd na zawsze! Ale zapłatę krwawej zbro-

dni stanowił tylko jeden luidor. Przerażenie karła tak fatalnie oddziaływało na nerwy Racadota, że postanowił się z nim rozstać w niedzielę, 31-go maja, to jest nazajutrz po wizycie u sędziego śledczego. Stało się inaczej! Mouchefrin niewątpliwie już w sobotę domyślił się uwięzienia kolegi, gdy ten nie wrócił z Pałacu Sprawiedliwości. Jak okropne chwile musiał przeżywać w nocy z soboty na niedzielę i całą niedzielę, kiedy, nie ruszając się z posłania, co sekundę oczekiwał wtargnięcia policyi, łatwo było odgadnąć z nieludzkich prawie dźwięków, wydobywających się ze ściśniętego gardła:

— Co?..—powtarzał.—Co... Co takiego?..

— Racadot wyznał wszystko — rzekł Suret-Lefort dobitnie.

— Ach!.. Racadot wyznał... Nikczemny!

Nastąpiła scena, dobrze znana sędziom śledczym, scena, która się powtarza często, jeżeli jeden ze współników dał się złapać na wędkę i wtedy następuje wściekły napad na nieobecnego. Cała lawina błota płynęła z tych ust, wykrzywionych kurczem histerycznym. Wyglądał jak łachman, miotany burzą. Widok tej twarzy, postaci wykrzywionej konwulsyjnie więcej jeszcze niż poprzednie połowiczne przyznanie do winy, przeraził młodych ludzi, którzy go pamiętali jako miłego chłopaka, dobrego ucznia i kolegę.

Nagle, z kąta pokoju doszedł ich jakiś szmer; obrócili głowy: na łóżku poruszył się tłumok... W pierwszej chwili zdawało im się, że to pies jakiś wydostaje się z łachmanów, lecz była to Leontyna, skulona i drżąca:

— Kłamco! Kłamco! Czyż chcesz zgubić mego kochanka? — wołała do Mouchefrina. „Mego kochanka!..” Z jaką siłą i trywialnością wymówiła te

słowa. Zdawało się, że między tymi ludźmi dojdzie do bójk.

— Cicho bądźcie!—krzyczał Sturel.

Jak okropna scena i w jakim wystawieniu!

A jednak w tym pokoiku, tchnącym hańbą i wstydem, unosiła się woń kwiatów, ustawionych w lichym dzbanku; wczoraj bowiem t. j. w sobotę, podczas gdy Racadot w Pałacu Sprawiedliwości wydierał się z rąk woźnych i dozorców, Leontyna z Mouchefrinem wybrała się na wieś do Meudon i przyniosła ztamtąd te pęki kwiatów. Lecz biedny karzeł nie cieszył się wcale świeżą i miękką zielenią pól, skąpanych potokami majowego słońca!.. Po powrocie na ulicę S-go Jakóba dowiedzieli się, że Racadot nie wrócił z Pałacu.

Gwałtowna kłótnia Mouchefrina i Leontyny trwała najwyżej parę minut. Kobieta zaraz wybuchnęła gwałtownem łkaniem.

Wtedy przyjaciele zauważyli w innym kącie izdebki małego Fanfournota. Nędza więc przygarnęła jeszcze większego nędzarza.

— Nie mamy zamiaru cię gubić, Mouchefrin!—odezwał się wreszcie Sturel.

— Będę cię bronił—dorzucił Suret-Lefort.

— Patrzcie!—zawołała Leontyna — nasze nieście przyda się na coś tym panom!

Z jaką gryzącą ironią wymówiła te słowa! Jak nienawistne przytem rzucali spojrzenia! Był to akcent i spojrzenie jednostek pojedynczych; tak spogląda i przemawia cała klasa parysów, rozproszonych po szerokim cywilizowanym świecie, jest to wyraz jedyne go możliwego stosunku między wybrańcami losu a tą nędzą straszliwą, spotęgowaną przez świadomość, którą rozbudził wrodzony zmysł krytyczny i pewna kultura, będąca wytworem długich godzin bezczynności

A samo to miejsce cóż znaczy? Nie jest to

bynajmniej przestrzeń ciasna, zamknięta, ograniczona. To cząstka widnokręgów niezmiernych, na którą pada blade światło. Zdaje się Sturelowi, że stoi wśród zimnej, mrocznej, posępnej równiny, tchnącej rozpaczą i grozą, a kilka drżących promieni oświetla ponure gniazdo, zbudowane na samej powierzchni ziemi, na pół zanurzone w wodzie, zniszczone przez wichry. Mouchefrin to prawie nie człowiek, raczej jakaś istota niższa, czołgająca się po ziemi, znikająca w odmętach wód. Na tle tej nocy ohydnej wygląda jak uosobienie bezmyślności i niedołęztwa, jak płaz poziomy, pragnący się wyrwać z bagna, z chaosu, w którym się miota gorączkowo; lecz te wysiłki rozpaczliwe przynoszą mu tylko szkodę, zanurza się bowiem coraz głębiej. Sturel patrzy na tego człowieka zazdrosnego, niezdolnego do zrozumienia układu świata; zdawało mu się, że ta mała i płaska głowa, chwiejąca się na wątlej szyi, zdobyć się może tylko na syk wściekłości. Widocznem jest, że ten karzeł zwyrodniały uważa siebie nie za przestępcę, lecz za ofiarę... Obok niego Leontyna, wierna kochankowi w nieszczęściu, z zapadłą piersią i wzrokiem zmańczonym łzami, z piętnem upadku na czole, prawdziwy obraz istoty wyrwanej z najniższych mętów stolicy... Za nimi kryje się w kąciuku syn byłego stróża, z wyrazem zaciętości na bladej twarzy, przekonany głęboko o swym geniuszu, stłumionym tylko wskutek braku środków materyalnych. Od chwili owego odczytu w dniu 16-go maja powtarza nieustannie:

— O, gdybym mógł zostać takim człowiekiem, jak pan Racadot!

Wreszcie troje rozbitków wysunęło się z cienia, zapominając o wstydzie i o swej nagości. Drżący z przerażenia, zaledwie okryci łachmanami, zbliżyli się nieco do nieszczęśliwych, dawnych towarzyszków, których sam widok był dla nich upo-

korzeniem najwyższem; tulą się ku sobie, wstrząsani zimnem, a może wspólną trwogą. Świeca zagaśła. Stoją nieruchomo w bladym świetle brzasku, nie jak pojedyncze jednostki, ale jak ściśle spójna grupa ludzka, wzbudzająca litość niezmierną, wynędzniała od cierpień przebytych, z twarzami podobnymi do tych, które spoczywają w koszu kata.

— Czy słyszycie, co mówię?—powtórzył Suret-Lefort, odczuwając całą posępną grozę tej sceny.

— Nie możecie mnie zrozumieć? Nie odpowiadajcie na pytania sędziego. Nie podpisujcie nic. Gdy będą was oskarżać, badać, milczcie zawsze. Dokażę tego, że ciebie, Mouchefrin, uniewinnią. Dziś jeszcze zobaczą się z Bouteillerem.

Oni milczą, ale mniejsza o to! Z wyrazu twarzy, przyśpieszonych oddechów, gwałtownego bicia serca nie trudno odgadnąć myśli, nurtujące dusze tych istot wykolejonych.

Kobieta zdaje się mówić:

— Niestety prześladowuje mnie od chwili urodzenia. Byliśmy zbyt dobrzy. Nikt dla nas nie zrobił ani czwartej części tego, co my robiliśmy dla innych. Racadot wykazał wartość umysłową Sturela, Roemerspachera, Suret-Leforta... A oni go opuścili... Wina zatem spada na ich głowy.

Mouchefrin powtarza po raz tysięczny:

— Czego żądałem? tylko kawałka chleba. W kolegium, w liceum wart byłam tyle, co i tamci. Z łatwością byłbym został sławnym lekarzem... Inni gorsi są od nas.

Fanfournot myśli:

„Racadot jest człowiekiem genialnym. Nie wyzna nic. Obowiązek nakazuje mi służyć wiernie jego kochance i Mouchefrinowi. Widzę jasno, że postawił swe życie na kartę, zamiast ginąć w mierności tylko dlatego, że czuje w sobie zapas energii niespożytej.”

Możemy się również domyślić, jaki niepokój dręczy najsilniej Racadota, zamkniętego w murach więziennych:

— Co się stanie—mówi do siebie—z biedną nieszczęśliwą Leontyną, która mnie tak kocha i której życie złamałem na zawsze?

Wyznania te zdają się przebijać ściany ciasnej izdebki, zlewając się w akord zgodny i wstrząsający; usłyszeć go może ten, kto się wzniesie na pewną wysokość i spojrzy na nędzę z punktu widzenia historyka społecznego. Wtedy do uszu jego dojdzie głos:

— Jesteśmy uosobieniem hańby i zbrodni, ale w duszach naszych tkwią uczucia wierne i szlachetne. Konwenanse, honor, moralność niczem są dla istot, związanych miłością prawdziwą, gorącą, które są dla siebie wszystkim na świecie. Prawom, rządzącym w miastach, miłość nasza przeciwstawia umowę i zerwalimy pęty społeczne, ale ściślej jeszcze wiąże nas łańcuch spółnictwa.

O, jak rozkosznie miłować w atmosferze trwogi i tulić w ramionach człowieka, którego ściga, tropi społeczeństwo?

Jakże blade i szablonowe są wobec uczuć tej miary miłostki kobiet, wzrosłych w atmosferze salonów!

Sturel otworzył okno. Owiał go zimny powiew świtu, mroząc nieszczęśliwe ofiary zbrodni, nędzy i występku... Tuliły się do siebie, drżąc z zimna jak w psiarni. W stanie zezwierżenia, w jakim się znajdowali, jedynem uczuciem ludzkim było ciepło ich serca.

Przy brzasku dnia wyraziściej jeszcze uwydatniała się ich nędza. W miednicy, ustawionej na krześle, poruszały się bystro kijanki, wysysające żaby i jaszczurki. W ten sposób ułatwiały one przyrządzanie preparatów anatomicznych, stanowią-

cych dla byłego studenta medycyny nędzne źródło dochodu. Sturel czas jakiś przyglądał się ich pracy. Żarłoczność tych małych istot ułatwiała poznanie praw przyrody; bezwiednie więc pracowały dla celów wyższych...

Milczenie ogólne przerwała Leontyna, wypowiadając myśl, która ją wyłącznie zajmowała:

— Biedny Honoryusz! Jak smutne ma przebudzenie!

Wreszcie około godziny piątej rano Suret-Lefort i Sturel wyszli z tej nory, kierując się na bulwar Ś-go Michała. Na placu Medicis zatrzymali się chwilę przed winiarnią, gdzie w styczniu roku 1883-go, tak samo o świcie, Mouchefrin wznosił toast:

— Precz z Nancy! Niech żyje Paryż!...

— Sądząc po tych trzech latach ubiegłych — mówił do siebie Franciszek Sturel — przypuszczać mogę, że życie moje będzie dramatyczne, pełne przygód niespodziewanych!... W tak krótkim stosunkowo przeciągu czasu wrażliwość moja spotęgowała się niezmiernie...

Suret-Lefort rozmyślał:

— Będę więc bronił sprawy, która z pewnością zaliczona będzie do najwięcej rozgłośnych...

Gotowano się już do pochodu pogrzebowego. Każdy w poczuciu swej godności śpieszył zająć miejsce, do którego miał prawo. Politycy, akademicy, literaci, artyści wszelkiego rodzaju, przemysłowcy, handlarze i robotnicy z naiwną próżnością śpieszyli wziąć udział w apoteozie. Różne szanowne lub śmieszne godła stowarzyszeń stwierdzały, że wszystkie najdrobniejsze nawet zrzeszenia mają przedewszystkiem na celu powszechne dobro ojczyzny.

O trzy kwadransy na dwunastą dwadzieścia jeden wystrzałów armatnich zagrzmiało nad Pary-

żem. U stóp Łuku Tryumfu rozpoczęły się mowy, skażone próżnością i duchem stronnicy, wlokące się po ziemi wtedy, gdy należało zjednoczyć Francję, podnieść ją, aby w tym dniu chwały i żałoby mężnie zmierzyła wzrokiem grunt, który jej się wobec Europy z pod nóg usuwać zaczyna. Tymczasem na pochyłości pól Elizejskich ukazał się skromny karawan ubogich, zdobny jedynie dwiema gałazkami wawrzynu, krzyżującemi się na czarnem suknie. Ani jedna twarz nie okazała się nieczułą na tę antytezę; od końca do końca pól zakłósała tłumem olbrzymia fala wzruszenia; za wozem posuwały się całe ogrody z kwiatów, szły uroczyste przedstawicielstwa władz narodowych, wreszcie sam naród, dumny i naiwny jednocześnie, wrzeszczący i śmieszny, lecz pewny, że służy sprawie ideału! I ta rzeka francuska płynęła od południa aż do godziny szóstej wieczorem, pośród żywych wybrzeży, utworzonych z ludu, tłoczącego się na chodnikach, stołach, drabinach, rusztowaniach, aż pod dachy domów. Że takie zjawisko zjednoczenia się w entuzjazmie — również potężne, jak najwspanialsze sceny przyrody — dokonało się jako hołd dziękczynny dla proroka-poety, starca, który przez swe utopie podnosił serca, oto co może obudzić najgołętsze nadzieje w przyjaciółach Francji.

Niezliczony ten zastęp ludzi, z których każdy niósł w duszy, odpowiednio do swej natury wykonany wizerunek Wiktora Hugo, doprowadził jego prochy od Łuku Tryumfalnego do Panteonu. Droga z żadną inną nie dająca się porównać!... Któżby nie oddał życia za to, aby ją przebyć po śmierci! Wiedzie bowiem do kostnicy wielkich ludzi, do grobów narodowych i bibliotek. Tutaj dziewica z legendy obroniła Paryż od barbarzyńców; tutaj młodzież otrzymuje dziedzictwo tradycyi narodowej i jednocześnie wtajemnicza się w prawdę życia, po-

znaje wysiłki ludów na drodze postępu. Tutaj, począwszy od pierwszych dziecinnych prób wieku XII, wytwarzały się formy naszej świadomości rasowej i przygotowywały się dary, udzielane przez nas światu.

Niektóre jednostki doznają niezwyklego wzruszenia na widok dwóch biegunów Paryża — Łuku Tryumfalnego, który wspiera i podtrzymuje naszą sławę wobec ojczyzny, przypomina jak obdzielaliśmy ludy skarbami myśli francuskiej i darzyliśmy je prawami ludzkości, oraz wzgórze świętej Genowefy, którego stoki dźwigają Sorbonę, wszechnice, uczone zaułki, rojące się od studentów. Łuk Tryumfalny — to symbol naszej godziwej dumy; Panteon — to pracownia naszych dobrodziejstw, chluba Francji wobec świata całego, jej dobroczynność dla całego świata. Ten sam wiatr, co przeciąga pod sklepieniem chwały, owiewa także potężne mury Panteonu, jest duszą i tchnieniem miejsc wzniosłych; w każdym przechodniu widok wzgórze Gwiazdy i wzgórze ś-tej Genowefy budzi dreszcz święty, a dla dusz wybranych będzie bodźcem do wielkiej i trwałej działalności.

Od Gwiazdy pól Elizejskich aż do Panteonu wciąż postępuje Wiktor Hugo na czele nieskończonego orszaku. Od dumy Francji idzie do jej serca. To geniusz naszej rasy, wcielający się w nią napowrót, rozlawszy się po całym świecie, wraca do swego źródła i zaprawia sobą treść i ciągłość naszej tradycji. Od Łuku, gdzie poeta był gościem Cezara, towarzyszymy mu do arki niezatapialnej, gdzie wszystkie rodzaje zasługi przeistaczają się w myśl, aby się stać nową podniętą energią narodowej.

Hugo spoczywa oddtąd na Araracie klasycyzmu francuskiego i czyni jeszcze wyższym ten szczyt schronienia. Staje się jednym ze składowych pier-

wiastków góry świętej, która nam udzieli zbawienia nawet wtedy, gdy dolne pokłady naszego dziedzictwa lub naszych umysłów będą zalane przez barbarzyńców.

Z duszą, przepelnioną temi uczuciami, które na widok wspaniałego obchodu powinny były zakwitnąć we wszystkich sercach, Sturel pod wpływem łagodnych światel Paryża otrząsa się z posępnych obrazów nocy ubiegłej. W wigilię dnia tego, na polach Elizejskich wieczorem oblegały go marzenia cmentarne, obłędne wizye słabej i bezładnej gromady ludzkiej. Teraz przychodzą mu na myśl słowa Roemerspachera: „Jestem człowiekiem uspołecznionym.” Idąc dzień cały w zastępach Francyi zorganizowanej, obok władz wybranych, chwał uświęconych, korporacyi wszelkiego rodzaju, ujrzał się wobec potężnego źródła, w którym życie jego stanowiło zaledwie drobny strumyk. Uniesiony tą falą ludzką na tory geniuszu, spostrzegł, że jej ład i cześć nie są mu obojętne; że w razie ich zniszczenia, dusza jego uczułaby się skaleczoną. Ta piękna i rzadka sposobność stwierdzenia wiecznie odradzającej się potęgi gatunku francuskiego dopomogła mu do ujęcia nowych praw; w orszaku każdy utrzymywał karność, każdy jej wymagał, bo leżał w tem interes wszystkich. Dlaczego Racadot i Mouchefrin nie przeczuli, że oni również mogliby byli skorzystać z takiego poddania się przepisom organizmu zbiorowego?

Lecz tłum ten, płynący wśród olbrzymich ulic i bulwarów, niekiedy, jakby ulegając potężnemu pchnięciu, przystawał, a nawet się cofał; wtedy niejeden obalony i zdeptany stawał się ofiarą. Może Racadot i Mouchefrin nie umieli się utrzymać w szeregu... może los ich umieścił z boku prądu, a stanowisko to należy do bardzo niebezpiecznych... najprawdopodobniejsza to kronika ich losu; nie po-

trafli się dostatecznie głęboko zanurzyć w odmęcie wielkiego miasta, zlać się z tą społecznością ruchliwą, do której przybyli z Nancy na jeden gest Bouteillera...

Niestety! Lotaryngia zdobyła się na wielką próbę, wysyłając pewną liczbę swych synów do Paryża, aby się wznieśli z poziomu Neufchâteau, Normény, Custines, Varennes do sfery wyższych ideałów. Takiego pielgrzymstwa próbuje wielu; porzucają sprawy zaściankowe dla narodowych, a niekiedy i dla ogólnie ludzkich. Dźwigając siedmiu młodych Lotaryńczyków z ich małej ojczyzny ku całej Francji, a nawet ku wyżynom ludzkości, sądzono, że będą bliżej prawdy. I oto nastąpił już zawód okrutny. Wysilek się nie powiodł!

Z porządku naturalnego, który chociaż niedoskonały, był bądź co bądź społecznie zrównoważony, przeszli do anarchii, do bezładu tchnącego śmiercią. Racadot i Mouchefrin nie odznaczyli się wprawdzie wielkimi cnotami, przyznać jednak trzeba, że zostali zawiedzeni przez nieudolnych przywódców krajowych. Na siedmiu stracić dwóch—to za wiele! Stanowczo akcja była źle prowadzona!

ROZDZIAŁ XVII.

Wykolejony i na śmierć skazany.

Pomimo przygnębienia tragiczną sprawą Racadota, Renaudin w poniedziałek i wtorek, t. j. 1-go i 2-go czerwca, podał o byłym koledze doskonałe sprawozdania obfitujące w szczegóły ciekawe. Cała prasa od niego czerpała wiadomości. Dowiedziano

się, że przypuszczalny morderca był uczniem jednego z najwybitniejszych profesorów uniwersytetu, Pawła Bouteillera. W tym czasie toczyła się polemika polityczna między stronnictwem klerykalnem i antyklerykalnem.

Odebranie od duchowieństwa kościoła św. Genowefy i przekształcenia go na Panteon, gdzie miały spocząć zwłoki Wiktora Hugo, doprowadziło dzienniki katolickie do prawdziwej rozpacz. Jednocześnie fakt popełnienia zbrodni przez maturzystę przypisywano ujemnym wpływom wychowania republikańskiego. Już w poniedziałek dowiedział się Bouteiller za pośrednictwem przyjaciół z Nancy, że partya przeciwna postara się skorzystać ze „zbrodni w Billancourt” dla obalenia jego kandydatury. Chociaż postępował z wielką ostrożnością, nie dając żadnych dowodów piśmiennych, pożałował starań, czynionych w ministerjach na korzyść *Prawdziwej Rzeczypospolitej*. We wtorek rano, ku wielkiej swej irytacji dowiedział się od Suret-Leforta, że w sprawę Racadota może być wplątany i Mouchefrin. Młody adwokat wyznał mu pod pieczęcią głębokiej tajemnicy, że pani Aravian była prawdopodobnie kochanką Sturela, zapewniając równocześnie, że nic nie usprawiedliwiałoby strasznego oskarżenia, rzuconego na dwóch członków grupy, która oddana była wyłącznie pracy umysłowej. Nie pojmował zupełnie, co to miało znaczyć. Bouteiller, bardzo zachmurzony, oświadczył kilkakrotnie, że cały ten skandal był wstrętny i mógł wyjść na korzyść przeciwnikom rządu. Zdziwił się mocno, że się znalazł urzędnik sądowy, który na podstawie faktów, przytoczonych mu przez Suret-Leforta, mógł wydać rozkaz uwięzienia domniemanego przestępcy. Młody adwokat zgadzał się z nim w zupełności, piętnując wymownie barbarzyńskie nadużycia przy dochodzeniu śledczem.

— Chcę się poświęcić, oddać tej sprawie całą

duszą — mówił dalej. — Gotów jestem bronić Racadota, jeżeli się tylko do mej pomocy odwoła. Jest to sprawa wspaniała, ponieważ z jej powodu napadają na wszystkie ideje postępowe, dla nas tak drogie. Dzisiaj jeszcze będę towarzyszył Mouchefrinowi, który otrzymał wezwanie od sędziego... Uważałem za stosowne uprzedzić pana. Czyż z natury rzeczy nie jesteś pan naszym opiekunem? Widzisz pan niewątpliwie, że niezależnie od pańskiego zachowania się, szerszy ogół czyni pana odpowiedzialnym za dawnych uczniów.

— Masz pan słuszość... Widzę, że losy Racadota w dobrych spoczywają rękach... Możesz pan rachować na moją pomoc; zrobię, co tylko będzie w mojej mocy dla ułatwienia panu obrony nieszczęśliwego, w którego niewinność chcę wierzyć.

— Byłoby świetnie, gdybym się mógł z nim zobaczyć i gdyby nie aresztowano Mouchefrina.

— Pomówię o tem niezwłocznie z ministrem sprawiedliwości.

Suret-Lefort pospieszył do Mouchefrina. Już dzień wczorajszy — w poniedziałek niema nigdy zajęć w Pałacu Sprawiedliwości, co pozwoliło Sturelowi zagłębić się całkowicie w uroczystości pogrzebowej — adwokat spędził w towarzystwie swego nędznego klienta, Leontyny i Fanfournota. Nie żądając wyznań, ani zaprzeczania, zapytywał:

— Co robił Racadot owego wieczora, kiedy popełniono zbrodnię?... Czy wszyscy troje zapewnialiście, że cały czas był razem z wami? Czy i on to samo będzie utrzymywał wobec sędziego śledczego? Tak. — A więc dobrze! Zbierzcie zatem swoje wspomnienia i umówcie się co do każdego szczegółu. W żadnym razie nie odstępujcie od swoich zeznań.

Podobnie jak doświadczony sekundant wioząc nowicyusza na miejsce pojedynku powtarza mu całą drogę: „Trzymaj ramię wyprężone! Za nic w świecie nie zginaaj ramienia! Czy rozumiesz? zawsze ra-

mię powinno być wyprężone!” — tak Suret-Lefort, odprowadzając Mouchefrina do sędziego, po raz setny mówił doń jeszcze na schodach:

— Trzymaj się swego opowiadania. Czy rozumiesz? W żadnym razie nie zmieniaj ani słowa!

Po tem ostatniem zaleceniu u drzwi korytarza pożegnał drżącego klienta i udał się do Bou-teillera, chcąc się dowiedzieć, czy otrzymał upoważnienie do odwiedzenia Racadota.

Równolegle do korytarza, gdzie się przechadzał Mouchefrin, znajduje się korytarz drugi; właściwie oba stanowią jedną galeryę w kierunku długości, przedzieloną przepierzeniem, w którem się znajdują okienka o szybach ze szkła angielskiego. Na ten drugi korytarz, wiecznie przesycony wonią płonącego gazu, wychodzą kancelarye sędziów śledczych, tędy to przejść muszą wszyscy wezwani przez sędziego—niezależnie od charakteru wezwania—gdy woźni wymienią ich nazwisko przed wprowadzeniem na audyencyę. W korytarzu ciemnym i pozbawionym powietrza przechadzają się nieszczęśliwi więźniowie. Po oświetlonym snują się ludzie, którzy mogą być nimi za chwilę. Niejeden patrząc na sąsiada spacerującego w otoczeniu dwóch dozorców, myśli: „Może i mnie za pięć minut spotka los podobny.”

Gdyby jakiś fizyolog mógł zbadać dzisiaj stan obu ludzi, przechadzających się w tych korytarzach, niewątpliwie u gościa z korytarza jasnego skonstatowałby daleko silniejsze zaburzenia w sercu i obiegu krwi, niż u gościa z korytarza ciemnego. Im więcej niebezpieczeństwo jest nieokreślone, tem niepokój jest straszniejszy. Mouchefrin był zupełnie zmiażdżony. On również, tak jak Racadot w sobotę, starał się wyrzucić dobre wrażenie na woźnych, skarżył się pokornie, że musi czekać tak długo.

— Cierpliwości! cierpliwości — odpowiedział

jeden z nich. — Nie obawiaj się pan, widzenie się z sędzią nie minie ciebie.

W piersiach Mouchefrina wzbierała nienawiść gwałtowna przeciw temu człowiekowi, który z obojętnością najwyższą powtarzał: „Cierpliwości! Cierpliwości.” Słowa te napełniły karła przerażeniem bezgranicznym; krótkie, krzywe nogi dygotały jak u zmęczonego konia; zmuszony był usiąść na ławeczce, ustawionej koło ściany. Tu przerażenie jego dosięgło kresu, lodem ścinając krew w żyłach; po przez nawpół otwarte okienka, wychodzące na korytarz ciemny, spostrzegł Racadota w otoczeniu dwóch stróżów. Siedział na dębowej ławeczce, stojącej przy ścianie, o którą opierał się on, Mouchefrin; Racadot nieumyty, nieuczesany, nieogolony, w brudnym ubraniu, wyglądał jak człowiek, którego ujęto po długiej walce. Widok jego przejął Mouchefrina trwogą najwyższą. Szybko oddalił się na koniec korytarza, nie chcąc mieć przed oczami dawnego przyjaciela i usiadł na małej ławeczce. Po upływie półgodziny usłyszał za sobą jakiś kaszel, jakby nawoływanie. Podniósł głowę i ujrzał znowu Racadota. Zbrodniarz, zawsze w towarzystwie nieodstępnych stróżów, czas jakiś mierzył dużymi krokami ciemny korytarz, wreszcie zatrzymał się przy okienku, za którym siedział Mouchefrin, dając znaki naglące.

Mouchefrin patrzył na niego bezmyślnie, szeroko rozwartymi błędnymi oczami. Twarz jego była zupełnie nieruchoma, jak u paralytyka. Racadot nie tracił czasu na wyrażenie swego smutku lub zdziwienia, że się spotykają w warunkach podobnych, tylko z niewypowiedzianem przejęciem się wyrzucał słowa, którym towarzyszyły wymowne spojrzenia, ruchy ust i głowy:

— Za-brać szka-tuł-kę z Ver-dun — wymawiał dobitnie, nie wydając dźwięku. Wy-sła-łem per-ły do przy-ja-ciół-ki Le-on-ty-ny, Ver-dun.

Zdanie to powtarzał kilkakrotnie, oddzielając sylabę od sylaby. Mouchefrin, ogłupiała zupełnie, z oczami mgłą zasnutymi, widział raczej te słowa niż słyszał. Wcale jednak nie rozumiał ich znaczenia. Patrzył tylko na otwierające się i zamykające usta Racadota, na jego małe, okrągłe oczy, ruchliwe i błyszczące jak u zwierzęcia i ogarniało go przerażenie coraz większe. Sledził bezmyślnie ruchy ciała, głowy, łokci przyjaciela i nagle spostrzegł, że miał on na rękach kajdanki.. Odtąd nie widział już nic więcej. Nie myślał już o losie nieszczęśliwego współnika, który z najwyższą zaciętością starał się go wtajemniczyć w swe myśli; całą uwagę nawpół omdlewającego tchórza pochłonęli woźni, żandarmi i adwokaci, snujący się po korytarzu.

Wobec tych niższych sług sprawiedliwości, pobierających małe pensyjki i zajętych jedynie rozmową i plotkowaniem, Mouchefrin doznaje obawy uczniaka w obecności belfera, przekonany jest, że wszyscy ci ludzie są tutaj po to jedynie, by go pochwyć w swe ręce. Obawę jego potęguje stokrotnie wizja gilotyny. Woźni widzieli, jak rozmawiał z Racadotem; sędzia, uwiadomiony o tym fakcie, zapytał go o treść rozmowy; następnie te same pytania zadał współnikowi; w odpowiedziach mogą zająć sprzeczności... Rolę swoją umie dobrze; wieczór spędzili razem z Leontyną; nie wiedzą o niczem; przeczą wszystkiemu... o czym tu mówić jeszcze?...

Nie śmie jednak odejść, obawia się rozdrażnić Racadota. Męczarnia jego trwała pięć minut, minut tak długich, jak cała wieczność; krew zalewała mu mózg, myśli plątały się jak w gorączce; wreszcie skończyła się ta tortura dzięki agentom, którzy uprowadzili Racadota, zamykając okienko... Raz jeszcze Mouchefrin ujrzał zdala cień swego współnika. Wkrótce wprowadzono go do kancelaryi sędziego... Gdyby karzeł miał choć odrobinę zimnej

krwi i rozumiał półsłówka, szanse Racadota polepszyłyby się znacznie.

Dotąd miano przeciwko niemu tylko poszlaki: wypłata w dniu 25 maja 1,500 franków za wynajęcie *Prawdziwej Rzeczypospolitej*, świadectwo poborcy przy rogatce, który utrzymywał, że go widział owej nocy, kiedy popełniono zbrodnię, wreszcie obcięta broda.

Zaprzeczał wszystkiemu energicznie, ale bardzo popsuł sprawę grubijańskim zachowaniem się u sędziego; słusznie twierdził Suret-Lefort, że zawsze szanować należy miłość własną bliźniego. Komentarze prasy starały się przedstawić zbrodnię w Billancourt nie jak zwykle morderstwo, ale jako skutek nauczania, opartego na filozofii nowożytnej; sędzia zrozumiał, że zwierzchność nie wybaczy mu nigdy pomyłki tak sensacyjnej i tak dogadzającej przeciwnikom rządu; kierowany urazą osobistą, niepokojem o swą karierę, oraz kokieteryą zawodową, chciał dowieść koniecznie, że słuszność po jego była stronie. Równocześnie jednak obawiał się posunąć zbyt daleko. Mouchefrin skorzystał z sympatyj, które obudził Racadot, ale które nie śmiały objawić się wyraźnie, uważając, że były właściciel *Prawdziwej Rzeczypospolitej* jest zbyt skompromitowany. W sprawach z odcieniem politycznym każde aresztowanie na rozkaz sędziego śledczego staje się kompromisem między uczuciem zemsty i trwogi. We wtorek, 2-go czerwca, prokuratora po długim wahaniu się nie podpisała rozkazu uwięzienia Mouchefrina.

We środę 3-go maja, Renaudin ogłosił odczyt Racadota o nowych zasadach moralnych i o Wiktorze Hugo. Zastosowywał ten odczyt do warunków obecnych. „Każda istota żyjąca walczy o miejsce przy zbyt skąpej uczcie przyrody; najsilniejszy dąży zawsze do panowania nad innymi.”

Jednogłośnie wszystkie stronnictwa zawołały:

„Rozpocznijmy rozprawę!” Socjaliści, pozytywści, deiści, katolicy, protestanci napadali jedni na drugich.

Na początku poruszono zbrodnię w Billancourt, lecz później rozpoczęła się walka umysłów wyższych, podobna do walki bogów Homera, których zwycięstwa rozstrzygały o powodzeniu śmiertelników. Życie Racadota, a przynajmniej Mouchefrina zależało od dyalektyki teoretyków, kierujących opinią publiczną; biedny, napół ogłupiały, tchórzliwy karzeł, zachowywał się zupełnie biernie i apatycznie. Siedząc w przeciagu nieskończenie długich tygodni na słomianem krześle w korytarzu sądu śledczego, po którym przechadzali się nieustannie adwokaci w strojach galowych, z miną uroczystą, sypiąc wesołemi żarcikami, czuł się nieskończenie małym, słabym, zmiażdżonym przez ten olbrzymi mechanizm systematu trybowego. Jakiż opór mógłby przeciwstawić pozornemu chaosowi niezliczonych interesów, funkcjonujących tak prawidłowo, że niema miejsca na żaden przypadek? Niektórzy chcieli go traktować jako anarchistę. Przyznać musimy, że istotnie był on obcy wszelkiej organizacyi, oderwany od grup społecznych i od chwili ukończenia liceum pogrążony w najzupełniejszej anarchii. Uratował go jedynie traf szczęśliwy w postaci kłótni ideologów, dzięki której losem jego zainteresowało się całe stronnictwo. W znacznym stopniu pomogło mu też wystąpienie biskupa z Nancy, który za temat listu pasterskiego wziął głośną treść odczytu Racadota, starając się obalić filozofię, szukającą oparcia dla moralności po za objawieniem. Nie dosyć jednak było pomyślnego składu okoliczności zewnętrznych. We wszystkich wybiegach prawniczych Suret-Lefort okazał się niezrównanym. Udało mu się uzyskać widzenie się z Racadotem, którego obrony podjął się z zapalem i którego utwierdził w postanowieniu nie przyznawania się do niczego. Mouchefrino-

wi dawał nieustannie wskazówki, nie przyjmując żadnych zwierzeń; Bouteillera nakłonił do starań nowych, dając mu do zrozumienia, że Racadot i Mouchefrin, gdyby ich opuścił, mogliby zeznać przed sądem o jego zabiegach w celu uzyskania subwencji dla *Prawdziwej Rzeczypospolitej* Całą tę tragikomedję ułożył tak zręcznie, że z łatwością można w nim było odgadnąć przyszły filar parlamentaryzmu. Kiedy agenci policyjni, tropiąc wszelkie ślady zbrodni, znaleźli w Verdun, u przyjaciółki Leontyny, szkatułkę z perłami i nieśmiertelnemi turkusami książąt perskich, Suret-Lefort potrafił się cofnąć umiejętnie: potomek chłopów niewolnych z Custines przyznał się do winy i oświadczył, że nie miał żadnego współnika. Wspaniały pomysł, powzięty pod wpływem młodego adwokata, który wykazał zdumiewające poczucie odpowiedzialności.

Pobity na głównych punktach, rozpoczął odwrót, zasłaniając Mouchefrina, który się powoływał na alibi, mające wszelkie pozory prawdopodobieństwa: twierdził mianowicie, że ową noc tragiczną z 21-go na 22-gi maja spędził w towarzystwie Leontyny i Fanfournota; zresztą sprawdzono, że nikt z tej trójki nie skorzystał ani z pieniędzy, ani z klejnotów. Można ich było tylko pociągnąć do odpowiedzialności za złożenie fałszywego świadectwa, z początku bowiem utrzymywali, że i Racadot był razem z nimi. Leontynę jednak łatwo było usprawiedliwić. Cóż naturalniejszego, że nie chciała zdradzić kochanka? Zresztą wiele osobistości wpływowych przemawiało za nimi; ostatecznie wszyscy zostali uniewinnieni.

Podczas rozpraw sądowych Suret-Lefort utrzymywał się na wysokości zadania. Chłodny i poważny podczas akcji przygotowawczej, przed sądem kryminalnym miotał się jak opętany, podobnie jak wszyscy adwokaci. Przykuwając uwagę ogółu do osoby Racadota, by ją tem łatwiej odwrócić od

Mouchefrina, umiał przytem wykazać umiejętnie swe zdolności fachowe.

Współkoledzy jego, sędownicy, dziennikarze, politycy ocenili jego wymowę; niemniej przeto nie udało mu się wyrwać z rąk kata głowy Racadota. Pochlebiał sobie, że antyklerykalizm przysięgłych ułatwi mu zadanie, ale oni, pomimo jego wysiłków, nie dali się wprowadzić na tę drogę, ku której ich zwracał.

Wszelkie zabiegi, mające na celu zmniejszenie kary, okazały się równie daremne. Bouteiller odmówił poparcia prośby o ulaskawienie; profesor byłby uczynił dużo dla stłumienia całej tej sprawy; winszował sobie, że udało mu się zacieśnić jej granice, ale widząc, że złagodzenie kary nie zmniejszy skandalu, uważał za stosowne nie przeszkadzać wymiarowi sprawiedliwości.

W dniu, kiedy miała spaść głowa Racadota, jeden Renaudin zdobył się na okropną odwagę towarzyszenia mu na plac la Roquette. W ciągu całego procesu, który roznamiętnił niesłuchanie opinii publiczną, umiał stać się poczytnym i zmusić redaktorów do podniesienia honorarium; okazał się dobrym i użytecznym pomocnikiem dla Suret-Leforta i nieznacznie potrafił zmusić Bouteillera do rachowania się z sobą. Roemerspacher i Sturel przystali chętnie na propozycję wtajemniczenia ich w cały przebieg sprawy. Noc poprzedzającą egzekucję spędzili razem w półcieniu małego pokoiku w hotelu Cujas, milczący, nieruchomi.

Dusze ich trawił smutek gryzący. Pierwszy brzask dnia spotkali z czołem opartem o szybę. Zorza poranna nappełniła ich przerażeniem: zdawało im się, że widzą strumień krwi, czerwieniącej otręby kosza, gdzie przed chwilą stoczyła się głowa byłego kolegi i przyjaciela.

W godzinę potem wszedł Renaudin; Racadot już nie żył; na gilotynę wstępował ciężko, powoli,

przez junakieryę, „jak dobry żołnierz lotaryński.” — Jakiś głos z tłumu wykrzyknął: „Bravo!” obudzając wzruszenie w sercach tłumu. Rozległy się nawet oklaski; dawały się jednak słyszeć i sykania. Reporter poznał Fanfournota, który na tym placu, pełnym grozy, w obec ogromnych słupów, dźwigających narzędzie śmierci tym samym głosem bezdźwięcznym, który zwrócił ich uwagę na odczycie, powitał ostatni występ swego mistrza. Renaudin usiłował przybrać ton żartobliwy, ale był zielono-blady.

Oświetlenie poranku i noc, spędzona bezsennie, uwydatniały jeszcze bardziej przedwczesne zmarszczki na zniszczonej twarzy. Obaj przyjaciele zrozumieli, że to już nie dawny Alfred Renaudin, były kolega z Nancy, ale jakiś nieznajomy, którego słów słuchali w milczeniu. Reporter odgadł wreszcie, że jego sztuczna wesołość wywiera wrażenie ujemne, zaczął się skarżyć na ból głowy i udał się na spoczynek.

— Serce miał na ustach — rzekł Roemerspacher — ale co w piersi?

Przed południem jeszcze odebrali telegram od Saint-Phlina: „Serdecznie współczuję z wami.”

Spojrzeni na siebie i zrobili w myśli przegląd wszystkich kolegów.

— Suret-Lefort spał tej nocy!

— A Mouchefrin?

— Dla mnie on już umarł.

Roemerspacher potrząsnął głową:

— Nawet Racadot nie przestał istnieć; zbrodnia jego nie zginie bez śladu. Nie będę nigdy więcej mówił z tobą o Mouchefrinie. Ale ty, Franciszku, jesteś odpowiedzialnym za jego przyszłe wykroczenia przeciwko społeczeństwu.

Sturel milczał pod wrażeniem słów przyjaciela, które w danej chwili wydały mu się zbyt szorstkie.

Nastąpiła krótka pauza. Wreszcie Roemerspacher ciągnął dalej:

— Po długich rozmyślaniach wróciłem do zasady, którą nam przed pięciu laty zalecał Bouteiller.

— Och, Bouteiller...

— Myślę w tej chwili o jego słowach, nie o działalności. „Postępuj zawsze tak, ażeby czyny twoje służyć mogły za prawo ogólne.” Postępuj tak, aby przynieść korzyść społeczeństwu...

Powiniennem był oddać Mouchefrina w ręce sprawiedliwości, a raczej — wobec tego, że zbrodnia ta była tajemnicą twoją — nakłonić do złożenia zeznań ciebie. Wahałem się jednak: widziałem bowiem, że społeczeństwo w stosunku do Racadota i Mouchefrina nie kierowało się zasadą Kanta... Jeżeli jednostka ma obowiązki względem organizmu zbiorowego, to i społeczeństwo ma również obowiązki względem jednostki.

Nie mogłem się odważyć na zgubienie nędznika w imię zasady, której nikt na jego korzyść nie wyzyskał; przyznaję bowiem, że odpowiedzialność za jego nędzę i poniżenie spada na środowisko indywidualistyczne i liberalne, do którego się dostał, ożywiony wiarą i ufnością w teorye, głoszone w liceum... Ten взгляд poszczególny przeważał we mnie — chociaż niesłusznie — nad poszanowaniem interesów ogółu. I na mnie więc także spada częśćka odpowiedzialności za to, co przynieść może jutro.

— Co do mnie — odparł Sturel — powiem ci zaraz, dlaczego się zdecydowałem oszczędzić Mouchefrina. Postanowienie to powzięłem w owej nocy pamiętnej, w wigilię pogrzebu Wiktora Hugo. W czasie tych uroczystości żałobnych doszedłem do przekonania, że chęć przekształcenia ludzkości, naprzykład przerobienia młodych Lotaryńczyków, spadkobierców tradycji historycznej, na obywateli świata,

jednostki abstrakcyjne, wyznawców czystego rozumu, zawsze pociąga za sobą pewne niebezpieczeństwo. Garncarz i szklarz tracą przy wypalaniu pewien procent swojego towaru; procent ten wzrasta, gdy mają do czynienia z przedmiotami, mającemi wartość artystyczną. Nie ulegało wątpliwości, że uświadomienie naszej gromadki wzniesienia się na poziom wyższy pociągną za sobą pewne straty. Racadot i Mouchefrin, to nasz okup — cena naszego udoskonalenia się. Zbrodnia ich budzi we mnie nienawiść; twierdzę jednak, że w stosunku do nas są oni ofiarą całopalną. Oto dlaczego nie chciałem świadczyć przeciw nim.

Po zaznaczeniu swego stanowiska względem sprawy tak blisko ich obchodzącej nie myśleli już o przekonywaniu siebie i zaprzestali sporów męczących. Po upływie pół godziny Sturel rzekł jeszcze:

— Nie postąpiliśmy lekkomyślnie, ale kierowaliśmy się głosem *naszego* sumienia.

— Tak, czy jednak byliśmy w zgodzie z sumieniem społecznem?

Poranek ten zamknął pewien okres ich życia, był dla nich chwilą odpływu, bardzo ciężkiego i męczącego, ale zarazem punktem wyjścia dla nowej, pełnej znaczenia działalności. Zetknęli się wreszcie bezpośrednio ze społeczeństwem, ale to zetknięcie, tak upragnione, odbyło się w sposób brutalny. Wszystkich porwała woda, wszyscy walczyli z prądem. Do tych, którzy dopłynęli do brzegu, należy decyzja, czy chcą na nim pozostać na stałe, czy też, wzbogaceni doświadczeniem, próbować będą nowej wyprawy.

Czy nie słuszniej jednak byłoby za pomocą wspólnie zorganizowanej pracy uczynić rzekę dostępną dla żeglugi?

ROZDZIAŁ XVIII.

Pawłowi Bouteiller—wdzięczna Lotaryngia.

Od lata 1885 r. możemy już obliczać następstwa zbrodni w Billancourt; rozgłos ich szerzył się po całym kraju. Ścięcie Racadota było aktem przezorności, ale żadna pokuta nie zmaże spełnionej zbrodni. Słyszeliśmy już, jak rozmaicie ten wypadek okropny oceniały jednostki, stojące na jednym poziomie społecznym.

Ciekawszym jeszcze będzie dla nas stosunek, jaki wytworzył się wskutek tego strasznego przejścia między naszymi znajomymi.

Bouteiller, pragnąc się uniewinnić, głosił:

— Ten nędznik Racadot odznaczał się inteligencją raczej praktyczną, niż teoretyczną. Popęłnił morderstwo, ażeby zapewnić byt swemu pismu. Myślą założenia „*Prawdziwej Rzeczypospolitej*“ natchnął go niejaki Franciszek Sturel, człowiek obdarzony umysłem żywym, ale niespokojnym, nie poddającym się żadnej dyscyplinie; on to właściwie redagował pismo. Brednie zaś o „pasorzytnictwie,“ za pomocą których podłości swej chciał nadać barwę ideową, zapożyczył niewątpliwie od młodego Roemerspachera, chłopca zresztą bardzo przyzwoitego; ceni go nawet Taine...

Oryginalnym przyczynkiem do tej sprawy wobec hałasu, wznieconego przez klerykałów, jest wyznanie wiary, które mi niegdyś ta gromada uczyniła—wyznanie wprost antyrepublikańskie:

Ta powierzchowna ocena faktu, przechodząc z ust do ust, doprowadziła powoli do obwinienia Sturela i Roemerspachera. Pani Alison powtarzała z zadowoleniem pani de Coulonvaux:

— Zawsze niedowierzałam znajomościom Sturela. Wiedziałam, że się wdaje z łotrami.

Między Sturelem a młodą dziewczyną nie doszło nigdy do wyznań wyraźnych. Chcąc uniknąć ciągłych i przykrych dopytywań, Franciszek porzucił po spełnionym dramacie ulicę Sainte-Beuve i przeniósł się na prawy brzeg Sekwany; wreszcie przyśpieszył wakacje. W Neufchâteau zaledwie dowiedział się przypadkowo o zaręczynach Teresy z baronem de Nelles.

W pałacu i biurach redakcyjnych obiegały przykre pogłoski, dotyczące Suret-Leforta i Bouteillera. Łączono ich nazwiska; opowiadano, że profesor wystąpił w obronie osób skompromitowanych; we dwa lata później plotka uczyniła z Racadota agenta, upęnomocnionego do utworzenia mu dziennika. W każdym razie w lecie 1885 r. zbrodnia w Billancourt dopomogła Bouteillerowi i to w sposób zupełnie nieoczekiwany.

Biskup z Nancy, opierając się na zeznaniach Racadota, wydał okólnik pasterski, potępiający państwową filozofię Rzeczypospolitej. Napadał na profesora, jako na przedstawiciela nauczania nowożytnego i kultury społecznej. Bouteiller przybył odważnie — zdaniem swych przyjaciół — do Nancy, do miasta, gdzie go właśnie oskarżano o demoralizowanie młodzieży, odwołał się do dawnych kolegów, do byłych uczniów, do ich rodzin i współobywateli. Na konferencji publicznej i na kilku zebraniach prywatnych był niezrównany. Dziennik biskupi wystąpił z odpowiedzią. Nawet część wyborców, zwykle obojętnych na te ogólniki niewyraźne, tym razem stanęła po stronie profesora.

Oburzała ich myśl, że człowiekowi, w którego mowach przebijają tak wzniosłe poczucie obowiązku i surowość zasad, można było przypisywać chociażby najmniejszą część odpowiedzialności za to morderstwo okropne.

Rozprawy te były przygotowaniem bardzo po-

żytecznem do wyborów, które tym sposobem nabierały coraz większych widoków powodzenia.

Jednak trzeba było przezwyciężyć jeszcze trudności bardzo poważne, mianowicie kwestyę pieniężną. Bouteiller zaoszczędził najwyżej 4,000—5,000 franków. Kongres, zbierający się w Nanczy dla wyznaczenia kandydatów republikańskich, ma co prawda zwyczaj zbierania pewnej sumy na koszty kampanii wyborczej; ale nawzajem wymaga, aby każdy z kandydatów zapisał się na 10,000 franków. Zresztą nietylko na tem polegała cała trudność.

Aby się dobrze przedstawić kongresowi, który właściwie decyduje o wyborze, trzeba ponieść dużo wydatków przedwstępnych. Krótki pobyt Bouteillera w tutejszem liceum zostawił po sobie dobre wspomnienia; pomogła mu również polemika z biskupem, pomimo to jednak był on w Nanczy prawie obcym: ważny to zarzut w oczach podejrzliwych Lotaryńczyków. Dobrze też bardzo zrobił, uzyskując u władzy urząd poborcy dla jednego z posłów, zrujnowanych ciężarami mandatu: uszczęśliwiony dobrą emeryturą, był przedstawiciel narodu chętnie przedstawi Bouteillera wpływowym wyborcom.

Koniecznem jest jeszcze uznanie prasy. Jednem słowem, nawet urządzając wszystko oszczędnie i w warunkach jak najpomyślniejszych, trzeba mieć co najmniej 50,000 franków. Bouteiller przedstawia wartość pierwszorzędną.

Zresztą, namiętne pragnienie dostania się do parlamentu unosi go tak gwałtownie, że zdobycie mandatu uważa dziś za swój obowiązek; pomimo wszelkich wysiłków, nie może już oddać się całą duszą obowiązkowi zawodowemu, jak to czynił dotąd; uczciwość nakazuje mu więc ustąpić z katedry. Czy można nawet przypuszczać, że mając przed sobą tak świetną karierę polityczną, da się powstrzymać brakiem pieniędzy? Nie byłby wcale człowiekiem, za jakiego go uważamy, gdyby wobec trudno-

ści finansowych miał się usunąć z widowni politycznej. Z drugiej strony należałoby napiętnować całe społeczeństwo i równocześnie ubolewać nad niem, gdyby dla braku 50,000 franków miało być pozbawione usług takiego człowieka. Dużo ludzi, znających czyny polityczne tylko z historii, lub z pięknych biografij, zapatrując się na ten fakt z punktu oderwanego, mogłoby powiedzieć: „Cóż znaczy trudność pieniężna? Zawsze się znajdzie 50,000 franków, gdy się ma nadzieję zostania ministrem.” Przytoczą setki mężów stanu, będących w tem samem położeniu, a umiejących sobie radzić... Lecz należałoby również poznać odwrotną stronę medalu, zbadać, ilu ich ginie właśnie wskutek tych operacyj pieniężnych. A tryumfatorowie, którzy zwyciężko wypłynęli z odmętu, musieli się zgodzić na mnóstwo faktów poziomych, pospolitych, brzydkich, obrażających uczucia delikatności, faktów, o których milczy ich biografia.

Życie — to brutal. Nikt nie jest zmuszony poświęcać się polityce; ale człowiek, biorący w niej udział czynny, nie może zapanować nad okolicznościami. Wtedy tylko dosiegamy celu, jeżeli się godzimy na wszelkie drogi doń prowadzące.

Jakimi środkami rozporządza Bouteiller, aby dojść do pieniędzy? Często partya polityczna ma swoją kasę wyborczą. Napełnia ją sumami, otrzymanymi ze sprzedaży usług, o ile posiada władzę, lub też frymarcząc nadziejami na przyszłość—jeżeli należy do opozycji. Ale prosząc pomocy u swego stronnictwa, zaciąga się zobowiązania względem jego wodza. Bouteiller zaś chce wystąpić w parlamencie ze swobodą zupełną. Wzniosłe postąpiłby patriota, któryby dzielając idee światłego profesora, ofiarowałby mu żadaną sumę; ale takiemu patriocie trzeba zazwyczaj odplacić się conajmniej

krzyżem legii honorowej; jest to najpospolitszy artykuł wymienny w operacjach parlamentarnych.

Bouteiller, przyzwyczajony uważać pieniądź jako wynagrodzenie za pracę, nie mógłby nawet przypuścić, że można postąpić inaczej. Dlatego z pomiędzy wszystkich sposobów zdobycia potrzebnego kapitału wybrał środek proponowany mu przez barona Jakóba Reinacha, i wziął w ręce zorganizowanie zapału dla sprawy panamskiej.

Spółka Lesseps i C-ie traktowała z towarzystwem angielsko-holenderskiem Cuttbill, de Lunge, Watson i Van-Hathum o przebicie Culebry. Towarzystwo to budowało w Leodyum wspaniałe maszyny do wiercenia gór. Bouteiller radził przenieść to przedsiębiorstwo do Paryża, chociażby nawet wypadło ponieść pewne koszty dla zainteresowania ogółu. Wśród okrzyków masy robotniczej Lesseps obejrzał z wielkimi ceremoniami te ogromne maszyny. Bouteiller poddał całą seryę tematów, które należało opracować w pismach.

Artykuły przyjęto z zapałem i 25-go lipca 1855-go roku Lesseps na ogólnem zebraniu akcyonaryuszów otrzymał pełnomocnictwo do zaciągnięcia nowej 600-milionowej pożyczki.. Co prawda, po roku zmuszony był dać Anglo-Holendrom sześć milionów odszkodowania za zerwanie kontraktu; ale nie było to winą Bouteillera, że sprawa, obmyślana w Paryżu, nie została wykonaną w Panamie.

Pomimo ograniczonego zakresu współpracy, przejął się interesami przedsiębiorstwa i potrafił oddać mu usługi w ten sposób, który czynił go zawsze niezbędnym, gdzie się tylko znajdował.

Bouteiller znał bliżej Gambettę i system jego naśladował; nie przeciągając zbytecznie wywiadów, wskazał kierownikom Panamy dzienniki Paryża i prowincyi, którym warto było dać subwencye; prócz tego musiał zastosować stopień energii i bar-

wę artykułów do polityki każdej gazety i do pojęć miejscowych.

Tak cenne wskazówki, dawane dokładnie, szczerze i kategorycznie, powiększyły dochody Towarzystwa; ci panowie uważali, że suma 50 tysięcy franków nie stanowi wygórowanej nagrody za tyle usług. Gdyby Bouteiller zażądał był wtedy dobrze stanowiska w samym Towarzystwie, byłiby mu je stworzyli bezwątpienia. Skoro wolał wejść do pałacu Burbonów, starano mu się to ułatwić. Administracya Panamy dążyła do pozyskania przyjaciół wśród przyszłych członków Izby: na zaciągnięcie bowiem 600-milionowej pożyczki nie wystarcza upoważnienie akcyonaryuszów, potrzeba koniecznie przynęty w postaci premiery, dla wydania których niezbędne jest nowe prawo. Jednocześnie więc Karol de Lesseps podpisuje Korneliuszowi Herzowi, przyjacielowi Freycineta, Clemenceau i innych członków parlamentu, deklarację, na mocy której w dniu, kiedy to prawo przejdzie przez głosowanie, zobowiązuje się mu wypłacić 10 milionów franków.

Ci panowie z Panamy, przyzwyczajeni do szantażystów, podziwiają człowieka pełnego talentu, przyszłego deputowanego o władzy rozległej, który, oddawszy im rzeczywiście usługi, zadawał im się 50 tysiącami franków. Wszyscy ludzie rozumni, nie znając tajemniczych myśli Bouteillera, wychwalają go za to, że „umiał stać się potrzebnym.” On zaś winszuje sobie, że znalazł punkt wyjścia, zdaniem jego, bardzo mądry; przeczuwa, że dawniejsze stosunki nie tylko ułatwią mu powodzenie w Nancy, ale i będą obfite w następstwa doniosłe. Niech tylko kanał będzie przekopany i jego własne położenie zapewnione, czemużby nie miał wejść do rady zarządzającej Towarzystwa? Przyniosłoby mu to dochód stały, a jest to jedyna rzecz, która mężowi stanu zapewnić może niezależność i dostojęństwo.

Te 50,000 franków okazały się Bouteillerowi równie użyteczne, jak napaści biskupa. Jednym słowem, kandydat obcy przybywał na kongres pełen najlepszych nadziei, nie przypuszczając nawet, że drobny wypadek, zaszły przed dwoma dniami, o mało nie zepsuł wszystkiego.

Dwaj wyborcy z zamożnego mieszczaństwa, Goeury i Dardinier, słynęli w całym okręgu z pijaństwa. Okoliczność ta obniżała wprawdzie ich powagę, mimo to w kwestyi wyborów mieli wielkie wpływy, dzięki swej hojności i popularności. Goeury utrzymywał, że wypije więcej piwa, niż jego przyjaciel Dardinier. Ten przyjął zakład. Podbudzeni śmiechem, goście piwiarni umówili się, że przegrywający kupi piękną trumnę, którą przeciwnik zmuszony będzie trzymać w pokoju sypialnym.

Dardinier wchłaniał nieskończoną ilość litrów, dopóki czynności tej wlewania z zewnątrz do wnętrza nie przeszkodził wylew we wręcz przeciwnym kierunku. Pocieszył się myślą, że jeżeli tu jest drugim, w każdym innym towarzystwie byłby niewątpliwie pierwszym.

Zakład wypłacił, nie skąpiąc, trumna była dębowa, ozdobiona rzeźbami metalowemi. Goeury postawił ją, stosownie do umowy, koło swego łóżka. Nastąpiła noc. Drzewo schnąc, trzeszczało; pod wpływem działania alkoholu przed oczami pijanego latały muchy, a nieznośne mrówki przebiegały po ciele; zdawało mu się, że leży w całunie śmiertelnym, że ciało jego toczy robactwo. Zaledwie z brzaskiem dnia nabrał odwagi. Po siedmiu takich nocach zaniósł trumnę w głąb ogrodu.

Oburzony Dardinier zażądał, aby ją postawił na umówionem miejscu. W piwiarni Wiedeńskiej rozległy się śmiechy i rozeszły się po całym Nancy, które komentowało śmieszności dwóch pijaków. Goeury, rozgorączkowany po nowej nieudanej próbie, odesłał fatalny przedmiot do sypialnego pokoju ja-

kiejs rudery, stanowiącej jego posiadłość wiejską. Zadowolnił tym sposobem szyderców, ale rozgniewał Dardiniera. Od słów doszło do policzków.

Było to na dwa dni przed kongresem. Ogólnie wiedziano, że Dardinier, jako akcyonaryusz *Lotaryngii Republikańskiej*, jest stronnikiem Bouteillera; Goeury oznajmił, że wystąpi gwałtownie przeciw kandydaturze tego cudzoziemca, kupcy z Nancy, przemysłowcy, zaczynając od Frouard aż do Pont-à-Mousson i rolnicy z dorzecza Seille, nie mają nic wspólnego z profesorem, narzuconym przez dziennikarzy". Był to argument niebezpieczny. Alkoholik nie chciał słuchać żadnych przedstawień. Bouteiller zmieszał się nieco. Komitet jego daremnie próbował pogodzić przeciwników. Użyto wreszcie następującego środka: agenci komitetowi w wigilię kongresu całą noc poili Goeuryego z tak dobrym skutkiem, że kiedy się zjawił w sali wyborów, musiano go ztamtąd usunąć, jako niepoczytalnego zupełnie. Przeciwnicy, pozbawieni przemowy, na którą rachowali, nie odważyli się wystąpić z opozycją. Wpływowy Bouteiller został wybrany.

W wyborach tego rodzaju cała trudność polega na zjednaniu wyborców przed kongresem. Bouteiller, oznaczony na liście republikańskiej jako kandydat dodatkowy, został wybrany dnia 4 października 1885 roku.

Suret-Lefort oddał się całkowicie na usługi Bouteillera w przeciągu całej walki wyborczej. Z Bar-le-Duc, gdzie spędzał wakacje, przyjeżdżał do Nancy na większe zebrania i prosił o słowo, przemawiając w charakterze byłego ucznia, który oddaje świadectwo mistrzowi. W trzy dni po głosowaniu poruszył ten sam temat na bankiecie, wydanym staraniem *Lotaryngii Republikańskiej* na cześć i pożegnanie deputowanego, który śpieszył objąć swe stanowisko. Sala gimnastyczna miejska była przepełniona. Jak zwykle bywa po każdym zwy-

ciężtwie, w całym Nancy nie znalazłoby się ani jednego wyborcy, któryby się przyznał, że głosował przeciw profesorowi.

Młody adwokat, pociągający wszystkich ładną postawą i pewnością siebie, wymiawiał każde słowo wyraźnie, modelując umiejętnie głos dźwięczny i pełny.

— Panie — mówił — będziesz zasiadał w licz-
nem i szacownym zgromadzeniu. Wykładami swe-
mi podniosłeś poziom umysłowy naszej okolicy; te-
raz podniesiesz poziom parlamentaryzmu, a co za-
tem idzie, i całej Francji, wypowiadając w naszym
imieniu naszą wolę i przekonania. Przed kilku laty
powierzylimy ci nasze umysły i widzieliśmy cię przy
pracy; dziś powierzamy ci ogół naszych interesów.
Obowiązek ten wypełnisz szacownie, nieprawdaż,
Pawle Bouteiller?... Dawniej miałeś w swych ręk-
kach młodzież, dzisiaj kierować będziesz losami lu-
dzi dojrzałych. Stoimy na kresach i, więcej niż
każda inna część kraju, chcemy być skałą z gra-
nitu. Nam nie starczyłaby armia, fortece, skarb
wojenny, gdybyśmy duszy lotaryńskiej oprócz nie
mogli na dzielnym obywatelu...

Głośne okrzyki przerwały Suret-Lefortowi,
który pod lodowatemi pozorami krył tyle ognia;
z całej sali, z pod trapezów, z ponad trampolin, po-
przez drabiny wyciągały się ku deputowanemu ra-
miona. A on stał wzruszony, istotnie wspaniały
w czarnym surducie, rękami skrzyżowanymi, bardzo
blady, z iskrzącymi się ogniem wewnętrznym ocz-
kami, czarnym włosom i pięknym czołem. Chciał
przemówić... ale dyrektor *Lotaryngii Republikańskiej*
rozkazał muzyce zagrać, aby publiczność miała
czas odpocząć. Tymczasem Dardinier, któremu po-
lecono zająć się ponczem, piwem i, jak sam się
wyrażał, „wszelką limonadą”, skinął na kelnerów,
aby podali szklanki i, kiedy ostatnia nuta prze-

brzmiała, podniósł kielich i grubym głosem pijaka zagrział:

— Pawłowi Bouteiller wdzięczna Lotaryngia!

— Szelma!—szepnął mistrzowi do ucha Suret-Lefort.—Ten ma tupet!

Rozległy się oklaski. Nowy deputowany przygotowywał się do wypowiedzenia mowy dziękczynnej, przedtem jednak zwrócił się do byłego ucznia:

— Kiedy przed chwilą, drogi przyjacielu, tak wspaniałomyślnie obsypywałeś mnie pochwałami, podziwiałem twój talent krasomówczy, który ci przepowiedziałem, o ile sobie przypominasz, jeszcze w roku 1880. Głównie jednak podziwiałem w tobie to zupełne wyzwolenie się od miejscowego akcentu, a co ważniejsza, od wszelkich właściwości lotaryńskich!

K O N I E C.



Spis rzeczy.

	<i>Str.</i>
X. „Prawdziwa Rzeczpospolita”	5
XI. Numer pierwszy	25
XII. Rok walki	36
XIII. Kryzys dwutygodniowy	66
XIV. Zbrodnia w Billancourt	86
XV. Wątpliwości Franciszka Sturela	99
XVI. Wartość społeczna trupa	123
XVII. Wykolejony i na śmierć skazany	145
XVIII. Pawłowi Bouteiller — wdzięczna Lotaryngia	158

480 —

Forrest/1880:07

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH

BIBLIOTEKA

199330

Biblioteka WSP Kielce



0066455